

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/391

1980



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

N. ŻABA :

WYWIAD Z PROF. EDWARDEM LIPIŃSKIM

G. HERLING-GRUDZIŃSKI : **DZIENNIK PISANY NOCĄ**

ST. SWIANIEWICZ :

90-LECIE KAZIMIERZA OKULICZA

N. N. : **KATOLICY W KAZACHSTANIE**

SPIS RZECZY

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	3
Kamila Chylińska:	<i>O socjalizmie demokratycznym (dok.)</i>	18
Adam Nasielski:	<i>Podróż do Afryki</i>	29

ARCHIWUM POLITYCZNE

Norbert Żaba:	<i>Wywiad z prof. Edwardem Lipińskim</i>	52
Siergiej Fiedotow:	<i>Jeszcze o radiostacjach</i>	56
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	63

K R A J

Anatol Marek Lipiec:	<i>Co będzie dalej?</i>	70
----------------------	-------------------------------	----

SPRAWY I TROSKI

N.N.:	<i>Katolicy w Kazachstanie</i>	80
Ks. Wojciech Sojka, C.M.:	<i>Co to jest Kongres Polonii Amerykańskiej?</i>	85
Edward Puacz:	<i>Wystawa kultury polskiej w Los Angeles</i>	94
—	<i>Studium Spraw Polskich w Londynie</i>	97
—	<i>„Fragments” zakończyły swą 6-letnią działalność</i>	98

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	100
Tomas Venclova:	<i>List do redakcji</i>	106
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	107
Włodzimierz Brylewski:	<i>Kronika białoruska</i>	110

WOŁANIE NA PUSZCZY

Kisiel:	<i>Bajki dla dorosłych</i>	114
---------	----------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Stanisław Swianiewicz:	<i>90-lecie Kazimierza Okulicza</i>	119
Zdzisław Bau:	<i>Fundacja Jurzykowskiego</i>	124

KSIĄŻKI

M. Broński:	<i>Wprowadzenie w teokrację</i>	136
Vigil:	<i>Zamordowana książka</i>	142
Benedykt Heydenkorn:	<i>Wiecej niż polemika</i>	147
B.H.:	<i>„Polonia 78”</i>	149
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	150



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	152
---	----------------------------------	-----



Z. Bobowicz, Mgr T. Danyliw, K. A. Jeleński, St. Korboński:	<i>Listy do redakcji</i>	157
--	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień - Avril

1980

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Jerzy Antosiewicz, Padwa (Włochy), po raz 2-gi	F. 20,00
Dr A. I. Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz 24-ty — \$ 13,75	F. 55,00
Włodzimierz Brylewski, Hollywood, Fla. (USA), po raz 5-ty ..	F. 45,23
Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz 45-ty — \$ 53,75	F. 220,00
Czytelnik z Polski, po raz 10-ty	F. 25,00
F.H. (USA), po raz 13-ty i 14-ty — \$ 10,00 + \$ 17,00	F. 110,00
Inż. Zbigniew Hornung, Vlissingen (Holandia), po raz 6-ty ..	F. 20,00
Edmund Kowalewski, Kelowna, B.C. (Kanada), po raz 6-ty — \$ 22,00	F. 88,00
Z. Laskowska, Chatham, N.J. (USA)	F. 31,47
N.N., Paryż	F. 200,00
B. Obuchowski, Bankstown, N.S.W. (Australia), po raz 4-ty — \$ A.12,00	F. 54,00
Władysław H. Piegdon, Milwaukee, Wisc. (USA), po raz 4-ty — \$ 6,75	F. 28,00
Dr. Scholer, Wesseling (RFN)	F. 275,00
Michał Skarzyński, Le Grand Quevilly (Francja)	F. 30,00
S.M. z Finlandii — Krn.20,00	F. 18,00
Stefan Taraszkiewicz, Eden, N.Y. (USA), po raz 5-ty — \$ 8,00	F. 33,00
Marian Turski, Mississauga, Ont. (Kanada), po raz 32-gi	F. 345,00
T. Ungar, Irvington, N.J. (USA), po raz 2-gi — \$ 25,00	F. 105,00
Łucja Zalewska, Chicago, Ill. (USA), po raz 15-ty — \$ 50,00	F. 210,00
Władysław Zeleniński, Paryż	F. 100,00
Anonimowo z Australii, po raz 9-ty	F. 43,75
Bezimiennie z Canberra, po raz 5-ty	F. 230,00
Bezimiennie z Santa Barbara, Cal. (USA) — zamiast kwiatów na groby krewnych i przyjaciół zmarłych lub zaginionych w Rosji Sowieckiej — \$ 46,00	F. 193,00
Bezimiennie z USA — \$ 6,75	F. 27,00
Bezimiennie z Los Angeles — dla uczczenia śp. Zygmunta Hertza	F. 35,97
♦	
Dr Danuta Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — na pomoc dla opozycji w Kraju — \$ 100,00	F. 420,00
Eugeniusz I. Suszyński, Torrance, Cal. (USA) — na ruchy oporu w Kraju — \$ 80,00	F. 336,00
Eugeniusz I. Suszyński, Torrance, Cal. (USA) — zebrane przez p. Agatę Skorwid na Balu Karnawałowym Weteranów Armii Polskiej a ofiarowane bezimiennie przez parafian kościoła Matki Boskiej Jasnogórskiej w Los Angeles na ruchy oporu w Polsce — \$ 130,00	F. 546,00
♦	
Anonimowo z Solna (Szwecja) na Związek Młodej Polski ..	F. 50,00
Bezimiennie z Cambridge, Mass (USA) — na Niezależną Oficynę Wydawniczą (NOW-a) — \$ 518,50	F. 2.177,00
Tadeusz Brzostek, Paryż — na Konfederację Polski Niepodległej	F. 200,00
Klientka p. T. Brzostka z Paryża — Aleksandra D. na Konfederację Polski Niepodległej	F. 300,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 159-tej)

Dziennik pisany nocą

Neapol, 7 stycznia 1980

Najbardziej może uroczą ozdobą notatek autobiograficznych Stendhala *Vie de Henry Brulard* są jego rysunkowe plany „sytuacyjne”. Grenoble cienkim piórkem prywatnego topografa. Z podpisami w tym, na przykład, stylu: „Mój pokój. — Małe podwórze. — Pokój dziadka. — Kominek. — Portret. — Wielkie podwórze”. Albo: „Plac Grenette. — Buntuję się. — Grande-Rue. — Sypialnia. — Jadalnia. — Kuchnia. — Piecyk. — Mieszkanie na pierwszym piętrze”. To „Buntuję się” między „Placem Grenette” i „Grande-Rue” jest zapowiedzią bogatszych, pozatopograficznych objaśnień pod innymi rysunkami: „W miejscu oznaczonym literą L Lambert piłowałem drzewo na kominek dziadka. — W miejscu oznaczonym literą H ja kontemplowałem kłody drzewa i przeżywałem paroksyzmy bólu i krew uderzała mi do głowy i otwierałem usta”. Albo: „Dom. — Klepisko. — Stromy trawiasty stok. — Od B do C stok, gdzie siedziały wszystkie panie. Śmiano się, pito ratafię Teyssère (Grenoble), z braku szklanek w szyldkretowych tabakierach. — Most Jean-Lioud. — Grota”. Ton wielu dydaskalii, ich przyspieszony i zwinny rytm memorialistyczny, mało się różni od prozy całej książki. „Grenoble jest dla mnie jak wspomnienie strasznej niestrawności; nie ma niebezpieczeństwa, lecz czuje się okropne mdłości. Wszystko co nikczemne i mdłe, wszystko co wrogie najmniejszemu wielkoduszemu zrywowi, wszystko co raduje się na widok niedoli tego kto kocha ojczyznę lub ceni szlachetność, oto czym jest dla mnie Grenoble”. (Co mu nie przeszkadzało wynosić pod niebiosa mieszkańców Delfinatu za ich „wytrwałość, głębie, inteligencję i subtelność”). „Kocham lud, złorzeczę jego

gnębicielom; ale byłoby dla mnie nieustanną męką żyć z ludem". Ojciec małego Henry przynosi wiadomość o ścięciu Ludwika XVI. „Zaznałem jednego z najintensywniejszych wybuchów radości w moim życiu. Czytelnik uzna mnie być może za okrutnego, lecz taki byłem w wieku dziesięciu lat i taki jestem w wieku pięćdziesięciu dwóch". Na Placu Grenette, przy wtórze posępnego wrzasku tłumu, zgilotynowano dwóch generałów. „Jedyna krew, jaką Terror 1793 roku wytoczył w Grenoble. Oto jedna z moich ciężkich win: czytelnik w roku 1880, niezłoty furii i powadze stronnictw, nie będzie mnie mógł znieść gdy mu wyznam że ta egzekucja, która zmroziła krew w żyłach dziadka, o rozpacz przyprawiła ciotkę Séraphie, pogłębiła dumne i hiszpańskie milczenie ciotki Elisabeth, mnie sprawiła *pleasure*. Padło wielkie słowo. Gorzej jeszcze: *I am* wciąż w roku 1835 *the man of 1794*".

L. znalazła w archiwum miejskim w Grenoble, w manuskrypcie *Vie de Henry Brulard*, własnoręczny arkusz „prezentacyjny” Stendhala, nie wiadomo dlaczego pominięty (bo trudno przypuszczać, że nie zauważony) przez rozlicznych kuratorów i wydawców książki. „Do Panów z Policji / to jest / Powieść / naśladownictwo *Vicar of Wakefield* / bohater Henry Brulard / opisuje swoje życie / w wieku 52 lat / po śmierci swej żony / sławnej Charlotte Corday". Szkicując gorączkowo w *Civitavecchia* i w Rzymie *Vie de Henry Brulard*, konsul Beyle-Stendhal był więc „wdowcem"... I to jakim „wdowcem”...

Myślałem o tym wszystkim w Grenoble w niedzielny dzień grudniowy zeszłego roku, przy stoliku staroświeckiej kawiarni na Placu Grenette. Padał gęsty, drobny, uparty deszcz, brudne ścierki chmur owijały wzgórza, nie było mowy o wałęsaniu się po mieście. Cały mój spacer podczas tego pierwszego pobytu w Grenoble da się sprowadzić do planu czy rysunku „sytuacyjnego” na modłę *Vie de Henry Brulard*. „Plac Grenette z domem pana Gagnon, dziadka Stendhala. — Grande-Rue. — Krótka przecznica zwana dziś Rue J. J. Rousseau. — Na niej trzy domy. — Litera R oznacza dom, w którym zwykł był zatrzymywać się Rousseau. — Litera S oznacza dom, w którym urodził się Stendhal: dziś siedziba *Musée de la Résistance et de la Déportation*. — Litera B oznacza dom, w którym urodził się Barnave, czczony przez Stendhala protagonista rewolucyjny Delfinatu, ścięty w roku 1793 przed paryską *Conciergerie*; zdaniem wielu krytyków, częściowy prototyp Juliana Sorela. — Pałac Prefektury, niegdyś *Hotel de Ville*, w którego murach 14 czerwca 1788 o dziesiątej rano zapadły uchwały otwierające drogę Rewolucji Francuskiej; dziś m.in. siedziba *Musée Stendhal*". Półgodzinny obchód w

deszczu, i w porannej pustce niedzielnej, trójstrumienia historii, filozofii, literatury.

12 stycznia

Dżilas opowiada Urbanowi (specjaliście od tasiecowych, „rentgenowskich” wywiadów z rozmaitymi prominentami w dziedzinie wiedzy o totalitaryzmie w ogóle, a o komunizmie w szczególności), że spotkawszy w Ameryce Hannę Arendt, „jeden z najprzenikliwszych umysłów analitycznych naszych czasów”, zapragnął usłyszeć jej autorytatywną opinię o hitleryzmie. Dlaczego Hitler zdecydował się na całkowitą eksterminację Żydów? Jak to racjonalnie wytłumaczyć? Czy nie można było Żydów skutecznie unieszkodliwić bez całopalenia, z pewnym nawet pożytkiem dla Trzeciej Rzeszy? Hanna Arendt odparła, że nie potrafi wskazać żadnego racjonalnego wytłumaczenia; z wyjątkiem przekonywującego argumentu, że cała ideologia hitleryzmu, w której Żydom wyznaczono rolę robactwa, przemawiała za ich doszczętnym wytępieniem. Nic nie miało znaczenia, absolutnie nic, poza nieubłąganą logiką ideologii.

Urban wtrąca tu epizod (opisany przez Dżilasa w *Wartime*) wymordowania przez partyzantów Tity całej rodziny a właściwie klanu Tadiców. Czy to aby, z zachowaniem proporcji, nie paralela? Dżilas potakuje: istotnie, oślepiające i niszczące jest działanie ideologii; mniejsza o to jaka twoja ideologia, gdy poczujesz się dzięki niej w posiadaniu „prawdy nieomyślnej”, gotów jesteś z czystym sumieniem rabować, palić, zabijać. Żadna rewolucja nie może się obyć bez żelaznej ideologii, ideologia zaś domaga się wybicia w pień wrogów, prawdziwych lub urojonych. Stalin kazał wystrzelać oficerów polskich w Katyniu; Pol Pot wyrzynał połowę ludności Kambodży. Dżilas wspomina młodych partyzantów komunistycznych w Hercegowinie, którzy w imię ideologii zabijali własnych ojców, tańcząc i śpiewając wokół ich trupów; on sam, w owych wojennych czasach, nie posunąłby się nigdy do zabicia własnego ojca w imię ideologii, natomiast — trzeba to uczciwie przyznać — nie zaważałby się skazać na śmierć rodzzonego brata.

Zanim w odległej i dość wątpliwej przyszłości nasz „wiek ideologii” wyzionie wreszcie swego plugawego ducha, zanim przyjmie się — jeżeli się przyjmie — zwyczaj pisanie słowa „ideologia” w cudzysłowie a patologia władzy i żądzy władzy nazywana będzie po imieniu, należałoby w szkołach, wszędzie tam gdzie to jeszcze możliwe, wprowadzić codzienne lekcje ilustrujące czym była i nadal jest nowoczesna ideologia bez cudzysłowu.

13 stycznia

Przedmiotem jednej z takich lekcji mógłby być, dla odetchnięcia, ogłoszony świeżo we Włoszech tekst Silonego *Memoriale dal carcere svizzero*. Memoriał odnaleziono w berneńskim *Bundesarchiv* przed rokiem, wkrótce po śmierci pisarza. Silone napisał go w więzieniu kantonalnym w Zürichu 17 grudnia 1942 roku. Został aresztowany 14 grudnia pod zarzutem założenia nielegalnego Ośrodka Zagranicznego Włoskiej Partii Socjalistycznej: nielegalnego, rzecz jasna, według surowych w tej materii praw neutralnej Szwajcarii. W dwanaście lat po zerwaniu z komunizmem, po przerażonym odepchnięciu ideologii w której za młodu ujrzał był źródło „prawdy nieomyłnej”, Silone uważał się za „socjalistę liberalnego”. Jeżeli podobne określenie cokolwiek wówczas znaczyło, to tyle tylko że nie chciał nawet uchodzić za zwykłego socjalistę partyjnego. Odsunął się całkowicie od polityki, pisał na szwajcarskim wygnaniu swoje książki, usiłował zaleczyć w szwajcarskim klimacie swoją gruźlicę. Dał się wciągnąć na nowo do polityki, gdy perspektywa bliskiego upadku faszyzmu otworzyła przed emigrantami włoskimi szansę bezpośredniego wpływania na bieg wypadków w kraju. Z otrzymywanych z Włoch listów widział, że od czerwca 1941 zaczęła w ruchu antyfaszystowskim wzrastać hipoteka komunistyczna. Powstanie Ośrodka Zagranicznego PSI stało się nakazem chwili. Memoriał wyjaśnia to krótko: „Nie należałem do grup socjalistycznych. Także później do nich nie wstąpiłem. Także dzisiaj do nich nie należę. Lecz jestem znany i szanowany przez robotników socjalistów, którzy do nich należą, jako niezależny pisarz socjalistyczny. Pokonawszy w sobie pewne wahania, rad byłbym im służyć. Po jedenastu latach izolacji i pracy literackiej były to moje pierwsze kontakty polityczne: uległem kategorycznemu imperatywowi mojego sumienia, które kazało mi przełożyć na bardziej zrozumiały język pojęcia autonomii, odpowiedzialności, godności; doszedłem do tych pojęć w ciągu długich lat studiów i rozmyślań, chciałem teraz by znalazły się w zasięgu prostych umysłów robotniczych, dla zaszczepienia ich przeciw psychozie komunistycznej, przeciw temu co określałem jako coś w rodzaju czerwonego faszyzmu”.

Ale rdzeniem Memoriału są wyznania i refleksje krążące dookoła „apostazji”, wyrzeczenia się ideologii opartej na „prawdzie nieomyłnej”. Znałem Silonego dość dobrze, przyjaźniłem się z nim, z przejściem i przeważnie aprobatą wewnętrzną przeczytałem wszystko chyba co napisał i za życia ogłosił drukiem, a jednak te fragmenty jego więziennego Memoriału napętniły mnie

nowym i najgłębszym wzruszeniem; jak gdyby ich autor, zza grobu, ukazał mi się naraz w jeszcze ostrzejszym świetle. Nie może ich zabraknąć w moim dzienniku, pomyślanym i prowadzonym zgodnie z pewną formułą kronikarsko-pisarską.

„Dokładnie dwanaście lat temu, w grudniu 1930 roku (jak dziś, na kilka dni przed Bożym Narodzeniem), byłem gościem tego samego więzienia, w którym znajduję się obecnie: władzom chodziło wtedy o zbadanie mojego wypadku, jako że przyjechałem do Szwajcarii bez paszportu. Kiedy patrzę teraz wstecz, obejmując spojrzaniem lata spędzone w tym kraju i przeobrażenia jakie tu we mnie zaszły, wydaje mi się że stałem się innym człowiekiem. Miałem podówczas trzydzieści lat, dopiero co wystąpiłem z partii komunistycznej, której poświęciłem moją młodość, moją naukę i wszelkie względy osobiste; byłem ciężko chory; nie miałem środków utrzymania; byłem bez rodziny (zostałem sierotą w piętnastym roku życia, mój jedyny brat siedział w więzieniu jako katolicki antyfaszysta i niebawem w więzieniu umarł); wydano mnie z Francji i z Hiszpanii; nie mogłem wrócić do Włoch; słowem, byłem na krawędzi samobójstwa. Przeżyłem w tym okresie kryzys straszny, lecz zbawienny. Jak pisał Święty Bernard w jednej ze swych książek, są ludzie których Bóg ściga, prześladuje, szuka, a gdy ich dopada i chwytą, zadrecza ich, rozszarpuje, gryzie, przeżuwa, połyka, trawi i robi z nich istoty zupełnie nowe, tworzy całkowicie swoje; gdy myślę o cierpieniach, o niebezpieczeństwach, o błędach, o pokutach, jakie były udziałem wielu moich przyjaciół i moim, wydaje mi się że spotkał mnie ten właśnie bolesny i uprzywilejowany los, o którym mówi Święty Bernard. W Szwajcarii stałem się pisarzem; co ważniejsze jednak, stałem się człowiekiem. Nie tylko rozjaśniła się moja koncepcja społeczeństwa i moja myśl polityczna oderwała się od kosmaru bolszewizmu, nie tylko w codziennym obrazie wolnego, demokratycznego i pokojowego narodu odkryłem możliwość ludzkiej egzystencji, przedtem negowaną; ale, co o wiele istotniejsze, samo znaczenie egzystencji człowieka na ziemi, samo znaczenie realności przybrało we mnie na powrót chrześcijański i boski sens, który posiadałem już we wczesnej młodości i potem zagubiłem. Moje oddalenie się od polityki mogło więc w pierwszej chwili wyglądać na wymuszone przez okoliczności zewnętrzne; szybko jednak, w miarę jak dokonywało się we mnie odrodzenie wewnętrzne, w moim sumieniu odbyło się rzeczywiste odejście od wszelkiej ambicji i żądzy władzy. Zrozumiałem jaka winna być najwyższa aspiracja człowieka na ziemi: stać się dobrym, uczciwym i szczerym. Moja działalność pisarska stanowiła świadectwo tej mojej walki i tego mojego dojrzewania wewnętrznego. Moje książki są opisem niepewności,

trudności, powodzeń, zwycięstwa mojej duszy w jej walce przeciw temu, co mogło być wulgarne i zwyczajnie instynktowne w moim poprzednim życiu. Nie sądzę by moje książki miały bardzo dużą wartość literacką; sam znam ich wady formalne. Ich wartość jest głównie wartością ludzkiego świadectwa; są w nich stronice pisane krwią”.

W innym miejscu, cytując z własnego listu do jednego z korespondentów robotniczych we Włoszech: „Faszyzm wziął od socjalizmu jego część negatywną i materialistyczną; przywłaszczył sobie wiele rzeczy które wydawały się, a nie były, istotne dla socjalizmu. Trzeba mu je pozostawić. W socjalizmie tradycyjnym żyły obok siebie, jedna obok drugiej, jedna w drugiej, dwie figury: Chrystusa i Barabasza. Faszyzm (i narodowy socjalizm) wziął sobie Barabasza. Jest dyktaturą Barabasza, *imperium Barabbae*. Zostawmy Barabasza faszyzmowi, rozpoznajmy się sami w Chrystusie”.

I wreszcie konkluzja: „Skończyłem. *Dixi et animam meam salvavi*. Byłem absolutnie szczerzy. Mam nadzieję że będę czytany nie przez policjanta, lecz przez człowieka i chrześcijanina. Niech przyjmie mój Memoriał jako podarek na Boże Narodzenie. Jeśli go nie zrozumie, zrozumieją go może ci co za trzysta lub dwieście lat grzebać będą w tych biednych papierach, by złowić w nich iskrę wielkiej walki naszej epoki”.

Cokolwiek się o tych „biednych papierach” powie w blisko czterdzieści lat po ich zapisaniu, jakiekolwiek znajdzie się w nich niedostatki, zachowuje swą jasność „iskra wielkiej walki naszej epoki”. Walką o *habeas animam* nazwał ją Silone przy innej okazji, od niej uzależniając — jako „socjalista bez partii i chrześcijanin bez Kościoła” — przetrwanie samej idei socjalizmu.

18 stycznia

Z Londynu dostałem od Łabędziego jego „scenariusz” łabędziego śpiewu Europy. Nazywa się *The Fall of Europe*, jest „udramatyzowaną” relacją fanta-polityczną o wypadkach rozgrywających się w roku 1983. Na Kremlu, po przełkniętym w końcu przez Zachód najeździe Afganistanu, młody następca Breżniewa nazwiskiem Leonidow postanawia, za zgodą pozostałych członków Politbiura z których sypie się już próchno, wypróbować jak daleko można się posunąć na kolejnym etapie. Wybór pada na norweski archipelag Spitzbergen na Oceanie Lodowatym, Rosjanie zajmują go i zaczynają na wyspach budować morską bazę wojenną. Czyli atak, nic to że peryferyjny, na państwo należące do NATO. Jedyna pani Thatcher domaga się natychmiastowej reak-

cji, prezydent Ted Kennedy nie chce o tym słyszeć, podobnie kanclerz Schmidt i prezydent Mitterrand. Premier norweski ustępuje, nowy rząd koalicyjny nawiązuje rokowania z Moskwą; dla ich ułatwienia, postanawia wystąpić z NATO i ogłosić neutralność. Grecja, gdzie urząd premiera objął Andreas Papandreu, idzie za przykładem Norwegii. Turcja za przykładem Grecji. Pruje się NATO, oddziały amerykańskie wycofują się z RFN. „Finlandyzacja” Europy staje się faktem dokonanym.

„Scenariusz” jak „scenariusz”, taki sobie, najlepszy w nim i najbliższy prawdy jest pomysł, że jedynym mężczyzną wśród dzisiejszych zachodnich „mężów stanu” okazuje się kobieta. Ale w chóralnym, trochę operetkowo-komiksowym, śpiewie łabędzim Europy wymyślonym przez Łabędziego brak mi głosu włoskiego. Gdybym ja zabawić się miał w „scenariusz” fanta-polityczny *Upadek Europy*, oparłbym go na „syndromie włoskim”.

Przed laty, wkrótce po rewolucji węgierskiej a więc w rok po moim osiedleniu się we Włoszech, Nicola Chiaromonte chciał wy badać stopień mojej orientacji w umysłowości i psychologii Włochów. „Testem” było pytanie: „Wyobraźmy sobie, że Rosjanie zajmują Jugosławię; co na to Włosi?”. Ja: „W następnych wyborach porażka a może i klęska komunistów”. On: „Przeciwnie, w następnych wyborach większość absolutna a może i triumf komunistów. Dlaczego? Po pierwsze, skoro Rosjanie są już *ante portas*, nie ma sensu ich prowokować; po drugie, nasz komunistyczny rząd znajdzie z nimi łatwiej wspólny język”.

W moim zatem „scenariuszu” Jugosławia po śmierci Tity wraca w ten czy inny sposób, jak syn marnotrawny, na łono wielkiej socjalistycznej rodziny (po drodze przywołując do porządku krnąbrną Rumunię). W Rzymie dymisja rządu, rozwiązanie Izby i rozpoznanie wyborów. Na listy komunistyczne pada około 60 % głosów. Włoski rząd komunistyczny, z dekoracyjnym udziałem chadeków i socjalistów, wyprowadza kraj z NATO i ogłasza jego neutralność. Jan Paweł II zaproszony do Moskwy. Reakcja Włochów przeobraża się w „syndrom włoski” na skalę ogólną, z różnicami i odcieniami lokalnymi. O Grecji i Turcji szkoda nawet mówić, tu działa automatyzm. We Francji komuniści zdobywają około 40 % w wyborach, rzucają na odczepne Mitterrandowi (albo Chiracowi) ochłap prezydentury, sami tworzą rząd i wciągają doń Chiraca (lub Mitterranda), parlament uchwała neutralność. W Niemczech SPD wzmacnia swój stan posiadania, decyduje się rządzić bez współników, kanclerzem zostaje Brandt, prezydentem Wehner; RFN wyprasza oddziały amerykańskie ze swego terytorium. W Anglii pani Thatcher przegrywa wybory, Tony Benn obejmuje urząd premiera. „Finlandyzacja” Europy staje się faktem dokonanym.

No pięknie (?), ale zanim by do tego doszło, czy Zachód przełknąłby tak gładko zabór Jugosławii? Głódziej, w każdym razie, niż zajęcie Spitzbergen. O czym starsi wiekiem towarzysze w Poliburze pouczą należycie Leonidowa. I co mój wariant łabędziego śpiewu Europy czyni bardziej prawdopodobnym od wariantu Łabędzia.

19 stycznia

Nie uda mi się pojechać do Wenecji na wystawę *Venezia e la Peste* (Dżuma z dużej litery, w duchu tradycyjnej personifikacji czy alegoryzacji plag). W sprawozdaniach prasowych zdziwienie, że Wenecja zimowa, „poza sezonem”, ściągą takie masy turystów tylko dla paru godzin dreptania w „zadżumionym” *Palazzo Ducale*. Ktoś zauważa: pamiętamy powodzenie powieści Camusa nazajutrz po wojnie; czyżby dziś tłumy na wystawie weneckiej oznaczały coś analogicznego? Ktoś inny rozwija ten pytanki, zestawiając listę eksponatów i informacji, które mogłyby nasuwać pewne skojarzenia współczesnym widzom. Zanotuję trzy.

Zobojętnienie i strach: napis na tablicy w konfraternii *Santa Maria della Carità* po dżumie w XIV stuleciu głosi, że „ludzie byli przerażeni, ojciec wzbierał się iść do syna, syn do ojca”.

Środek profilaktyczny bogatych: na sercu, niby pancerz, sakiewki ze złotem w proszku lub z brylantami; chodziło o „substancje których nic się nie ima, ni przegryźć nie zdoła”.

Driakiew wenecka po pojawieniu się pierwszych symptomów choroby: mieszanka pięćdziesięciu czterech składników, wśród nich w największej ilości żmije mięso, w myśl zasady *similia similibus curantur*... Żmije były gorączkowo poszukiwane, ich połów na wzgórzach pod Padwą należało do szczególnie intratnych zajęć.

25 stycznia

„Był przytomny dla siebie, tą charakterystyczną przytomnością silnego zatrucia piekielnym jadem — dla drugich, gdyby byli i mogli widzieć jego myśli, byłby skończonym wariatem”. Ostatnie stronicie *Pożegnania jesieni*, Atanazy Bazakbal idący na spotkanie śmierci. Kiedy powieść Witkacego wyszła dziesięć lat temu po włosku, napisałem o niej artykuł zatytułowany *Il pazzo disperato*. Ten „wariat zrozpaczony” pochodził z zapisu o Witkacym w dzienniku Gombrowicza. Znakomita definicja, chociaż niezbyt

pasująca do reszty zapisu o rzekomym „dandyzmie metafizycznym” Witkacego, o jego „trikach surrealistycznych” podobnych jakoby do tego „czym dzisiaj epatuje Salvador Dali”. Ale Gombrowicz, jak sam przyznaje, „trzeciego muszkietera” nie lubił, drażnił go Witkacy „wiecznie odstawiający wariata”. Pewnie, można także na *Pożegnanie jesieni* spojrzeć jak na „odstawianie wariata”: *teatrum mundi* (nadchodzącego) w jarmarcznej budzie, olbrzymi kukiełkowy komiks z obłóczkami dialogów i kłębami filozoficznego dymu. A przecież to tylko błazeńska maska. Za nią kryje się twarz wariata zrozpaczonego, przekonanego że jedyną odpowiedzią na wariactwo świata jest własne, że „dziś o ludzkiej duszy wiedzą naprawdę cokolwiek wyłącznie wariaci”. Przeczytałem teraz *Pożegnanie jesieni* na nowo, w lozańskiej fotokopii wydania Hoesicka z 1927 roku. Miałem takie uczucie jakby w ciągu dziesięciu minionych lat element rozpacz w wariacie zrozpaczonym wzrósł niepomniernie, nabrał przejmującej autentyczności, usuwając w cień albo w każdym razie osłabiając wszystko co jest w powieści bufonadą, świadomą bufonadą na krawędzi świadomego kiczu. Co nadało powieści Witkacego, w moich przynajmniej oczach, nowy wyraz i większy niż dawniej format? Mogłbym to sobie wyjaśnić tylko pośrednio. Do lońskiej fotokopii dołączono posłowie van Crugtena, inteligentny szkic o „katastrofizmie w literaturze międzywojennej”. Witkacy występuje tam jako pisarz „katastrofizmu historiozoficznego”. Otóż podczas obecnej lektury *Pożegnania jesieni* Witkacy wydawał mi się chwilami katastrofistą realistycznym, a niektóre partie jego powieści brzmiały jak pisane już po katastrofie, przez jej kronikarza obłąkanego i błaznującego z rozpacz, wstrząsanego wybuchami na przemian śmiechu i płaczu. W *Pożegnaniu jesieni* — przedziwne wrażenie! — nie ma żadnej przyszłości; skończona jest sama historia.

28 stycznia

Wakefield, bohater noweli pod tym tytułem Nathaniela Hawthorne’a (uważanej powszechnie za arcydzieło, podobnie jak *Czarny welon pastora* tegoż autora), jest mężczyzną w średnim wieku, żonatym, mieszka w Londynie. Któregoś dnia wybiera się w krótką podróż, zapowiadając żonie że wróci za kilka dni. W rzeczywistości podróż kończy się w mieszkaniu na sąsiedniej ulicy, gdzie Wakefield spędza samotnie dwadzieścia przeszło lat, nie dając znaku życia ani żonie ani nikomu z bliskich. Po czym, już na starość, wraca pewnego dnia jak gdyby nigdy nic do domu i do roli dobrego męża. Lecz nie zdaje sobie sprawy, że

do domu wrócił ktoś inny, upiór Wakefielda. „W pozornym zamieszaniu naszych tajemniczych światów jednostki są tak dobrze osadzone w systemie, a systemy tak ze sobą powiązane w całość, że człowiek który się na chwilę wyslizguje naraża się na straszne ryzyko utraty swego miejsca na zawsze. I może się stać, jak Wakefield, wyrzutkiem wszechświata”. Jaki ten Wakefield był i czemu tak postąpił? Co w ciągu dwudziestu przeszło lat robił? Nie wiadomo. Sam właściwie „nie wiedział czego chce” w momencie rozpoczęcia „podróży”. Do domu też wrócił nie wiedząc dlaczego, pod wpływem nagłego impulsu. Hawthorne pozostawia pytania noweli bez odpowiedzi, wzywa natomiast czytelnika do „własnej medytacji”. Borges twierdzi, że „rozwiązania zagadki Wakefielda mogą być nieskończone” i nazywa nowelę „podłą przypowieścią”, przenoszącą nas już „w świat Melville’a, w świat Kafki”.

Przypowieścią jest także *Czarny welon pastora*. I także zagadkową i po jakimś „podłą”. Pastor Hooper zjawia się pewnego dnia przed swoimi parafianami z twarzą owiniętą welonem z czarnej krepy. Rychło okazuje się, że ma zamiar nosić go do śmierci. Nie pomagają błagania narzeczonej Hoopera, która z nim w końcu zrywa; ani milczące wymówki wiernych, którzy w końcu skazują swego pastora na życie w całkowitej izolacji. Nawet na łożu śmierci odmawia zdjęcia welonu. „Nigdy, nigdy na ziemi... Co uczyniło ten welon tak strasznym, jeśli nie tajemnica której jest ciemnym symbolem? Dzień w którym przyjaciel odsłoni wnętrze swego serca przyjacielowi, a zakochany swojej wybranej; dzień w którym człowiek nie będzie uciekał przed okiem swego Stwórcy i nie będzie ukrywał swego grzechu jak wstydlivego sekretu; wtedy nazwijcie mnie potworem z racji symbolu pod którym chciałem żyć i umrzeć! Lecz ja oglądam się wokół i na każdej twarzy widzę czarny welon!”. W czarnym welonie kładą go do trumny i niosą na cmentarz. „Twarz pastora obróciła się już w proch, ale pozostaje na zawsze straszna myśl, że obróciła się w proch pod czarnym welonem!”. Czego symbolem jest czarny welon? Co zasłania, ukrywa, albo raczej co odsłania? Znowu, jak w wypadku Wakefielda, pytania bez odpowiedzi. I znowu, we „własnej medytacji” czytelnika, rozwiązania zagadki Hoopera mogą być nieskończone.

Syjamskie przypowieści Hawthorne’a pochodzą z tomu *Twice-Told Tales*, wydanego w roku 1837. „Dwukrotnie opowiedziane”, może więc i dwakroć winny być czytane? Tak myślę, w każdym razie tak sam zrobiłem. Pierwsza lektura pobudza do prób „rozszyfrowania” Wakefielda i pastora Hoopera. Po drugiej „własne medytacje” idą w zupełnie innym kierunku. Nie dlatego, że rozwiązania obu zagadek mogą być nieskończone.

Dlatego, że obie zagadki nabierają sensu i pełnego wyrazu poetyckiego pod warunkiem swej nierozwiązalności. Ma rację Borges, wkracza się tu w świat Melville’a, w świat Kafki, bez możliwości i potrzeby przeniknięcia skryby Bartleby z opowiadania Melville’a, czy obu Józefów K. z *Procesu* i *Zamku*. Oni sami nie wiedzą o sobie więcej, niż my o nich. Ale, począwszy od przypowieści Hawthorne’a, reprezentują w literaturze nowy typ bohatera enigmatycznego. Wolno go, jak Wakefielda, nazwać „wyrzutkiem wszechświata”. Pozbawiony „swego miejsca w systemie”, posiada jedną tylko własność — swoje „ja”. Jest tego „ja” panem i równocześnie niewolnikiem.

Panowanie „ja”, subiektywności absolutnej i egocentryzmu totalnego, skodyfikował w roku 1844 Max Stirner w *Jedynym i jego własności*. Niewolnictwo „ja”, wycie i skowyt człowieka z *podpolja* pokazał (znając książkę Stirnera) Dostojewski w *Zapiskach*. Trzeba przypowieści Hawthorne’a włączyć i do tego kontekstu.

5 lutego

W londyńskich *Wiadomościach* Jan Kott broni Konwickiego przed moim pomówieniem o histerię. „Wizje *Małej Apokalipsy* — pisze — nie są historyczne, jak nie były historyczne gogolowskie petersburskie koszmary”. Artykuł Kotta, zgrabnie zresztą napisany, szczodłą ręką przypisując Konwickiemu niebyłeżaki ogon literacki Kafka-Wyspiański-Gogol-Joyce-Mickiewicz-Dante (wymieniam w porządku wtykanych do ogona pawich piór), jest dalszym krokiem w kierunku sytuacji, jaką sobie z niepokojem natychmiast po przeczytaniu powieści Konwickiego wyobraziłem. W „środowisku” mianowicie zapanowuje odąd zwyczaj kwitowania każdej sprawy hasłem „Mała Apokalipsa, co?” (ze znaczącym przymrużeniem oka). Kott, już w tytule swego artykułu, proponuje (z takimż przymrużeniem oka) odzew na to hasło: „Innej Apokalipsy nie będzie”. Czyli nowa, bardziej wyrafinowana odmiana polskiej „niemożności absolutnej z powodu Ruskich”. Mała Apokalipsa po Małej Stabilizacji. Kott dorzuca nawet, zza oceanu, własną cegielkę do krajowego apokaliptyzmu rusocentrycznego. Oto odmalowuje, mnie wskazując jako naocznego świadka, scenę na weneckim *Biennale del dissenso* przed paru laty: „Obrady były we wspaniałej sali... Ale zepsuło się ogrzewanie. Zimno było jak na Syberii. Na sali najwięcej było Rosjan. Wydawało mi się przez dłuższą chwilę, że są tylko oni. Siedzieli za stołami w czapach albo kapturach nasuniętych na oczy, w grubych płaszczach z sukna albo w jakichś kapotach.

Wyglądali jakby dopiero co przybyli wprost z łagrów. Wielu z nich rzeczywiście dopiero niedawno przybyło. Mówili tylko po rosyjsku. Na przerwach zbierali się w małe grupki, ciasno przywierając do siebie. Niechętnie dopuszczali do siebie obcych. Nie ufali *zapadnikom*".

Tak, i ja na tej weneckiej Syberii byłem, wino i wódkę piłem, a com widział... Com widział nie pokrywa się w niczym z ponurym obrazem Kotta. Skąd ta histeryczna wizja, skąd refleks Małej Apokalipsy w Wenecji? Że niby i ci Rosjanie z łagrów, jak im lepiej zajrzeć w twarz pod „czapami i kapturami”, są w oczach „zapadnika” współczesnym wcieleniem „gogolowskich petersburskich koszmarów”?

Czytam w *Zapisie* dziennik Kazimierza Brandysa: „Nic ze smaków życia nie kusi mnie do zerwania się z łóżka. Ani poranna gazeta, ani świeża chrupiąca bułeczka. A przy tym nie mam żadnych racji czuć się patetycznie lub biadolić i litować się nad sobą. Innym nie wstaje się łżej, jeszcze inni miewają się gorzej. Ale budzimy się podobnie: z mętным poczuciem, że nic nas nie czeka. Czterdzieści i Cztery? Apokalipsa? Duchy? Jest w tym, powiadam, coś trupiego, widmowego. I może to także oznaczać bliskość Rosjan”.

No więc powiem, przyparty do muru, co jest dla mnie niebezpieczną histerią u naszych małych i dużych apokaliptyków (tak się składa, że niegdyś ofiar „heglowskiego ukąszenia”): demonizowanie Rosjan, które potęguje i pogłębia chorobliwą delectację beżsiły; gdy tymczasem większość tego co dziś w Polsce „trupie i widmowe” — i czemu można jednak stawiać opór — jest produktem sowietyzmu oraz swojskiego w znacznej mierze „sojalizmu despotycznego”.

9 lutego

Trudno nie zgodzić się ze Stanisławem Mackiewiczem, że „dopiero Ania w czasie swego czternastoletniego małżeństwa z Dostojewskim stworzyła uprzednio kaleczonemu i poniewieranemu geniuszowi pisarza możliwość owocowania”. Anna Grigoriewna, dwudziestoletnia dziewczyna w chwili ślubu z czterdziestopięcioletnim Dostojewskim, zastanawiała się w wiele lat po śmierci męża i na krótko przed własną, jako stara już kobieta, nad „swoistą zagadką”: co sprawiło że Dostojewski nie tylko ją kochał i szanował, lecz „niemal ubóstwiał”, jakby była „istotą niezwykłą, stworzoną specjalnie dla niego”? Przecież w rzeczywiście niczym się nie wyróżniała, „ani urodą, ani talentem, ani szczególnie rozwiniętym umysłem”. A że ubóstwiał i uwielbiał,

to pewne: „Ludzie, którzy czytali listy mojego niezapomnianego męża do mnie, nie będą moich słów uważali za samochwalstwo”. Miała rację. Nie dostałem jeszcze z Warszawy wielkiego tomu *Listów* Dostojewskiego w opracowaniu Zbigniewa Podgórcza i Ryszarda Przybylskiego, ale wyszedł świeżo we Włoszech tomik samych tylko listów do Ani, *Lettere ad Anja*. Więc miała rację: ubóstwiał, uwielbiał, nazywał „bożyszczem, najpiękniejszym aniołem, królową, mędrzynią, złotym skarbem”, czasami nawet nie umiał w tym adoracyjnym rozdygotaniu uniknąć żenujących i komicznych trochę ekscesów, których część nie dotarła do potomności wymazana ręką Ani. Za co należy jej się wdzięczność.

Dostojewski pisarz, a nie jedynie mąż na klęczkach, dochodzi w tomiku do głosu dwukrotnie. Na początku, zaraz po ślubie, gdy dorywa się znów do ruletki i opisuje Ani huśtawkę nałogu. Na końcu, w maju 1880 roku czyli osiem miesięcy przed śmiercią, gdy codziennie wysyła do żony sprawozdania z Moskwy, gdzie w ramach obchodów puszkiniowskich posadzono go prawie na tronie literatury rosyjskiej i obwołano „prorokiem”. Są to jak gdyby klamry życia z Anią.

W roku 1880 zatem jest czczony, wychodzą *Bracia Karamazow*, sytuacja materialna rodziny stabilizuje się, można nareszcie odsapnąć. I wtedy właśnie pisze w sierpniu z letniska zaskakujący (dla mnie) list do Ani, ostatni w tomiku: „Dziś przeczytałem w gazecie, wiadomość zatelegrafowano z Jarmarku w Niżegorodzie, że powiesił się tam, w swoim składzie futer, kupiec z Petersburga, niejaki Grigorij Pawłowicz Zizerin. Przyjechał na Jarmark. Zdaje się, że nasze futra przechowujemy latem u Zizerina (zresztą nie wiem). Jeśli są u Zizerina, to czy to nie ten? Na pewno powiesił się z powodu złych interesów. W takim razie uważajmy, żeby nam nie przepadły futra. Jeśli ten list zastanie cię w Petersburgu, nie mogłabyś iść do Zizerina i sprawdzić?”. Dość osobliwy efekt wywołują te słowa pod piórem pisarza, któremu przypisywano wyjątkową, bliską prostracji, wrażliwość na wszelkie wypadki samobójstwa. Wygasało coś w sercu Dostojewskiego, okadanego „proroka”, pisarza i człowieka w apogeum, szczęśliwego męża i ojca?

14 lutego

Pradziad zesłany do Rosji za udział w Powstaniu Listopadowym, dziad za udział w Powstaniu Styczniowym, ojciec już zruszczony, syn wybitny kompozytor rosyjski. Przesłanie „pamiętnika mówionego” Dymitra Szostakowicza zamknięte jest w zdaniu Czechowa, które sam on z myślą o sobie cytuje: „Pisywałem w życiu wszystko z wyjątkiem donosów”. Prawdopodobnie —

dodaje — wśród kompozytorów sowieckich panował zwyczaj pisania donosów na papierze nutowym, wśród muzykologów na zwykłym. Kto komponował „wszystko prócz donosów” (a więc i propagandową tandetę na zamówienie, dla uratowania głowy i umożliwienia sobie poważnej pracy), ma — według Szostakowicza — prawo uważać że przeżył stalinowski terror z godnością. Pamiętnik Szostakowicza nie jest tak ciekawy, jak wolno było się spodziewać po gromkich zapowiedziach wydawniczych. Niełatwo na te tematy napisać coś ważnego czy nowego po wspomnieniach Nadieжды Mandelsztam. I forma „pamiętnika mówionego” nie zanadto sprzyja refleksji, pobudza raczej do tokowania i gonitwy myśli.

Uderzył mnie jeden fragment w *Świadectwie* Szostakowicza. „Smutno i przykro o tym mówić, ale muszę jeśli mam powiedzieć prawdę. A prawda jest taka, że wojna okazała się błogosławieństwem. Przyniosła wiele cierpień, wiele łez. Lecz przed wojną było nawet gorzej, każdy był sam na sam ze swoją męką. Przed wojną nie było chyba w Leningradzie rodziny, która by kogoś nie straciła, ojca, brata, a jeśli nie krewnego to co najmniej serdecznego przyjaciela. Nie było nikogo kto nie miałby do opłakiwania jakichś bliskich, ale należało to robić w milczeniu, pod kołdrą, by nikt nie widział. Wszyscy bali się jedni drugich, ból gniótł nas i dławił”. Czy można było przed wojną, nie narażając się na podejrzenia, skomponować utwór o cechach *requiem*? Nie. Naraz wojna pozwoliła płakać publicznie, otwarcie, ludzie przestali lękać się własnych łez. „Achmatowa napisała swoje *Requiem*, moim są dwie symfonie: Siódma i Ośma”.

Rzecz dosyć podobną czyta się w epilogu *Doktora Żiwago*: „Wojna z jej rzeczywistymi okropnościami, niebezpieczeństwem i groźbą rzeczywistej śmierci, była lepsza od nieludzkiego panowania fikcji, przynosiła ulgę, bo ograniczała czarnoksiężską potęgę martwej litery... Była burzą oczyszczającą atmosferę, powiewem świeżego powietrza, zapowiedzią wyzwolenia”.

Doskonale jeszcze pamiętam, z okresu mojej wędrówki z łągów do wojska na początku 1942 roku, jak trzeszczało „nie-ludzkie panowanie fikcji” (synonim „ideologii” u Pasternaka), jak ludzie stawali się inni, bardziej autentyczni — w złem i do-brem. Ustrój, w którym wojna mogła być „błogosławieństwem”, przywróceniem ludzkich praw i miar rzeczywistości...

3 marca

Skazany na śmierć morderca, dobry i zacny przedtem człowiek, opowiada w przeddzień egzekucji swoją historię. Zgubił go „duch przewrotności, duch którego filozofia nie bierze w rach-

bę”. „A przecież (ciągnie opowiadający) nawet to że dusza moja żyje nie jest dla mnie tak pewne, jak to że przewrotność, jeden z najbardziej pierwotnych impulsów ludzkiego serca, kształtuje charakter człowieka. Któż nie dopuścił się w życiu nikczemnych i głupich uczynków tylko dlatego, że wiedział iż nie powinien ich być popełnić? Ach, duch przewrotności, niezgłębione pragnienie duszy dręczenia samej siebie, zadawania gwałtu własnej naturze, czynienia zła dla samego jedynie zła, grzeszenia tak ciężkiego i śmiertelnego że usuwa grzesznika poza zasięg nieskończonego miłosierdzia najmiłosierniejszego i najstraszniejszego Boga”.

Tak Edgar Allan Poe sformułował w niesamowitej noweli *The Black Cat* jeden biegun egzystencji diabła, ten który każe twierdzić: diabeł we mnie. Drugim był czarny kot z tytułu noweli, podżegacz do zbrodni, jedna z jej ofiar i równocześnie jej odkrywca. Krótko mówiąc, diabeł poza mną. Niesamowitość noweli Poe (napisanej w tych samych mniej więcej latach co przypowieści Hawthorne’a) polega na oscylacji między dwoma biegunami. Ale czarny kot jako wcielenie „diabła poza mną” zbyt jest konwencjonalny, by nie ustąpić w końcu miejsca „diabłu we mnie”, lekceważonemu przez filozofię „duchowi przewrotności”. Obok bohatera enigmatycznego Hawthorne’a pojawił się ledwie zarysowany diaboliczny bohater Edgara Poe, który w kilka dziesięcioleci później dojrzeje już na tyle, aby powiedzieć do diabła: „Ty to ja, ja i nic więcej”.

Naturalnie mam na myśli Iwana Karamazowa. To on woła z wściekłością do diabła: „Czasem cię nie widzę, nawet nie słyszę twego głosu, ale zawsze rozumiem co pleciesz, ponieważ to ja, ja sam mówię, a nie ty!... Ani przez chwilę nie uważam cię za realną prawdę. Jesteś kłamstwem, moją chorobą, jesteś marą. Tylko nie wiem jak cię zniszczyć i widzę, że przez pewien czas trzeba będzie pocierpieć. Jesteś moją halucynacją. Jesteś uosobieniem mojego własnego ja, zresztą tylko jednostronnym... jesteś wcieleniem moich myśli i uczuć, ale najbardziej obmierzłych i głupich”. A jednak Iwan dorzuca naraz „dziwnie” (według określenia powieści): „Nawet chciałbym w ciebie uwierzyć”. I trochę później, opisując Aloszy swoją rozmowę z diabłem, zapewniając że „on to ja”, znowu dodaje „bardzo poważnie i jak gdyby konfidencjonalnie”: „Wiesz, Alosza, bardzo bym pragnął, aby to naprawdę był on, a nie ja”.

Tego samego, wolno przypuszczać, pragnął bohater noweli Poe w swoim sam na sam z własnym „duchem przewrotności”. Lecz nastawała i długo miała potrwać epoka przygód i cierpień duszy „bezreligijnej”, jak mawiał Brzozowski.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

O socjalizmie demokratycznym (dok.)*

Poprzednia część artykułu poświęcona była liniom programowym i taktyce Partii Socjalistycznej we Francji. Przedmiotem części bieżącej jest działalność SPD — Socjaldemokratycznej Partii Niemiec.

III

Jako zarządzanie kapitalizmem, a ściślej, w aktualnych okolicznościach, zarządzanie kryzysem kapitalistycznym bywa stemplowana przez co zapalczywszych socjalistów francuskich (i nie tylko przez nich zresztą) działalność SPD (Socjaldemokratycznej Partii Niemiec). Uderza z miejsca różnica optyki, gdyż francuscy krytycy drugiego wielkiego wariantu dążności do socjalizmu demokratycznego w Europie Zachodniej podejmują z nim polemikę z platformy woluntarystycznej ideologii, którą staralam się poprzednio scharakteryzować. Istotnie SPD ani nie proklamuje zerwania z kapitalizmem, ani swoich na co dzień używanych środków polityki gospodarczo-społecznej nie koncentruje na niszczeniu jego struktur. Już w ujęciach programowych odrzuca tradycyjną koncepcję społecznej własności środków produkcji jako podstawowego narzędzia społecznych przeobrażeń. Nacjonalizacje pozostają jednym z wielu możliwych do stosowania instrumentów, lecz celowość ich podlega zbadaniu w stosunku do każdego

* W pierwszej części artykułu do zdania o próbach łączenia nacjonalizacji z samorządnością wkradła się nieścisłość. Zdanie to powinno brzmieć: „Lecz próby takie wymagają tym większej ostrożności, że do tej pory nie zostały nigdzie faktycznie zrealizowane”. W Jugosławii bowiem, gdzie zasadę tę się deklaruje, zmienia ona swoją treść przy wprowadzaniu jej w życie w warunkach niedemokratycznego państwa.

odrębnego obiektu. O żadnej roli globalnej, o żadnym „kluczu” nie ma więc mowy. Pojmuje się natomiast SPD jako partia szeroko zakreślonej i długofalowo pomyślanej reformy, która, uruchamiając mechanizmy regulujące w obronie grup społecznych materialnie słabszych, stara się wyjąć całokształt działań produkcyjnych i w ogóle gospodarczych spod wyłącznego prymatu wielkich, przez nikogo nie kontrolowanych zysków.

Nie przeprowadzam tu porównania — we właściwym sensie tego słowa — między francuskim a niemieckim zespołem propozycji, tym bardziej, że w pierwszym wypadku chodzi o program, w drugim o praktykę. Nie wszystko z wszystkim można więc mierzyć, a rozbieżności nie zawsze dają się wtłaczać w parzyste członki porównawcze. Wskazywanie różnic będzie zatem selektywne, wyrywkowe — nie systematyczne. Niemniej na sam początek kusi refleksja parzysta: jeśli droga od SFIO do partii socjalistycznej we Francji wiedzie od pragmatyzmu (choć przez powojenną SFIO stosowanego fatalnie) do suto zaprawionego ideologią i abstrakcją programowania — to Program Godesberski SPD symbolizuje kierunek przeciwny: od zamkniętej ideologii do znacznie konkretniejszego niż dawniej poczucia realiów społecznych, czyli do szerokiego dostępu dla wielu zróżnicowanych opcji w działaniu praktycznym. Taki sobie uboczny psikus historii: racjonalistyczni Francuzi udają się w przestworza, gdy „ideologiczni” Niemcy schodzą na ziemię.

Antynomia program — rządzenie nie wyjaśnia wszystkiego. Program Godesberski powstał przecież dziesięć lat przed objęciem władzy w Republice Federalnej przez obecną koalicję. Kiedy określił SPD jako partię szerokich warstw społecznych (*Volks-partei*), wysnuwał już wnioski z dokonanych w społeczeństwie przemian, kierował wysiłek reformatorski na tory zgodne z tymi przemianami i z ich dalszą pożądaną dynamiką.

Przesłanki były zarazem i łatwiejsze i trudniejsze niż we Francji. Łatwiejsze dlatego, iż wszelka potencjalna fascynacja komunizmem spaliła na panewce wobec sąsiedztwa o miedzę z NRD. Nikt poza nieznaczącymi grupkami na peryferii społeczeństwa nie uwierzył tutaj ani na pięć minut, że „my to zrobimy lepiej i inaczej”. Lecz zarazem trudniejsza była sytuacja niemiecka dlatego, że model społeczeństwa o ostrych granicach wewnętrzznego uwarstwienia, o mocno wkorzenionych tradycjach pokory wobec władzy zwierzchniej przetrwał w mentalności i w panujących skalach wartościowania dłużej, niż trwały same struktury społeczne, z których ów model się począł. Konserwatyzm francuski w swej dzisiejszej postaci, niewąski w zasięgu i żywotny w codziennej swej funkcji, zasłoni twarz, nie wystąpi pod własnym mianem, nie odżegna się od charyzmy kilku rewolucji

ani nie wyprze dawnych barykad. Konserwatyzm niemiecki znajdował się zawsze w ostatnich stuleciach po tej samej stronie barykady, i chociaż pod naporem czasu także on wchłonał w siebie pewną komponentę reformatorską, to jednak obecnie przedstawia się społeczeństwu bez kamuflażu jako zachowawcze widzenie problemów i wartości. Chodzi tym razem o historię prawdziwą — nie o przebrany za historię protokół dyplomatyczny.

Duch reformy, każdej reformy, ma w Niemczech trudniejsze życie niż we Francji. Nauka demokracji startowała z poziomu zerowego, wśród ruin i katastrofy. Świadomość ciągu historycznego — państwo wilhelmińskie, Republika Weimarska, hitleryzm — usiłuje przede wszystkim wznieść wał obronny przed nawrotami totalitaryzmu w jakiegokolwiek formie. I dzieje się to — okoliczność dla współczesnych Niemiec znamienita — nie dlatego, iżby rzeczywiście istnieć miały realne źródła takiej groźby, lecz dlatego, że tkwi ona potencjalnie w każdym mechanizmie rządzenia, a gotowość do oporu wobec niej pozostaje tu dotąd nie sprawdzona, a więc niewymierna. Toteż niemiecka socjaldemokracja nie przestaje akcentować nadrzędności demokracji i wolności we wszelkich poczynaniach gospodarczych czy społecznych, przestrzegając własnych krytyków z lewego krańca partii, że woluntarna ochota do przekazywania w ręce państwa zbyt wielu narzędzi interwencji może zagrozić podstawowym wartościom wolnego społeczeństwa.

Wbrew pogardliwym oskarżeniom o pragmatyczne zarządzanie kapitalizmem, SPD porusza się w istocie po drodze dalekiej od harmonii. Drodze, biegnącej pomiędzy naciskiem wewnętrznej niecierpliwości a znacznie potężniejszym naciskiem zewnętrznej opozycji, która dysponuje dotychczas najsilniejszą frakcją w parlamencie. Opozycja ta, jakkolwiek zgrupowana w jednym organizmie, Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej, ściśle związanej z ograniczoną terenowo do Bawarii Unią Społeczno-Chrześcijańską (CDU-CSU), nie jest jednorodna. Jeśli pewne kręgi jej wyborców, a nawet członków obu partii opozycyjnych, sytuują się niekiedy bliżej tzw. społecznego „środku”, to decydujący, opiniotwórczy jej odłam, reprezentowany w kierownictwie, pełni funkcję systematycznie hamującą wobec tendencji reformatorskiej SPD: wyraża przede wszystkim zainteresowanie warstw najzasobniejszych w utrzymaniu jak najbardziej dla siebie korzystnego podziału dochodu narodowego.

Tymczasem uwarstwienie społeczne w ostatnich, powojennych dziesięcioleciach zmieniło się radykalnie. Widać gołym okiem — i potwierdzają to wszelkie badania — że warstwy średnie stanowią dziś istotny trzon społeczeństwa niemieckiego,

że nadają mu kształt i styl. W obręb społecznego „środku” weszli wykwalifikowani robotnicy, nie różniąc się specjalnie sposobem życia i ukierunkowaniem aspiracji od urzędników, funkcjonariuszy, drobnych kupców czy producentów. Ów „środek” jest najbardziej wyrazisty, gdy grupy z samego wierzchołka hierarchii majątkowej zdają się chronić dobrowolnie przed widokiem publicznym, osłaniać w życiu codziennym grubszą niż np. we Francji mgłą anonimowości. Poniekąd naiwniejszym obserwatorom nasuwa to wręcz przypuszczenie, że w Republice Federalnej nie ma ani niskich zarobków, ani jaskrawych kontrastów społecznych. Rzecz nie w tym, że ich nie ma, lecz w tym, że na ogół (powtarzam: na ogół — gdyż nawet obszary biedy istnieją w tym bogatym kraju) całość dysproporcji przesunęła się na wyższy poziom, że więc na wyższym piętrze artykułuje się także ruch rewindykacyjny.

Trend wzmacniania warstw średnich poprzez odpowiednią politykę kredytowania i subwencji, odpowiedni również system podatkowy, rozpoczął się i owocował jeszcze za rządów dzisiejszej opozycji, kiedy wszakże SPD, jako rzecznik słabszych, nie ustawała w naporze na władzę. Program Godesberski przygotowywał się już w sytuacji, która miliony ludzi pchnęła do wysoce opłacalnego udziału w procesie produkcyjnym. Skoro robotnik przestał być proletariuszem — SPD przestała być partią *tylko* klasy robotniczej. Skoro interesy drobnych i średnich przedsiębiorców zaczęły współbrzmieć z interesami pracowników — SPD określiła się jako partia warstw średnich. Rehabilitując wreszcie w swojej skali wartości — świadomie, choć nie zawsze dość konsekwentnie — pozycję moralną również nie-najemnej pracy, SPD zdefiniowała się jako partia szerokich warstw społeczeństwa. Oznaczało to konieczność takiego rozłożenia punktów ciężkości w polityce gospodarczej i społecznej, które pozwoliłoby słabszym materialnie kategoriom ludności korzystać coraz wydatniej z dalszego rozwoju gospodarczego. Do tego z kolei trzeba było nie tylko kilku wielkich reform — ale także tysiąca małych kroków.

Muszę się tu oczywiście ograniczyć do telegraficznej rejestracji najważniejszych jedynie spośród tych narzędzi działania. Przyjęta również przez socjaldemokrację niemiecką zasada „społecznej gospodarki rynkowej” (*Soziale Marktwirtschaft*) polega na akceptacji mechanizmów wolnorynkowych i jednoczesnym ich regulowaniu przez sprawny system ochronny w zakresie bezpieczeństwa życiowego warstw najliczniejszych. Ów proces zabezpieczający zaczyna się już na górze i wyraża np. w dążności do ograniczania koncentracji największych przedsiębiorstw przemysłowych. Chociaż Niemcy przestały być klasycznym jej okazem, choć produkcja opiera się tu w dużej mierze na zakładach śred-

nich — to jednak tendencja do fuzji gigantów istnieje i odpowiednie instytucje przeciwdziałające mają pełne ręce roboty.

System ustalania płac w corocznie ponawianych umowach zbiorowych między związkami zawodowymi a pracodawcami, w obrębie poszczególnych branż, dostosowuje zarobki pracownicze do wzrostu cen, przy czym układom podlegają także warunki i czas pracy, urlopy, ochrona miejsc pracowniczych przed skutkami racjonalizacji itd. Powstaje w ten sposób pewna wersja kontraktu społecznego, adaptującego się do zmian, a całkowicie autonomicznego wobec rządu.

W potężną sieć ubezpieczeń wchodzi wzrastające również w miarę sytuacji dodatki na dzieci, urlopy macierzyńskie, społeczna opieka zdrowotna, rozszerzana na wciąż nowe kategorie osób, emerytury, także związane z indeksem cen. Dość powiedzieć, że różne działy owych ubezpieczeń pochłaniają prawie jedną trzecią dochodu narodowego. Zasiłki dla bezrobotnych są bardzo wysokie, a specjalne ustawy chronią pracowników w razie bankructwa firm zatrudniających. Ze względu na bezrobocie tak utrzymanie miejsc pracy jak i tworzenie w przedsiębiorstwach nowych miejsc dla kształcących się młodych pracowników wysuwa się obecnie na czoło pilnych zadań.

Rady obejmujące pracowników, akcjonariuszy i członków administracji, mające współdecydować o losach przedsiębiorstwa — oto przedmiot jednej z najistotniejszych reform, potencjalnego źródła gruntownych przeobrażeń w systemie zarządzania. Opór ze strony większości pracodawców blokuje ją jednak i opóźnia, tak, że daleko jej jeszcze do powszechnego zasięgu, a zasada paritetowego udziału w tych organach pozostaje na razie teorią. Również pewne formy udziału pracowników w zyskach przedsiębiorstwa występują do tej pory tylko sporadycznie, chociaż w niektórych zakładach prowadzą do wyraźnie pozytywnych rezultatów.

By przytoczyć kilka przykładów spoza produkcji, rozwija się budownictwo mieszkaniowe, a w jego ramach wzrasta — jakkolwiek ostatnio w powolniejszym tempie — liczba tzw. mieszkań społecznych czyli bardzo tanich. Ochronę lokatorów obwarowują ostre i precyzyjne przepisy.

Wymienię wreszcie na końcu, gwoli dokładności, reformę szkolnictwa średniego, choć jest to wielki problem odrębny, trudny do skatalogowania jednym tchem z innymi. Reforma przesuwa na wiek późniejszy, w stosunku do reguł obecnych, wybór kierunków kształceniowych i zawodowych, przez co stara się wyrównywać stopniowo szanse uczniów, pochodzących z nierów-

nych materialnie i intelektualnie środowisk. Zaczyna się ją powoli i ostrożnie wprowadzać w życie, skądinąd tam tylko, gdzie życzą sobie tego rodzice.

Jest to jedynie rejestr-kalejdoskop — chodziło mi o wykazanie szerokości i wieloplanowości zamierzeń. Czy wszystko się udało? Oczywiście nie. Niektóre z owych reform zrodziły już regularnie funkcjonujące instytucje, ale inne toczą się naprzód w żółtym tempie, jeszcze inne utknęły na skutek określonych układów społecznych oraz przeszkód, z jakimi przychodzi mierzyć się na co dzień koalicji rządowej. Znalazła się ona, w niespełna kilka lat po dojściu do władzy, w obliczu nadciągających, a potem już trwających elementów kryzysu. I jakkolwiek w sumie radzi sobie z nimi lepiej niż szereg innych krajów, to jednak zamierzone przeobrażenia strukturalne (jak np. owo stopniowe wprowadzanie demokracji przemysłowej) zostały zepchnięte na plan dalszy przez zadania bieżące, jak właśnie ograniczanie bezrobocia, ożywianie koniunktury, czy kształtowanie — zresztą wśród wewnątrzpartyjnych i zewnętrznych kontrowersji — polityki energetycznej.

Wbrew bajkom dla grzecznych dzieci o niezmaconej harmonii społecznej w Republice Federalnej nie należy sobie wyobrażać, iż stosunki między pracownikami a pracodawcami przebiegają bez napięć i sprzeczności. Nie tylko podstawowe reformy zarządzania spotykają się z oporem przedsiębiorców, ale bywa, że i coroczne pertraktacje o umowy zbiorowe poruszają się bądź po cienkiej linie, o krok od otwartych konfliktów, bądź też do konfliktów prowadzą. Przy pewnej chwiejności ocen gospodarczych i objawach psychozy kryzysowej wielki przemysł operuje raz po raz argumentem o podkopywaniu opłacalności inwestycyjnej, czego *nota bene* nie potwierdzają później wcale ani rachunki zysków, ani bieżące statystyki inwestycji. „Jak nierówny musi być właściwie podział dochodów i majątków — pytał kiedyś retorycznie przewodniczący niemieckich związków zawodowych — ażeby przedsiębiorcy nabrali ochoty do inwestowania?”.

W innej sferze jednakże napór rozdrażnienia społecznego działa znacznie silniej niż w wymiernej dziedzinie interesów i dążeń ekonomicznych. Władza państwowa staje się adresatem frustracji i niedosytów „cywilizacyjnych”, typowych dziś w zaścianach społeczeństwach zachodnich. Podnoszą się głosy o niewydolności „państwa dobrobytu”, wychodzą książki — także spod pióra socjaldemokratów — o fałszywym doborze instrumentów społecznych dla łagodzenia ludzkich losów: jaka korzyść z lśniącego na wysoki połysk szpitala, jeśli najdoskonalsze nawet aparaty mają tam zastępować minimum ciepła ludzkiego w stosunku do pacjenta? Ile są warte super-komfortowe domy dla starców,

sকoro ich mieszkańcy snują się po miękko wysłanych korytarzach w poczuciu izolacji zarówno od siebie nawzajem, jak i od reszty społeczeństwa? Samotność wśród wiecznie spieszącego się tłumu wielkich miast, anonimowość na własnej klatce schodowej, znużenie przerostem konsumpcji przy braku innych treści, stress na co dzień, pustka w niedziele i święta. Niektórzy świadomie manipulują zbiorowymi niepokojami, inni, zwykle młodszy, z naiwności przypisują to wszystko aktualnemu funkcjonowaniu aktualnej władzy. Irracjonalne w swej naturze zabiegi i oskarżenia pobudzają jednakże intelektualne kręgi socjaldemokracji do surowej refleksji krytycznej wobec własnej partii: Zrobiono za mało — zwłaszcza wśród młodszych pokoleń — by spoza świata przedmiotów dostrzegły świat wartości.

Pod innym względem natomiast zrobiono za dużo — i źle. Chodzi o wprowadzenie w swoim czasie tzw. *Radikalerlass* — ustawy utrudniającej dostęp do funkcji państwowych (od góry do dołu drabiny, tj. od ministra poprzez nauczyciela do listonosza) osobom o sympatiach dla ugrupowań skrajnych z lewa i z prawa. W praktyce ustawa stosowana była głównie wobec komunistów różnych zabarwień. Podkreślić przy tym trzeba, iż mowa wyłącznie o *poglądach*, nie o wykroczeniach przeciw porządkowi prawnemu, podlegających karze sądowej. Teoretycznie podstawą doboru kandydatów miała być wierność Konstytucji w przekonaniu i w działaniu. Z kandydatami przeprowadzało się rozmowy wstępne, które jednak w rzeczywistości otwierały pole dla nadużyć i decyzji kontrowersyjnych. Pominąwszy nawet niebezpieczeństwo związane z dowolnością interpretacji, *Radikalerlass* okazał się narzędziem wielce wątpliwym z dwóch względów: po pierwsze zaciera on często granicę między przekonaniami a działalnością na szkodę państwa, po drugie zaś walkę z poglądami przeciwnika politycznego zastępuje represją. Podlega więc ostrej krytyce wewnątrz SPD, a także wśród szczególnie wrażliwych na zagrożenia demokracji grup społeczeństwa — nie mówiąc o opiniach negatywnych poza granicami Niemiec.

Co gorsza, w pewnym okresie, wśród gorączkowego poszukiwania skutecznych metod walki z terroryzmem, konsekwencje owej ustawy zaczęły żyć własnym życiem, przeskoczyły na inne obszary, tu ożywiając konformizm na zapas, tam pobudzając restryktywne interpretacje swobód obywatelskich, gdzie indziej znów podsycając zapał do cenzurowania, nakazów i zakazów. Choć wymiar całej sprawy należy mimo wszystko traktować relatywnie, nie sposób zaprzeczyć, że przystanie na ową zasadę pod presją prawie panicznych wtedy nastrojów wśród dużej części społeczeństwa nie było wielką kartą w bilansie SPD. Od dawna już i tak zresztą niejednolicie stosowana procedura zelżała, w nie-

których „Landach”, tam zwłaszcza, gdzie rządy sprawuje koalicja SPD-FDP, wstępnych rozmów z kandydatami w ogóle zaniechano. W myśl nowej interpretacji, sam fakt przynależności organizacyjnej nie dyskwalifikuje jeszcze kandydata, powinien on korzystać z kredytu zaufania aż do chwili, kiedy istotnie działalność jego okazałaby się sprzeczna z Konstytucją. O sprawie wraz z jej implikacjami mówi się wiele. Wydaje się, że tematu, w jaki sposób odblokować w psychologii społecznej zahamowany wśród pewnych odłamów ludności proces demokratyzacji nie usunie się już z pola uwagi. Przeciwnie, będzie on coraz silniej narzucał swą ważność i obecność.

Trzeba chyba powtórzyć, że postawy krytyczne wobec tutaj przytoczonych zjawisk wyrażają się pełnym głosem wewnątrz socjaldemokracji niemieckiej. I nie jest wcale tak, że krytycy z urzędu grupują się po lewej, a zwolennicy z urzędu po prawej stronie. Krytyka przechodzi w poprzek całej partii, przy czym fronty to się schodzą, to rozchodzą, to wzajemnie przenikają, zależnie od konkretnych problemów. Tendencje nie obudowują się w nieodwołalne, zamknięte struktury, niedostępne dla argumentów spoza własnego obrębu. Nie znaczy to wcale, że nie ma mniej lub bardziej zwartych grup, połączonych wspólnotą poglądów i gotowych do zaciętej ich obrony. Oto na lewym krańcu — tu granice są dotąd najszywniejsze — okopała się grupa wciąż i uparcie ideologiczna, wskrzeszając w nowych okolicznościach stare treści i oskarżając państwo o reprezentację interesów „monopolistycznego kapitału”. Praktycznie jednak ta krańcowa grupa nie ma w tej chwili żadnego wpływu w SPD, a rozwój wśród młodzieży — zorganizowanej i niezorganizowanej zresztą — zdaje się wskazywać, że po latach hałasu i chaosu fanatyzm, przynajmniej ten najostrejszy, na ogół wyparował. Silniejsze, chociaż zarazem bardziej rozproszone są kręgi umiarkowane niecierpliwych — ich presja płynie z rozczarowania powolnością reform, a więc raczej z ducha niż z ideologii.

Jednakże ani owi skrajni, ani ci niecierpliwi nie wyznaczają dziś terenu sporów wewnętrznych. Na plan wchodzi natomiast problematyka energetyczno-atomowa, ona to skupia na sobie uwagę i staje się nawet jednym z tematów, krystalizujących tendencje w partii.

Na ostatnim grudniowym Kongresie SPD wnioszek mniejszości za ograniczeniem budowy nowych elektrowni atomowych, całkowitą rezygnacją z nich w przyszłości i przejściem w gospodarce wewnętrznej na energię otrzymywaną innymi drogami uzyskał 42 % głosów. Tendencja jest więc silna. Również rząd popiera zresztą eksploatację innych źródeł energii — przede wszystkim węgla — lecz w obliczu obecnej sytuacji energetycznej na świe-

cie nie widzi możliwości radykalnego odwrotu od energii atomowej. Podkreślić przy tym trzeba, że w świetle ekspertyz porównawczych stopień bezpieczeństwa w funkcjonowaniu niemieckich instalacji atomowych należy do najwyższych na świecie.

Do tej pory spór był o tyle trudniejszy, że z płaszczyzny rzeczowej dyskusji przesuwiał się niepostrzeżenie na płaszczyznę sztucznie konstruowanej ideologii. Rzecznicy nurtu ekologicznego dążą bowiem do skierowania we wspólne łóżysko nasilających się dziś w Niemczech lęków społecznych (o czym była już mowa) przed nieznanymi skutkami wszelkich, także pokojowych, zastosowań energii atomowej. W trzonie SPD, w kręgach specjalistów, ścierają się argumenty, chodzi o procesy i wielkości wymierne w granicach prawdopodobieństwa. Ale gdzieś na peryferiach partii i wśród części opinii społecznej ożywiają się emocje, całkowicie oderwane od podstaw racjonalnych. Światu niepowstrzymanego rozwoju techniki, groźbom o niewyobrażalnej mocy przeciwstawiają one świat bezpieczny i łagodny, w którym nie straszą atomy. Łudzą szansą ucieczki od współczesnych prawideł i konieczności, myślą wizją oszańcowania się w zamkniętym kole, odgradzonym od reszty złego kosmosu i jakoś tam strzeżonym.

Ale tymczasem wojska sowieckie wkroczyły do Afganistanu, co zmienia wszelkie kryteria oceny nie tylko w zakresie polityki zagranicznej, ale także w zakresie wewnętrznych problemów gospodarczych. Tendencji ekologicznej przyjdzie zderzyć się szybko z rzeczywistością o wiele niż dotąd twardszą, zawierającą znacznie więcej niewiadomych. Jeszcze przed Afganistanem i niezależnie nawet od dyskusji nad energią atomową, natomiast w związku ze światową eksplozją cen ropy naftowej minister spraw gospodarczych przestrzegał przed iluzjami: wbrew korzystnym prognozom w koniunkturze wewnętrznej sytuacja od lat w Niemczech utrwaliła nie musi być wieczna. Nikt dziś nie zagwarantuje, że z końcem każdego roku siła nabywczą pracownika wzrośnie w stosunku do początku roku, jak się to działo dotychczas. W obecnej sytuacji międzynarodowej konieczność stopniowego uniezależniania się od importu ropy może stać się z dnia na dzień nie kwestią rozwoju gospodarczego, lecz kwestią życiową dla całego Zachodu.

Komentatorzy grudniowego Kongresu SPD podkreślali, że w socjaldemokracji niemieckiej odzwierciedlają się dzisiaj główne tendencje, nastroje i lęki nurtujące całe społeczeństwo. Jeśli jest tak istotnie, to wydaje się, że tak wewnątrz tej partii, jak w ogóle w życiu społecznym troski najważniejsze wypierać będą mniej ważne i każą spojrzeć inaczej na hierarchię spraw i hierarchię niepokojów.

IV

Jeśli różnią się między sobą dwa zarysowane powyżej warianty dążenia do socjalizmu demokratycznego, to odbiegają również od siebie sposoby ich społecznego odbioru. Wariant francuski wspiera się — jak długo jest programem — o pobudzany światłomie, choć dziś już nieco przytłumiony, napęd wielkich, patetycznych oczekiwań. Wariantowi niemieckiemu towarzyszy krok w krok szczegółowa obserwacja oraz kontrola czy i w jakiej mierze urzeczywistnia on deklarowane zamiary. Zaznaczyłam przedtem, że rozbieżności nie wynikają tylko z naturalnych przeciwieństw między stadium programu a stadium władzy, ale z różnic w postawach i koncepcji. Podział — jeśli o postawy idzie — nie jest zresztą sztywny, nie przebiega wzdłuż granic państwowych, przykłady jednej i drugiej, a także zapewne przykłady ich wzajemnego przenikania można by znaleźć w ramach tych samych partii, tak we Francji, jak w Niemczech, jak również gdzie indziej.

Na ogół wszakże gotowość akceptacji społecznej socjalizmu demokratycznego tym bardziej staje się ostrożna i krytyczna, im ściślej wiąże się z praktyką przypatrywania się wyłonionej przezeń władzy, czasem władzy z przerwami. Zwycięstwa czy klęski wyborcze nie następują tylko na skutek podstawowych zmian w układach sił społecznych, lecz często także na skutek wahań właśnie w stopniu owej akceptacji. Los Labour Party w ostatnich wyborach angielskich ujawnił zmęczenie własnej jej klienteli dogmatyczną, nierealistyczną polityką gospodarczą związków zawodowych. W Szwecji, gdzie ciągle rozbudowa najrozleglejszego bodajże w Europie systemu opieki i ubezpieczeń społecznych zderzyła się w jakimś momencie z elementami kryzysu gospodarczego, narosło jednocześnie rozdrażnienie z powodu systemu podatkowego, który uderza najdotkliwiej w średnio zarabiające kategorie ludności. Nawet w Austrii, gdzie socjaliści mają dziś większość stosunkowo najbardziej w Europie ustabilizowaną, i gdzie ich działalność reformatorska przebiega względnie gładko, nawet tam podnieśli głos krytycy wewnętrzni, kiedy niedawno przeprowadzone badania dowiodły, że od czasu objęcia władzy w roku 1970 wzrósł wprawdzie ogólny poziom dochodów, lecz nie zmniejszyły się różnice między nimi.

W tym powszechnym procesie równoczesnego narastania aspiracji społecznych i krytycyzmu wobec systemów ich realizacji pojawiają się refleksje, dążące już do pewnych syntez. W lekturach, w rozmowach, w obserwacjach potrafimy dziś przy płata-

ninie ocen i masie nieporozumień uchwycić pewną opinię zbiorczą, płynącą z doświadczeń, porównującą i porządkującą. Wchłania ona w siebie wyraźne zastrzeżenia, obwarowuje się zróżnicowanymi warunkami, wysuwa określone żądania, obraca się między biegunem ufności a biegunem rezerwy. Czego więc żąda owa zbiorcza, sceptyczna opinia społeczna — gdyby spróbować jej postulatów w prostym skrócie zebrać i wymienić? Czego wymaga od socjalizmu demokratycznego w sferze programów i w sferze działań?

Wymaga przede wszystkim, by nie ulegał on „pokusom totalitaryzmu” ani nie wchodził w sojusze, które mogłyby przeobrazić go we własne przeciwieństwo. Wymaga, by zachowywał płynność, czyli unikał abstrakcji w programowaniu i pozostawał trzeźwy w propozycjach aktualnych; by otwierał się szeroko dla możliwie licznych motywacji i opcji a równocześnie potrafił wysnuwać z nich to co wspólne; by nie wysychał, wtłoczony w instytucje, by na pytanie *czym ma być* nie szukał odpowiedzi w spisie dogmatów, lecz odczytywał ją wciąż na nowo w rzeczywistych procesach społecznych. Wymaga, by nie słabła jego dążność do ograniczania nierówności, by jednak z drugiej strony nie porywał się na utopijny pośpiech, zagrażający funkcjonowaniu gospodarki i demokracji. Wymaga moralnej rehabilitacji kompromisu społecznego, zdjęcia zeń znaku rezygnacji czy stempla „zła koniecznego” i przeniesienia go w sferę ważnych ludzkich wartości, pomocnych na co dzień we współżyciu i współdziałaniu. Wymaga od jednostki zerwania z metodą całościowych akcesów na wiarę, a więc pokonywania lenistwa myślowego; ciągłego rozróżniania między akceptacją kierunku ogólnego a koniecznością szczegółowego krytycyzmu. Wymaga — dla jednostki — prawa do dokonywania wyborów nieustających, niezależnych i nie globalnych.

Wersja patetyczna socjalizmu demokratycznego — zarówno w zakresie funkcji jak i odbioru społecznego — zdaje się w Europie Zachodniej kurczyć, wersja sceptyczna — rozszerzać. Pierwsza zarzuca drugiej obniżenie lotu, przyziemność, zatrącanie w codziennym pragmatyzmie dalekiej perspektywy, rezygnację z wielkich celów. Druga dzieli widzenie bliższej i dalszej przyszłości na szereg skromniejszych perspektyw cząstkowych, gdyż wyrasta z poglądu, że skuteczniej spełniać będzie swoje trwałe zadania pomocy ludziom, jeśli we własne ostateczne spełnienie nie uwierzy.

Kamila CHYLIŃSKA

Podróż do Afryki

„The events of the next two or three years will decide the future of the Republic of South Africa”.

Generał Magnus Malan, Naczelny Dowódca Sił Zbrojnych RSA, w październiku, 1979.

Generał Malan dodał: „Ludność powinna zdać sobie sprawę z powagi chwili i nie żywić złudzeń, że sytuacja nie jest wzrastająco groźna”. Londyński *The Economist* omawiając to przemówienie zauważył: „*The Republic of South Africa is obsessed with politics*”. Ocena poważnego pisma londyńskiego jest może nieco hiperboliczna. Biali mieszkańcy republiki — bo o nich tu chodzi — nie są „opętani” polityką; raczej są po prostu przestraszeni tym co dzieje się dokoła ich bogatego, czystego, rzetelnie rozbudowanego państwa. Dodajmy, że głos Malana nie jest odosobniony. Według przywódcy Nowej Republikańskiej Partii, M. Raw, „dekada lat 80-tych zadecyduje o losach republiki po wsze czasy. Nadchodzące dziesięć lat będą ostatnią okazją dla przeprowadzenia zmian w ustroju metodą pokojową”. Jeszcze wyraźniej postawił sprawę profesor Gideon Jacobs przemawiając niedawno do wychowanków Uniwersytetu Witwatersrand: „Za jakieś pięć lat Biali w Południowej Afryce staną wobec decyzji przed jakimi teraz stoją Biali w Namibii i w Zimbabwe-Rodezji: rozszerzenia swej bazy ekonomicznej — albo politycznej eksplozji. Możemy zostać zmuszeni do obniżenia naszego poziomu życia”. Taką samą ocenę sytuacji można znaleźć w poważniejszych artykułach redakcyjnych, prawie codziennie: że jeżeli jakimś cudem dyskryminacja w stosunku do nie-Białych nie zostanie zniesiona przez prawo — a na taki cud nie można liczyć w tej chwili — to RSA winna być przygotowana na rozwój wypadków po-

dobny do kampanii o równouprawnienie Murzynów w USA. „Południowa Afryka musi dostosować się do zmian. Będziemy musieli nauczyć się cierpieć”.

Faktem jest, że kraj żyje w stanie wzrastającego niepokoju. W Republice Południowej Afryki stosowana jest cenzura prasy i książek; zatem wszystkie powyżej podane wypowiedzi musiały być ogłoszone za zgodą rządu — co dowodzi że sytuacja jest uznana za poważną. Niewątpliwie do uświadomienia sobie tej powagi przyczyniły się w znacznym stopniu wypadki w Rodezji, gdzie na wszystkich ustach jest przerażające dla białego człowieka hasło: *majority rule*, czyli demokratyczne rządy większości. A w państwie gdzie na 24 miliony jest tylko nieco ponad 4 miliony Białych; gdzie przeciętna płaca Czarnego jest prawie dziesięć razy mniejsza od dochodu białego obywatela RSA; gdzie biali panowie żyją w luksusie a Czarni ledwie wiążą koniec z końcem — tam widmo rządów większości może wzbudzać paraliżującą grozę i strach przed przyszłością już czyhającą za horyzontem, czy to na granicy otwarcie komunistycznego Mozambiku, czy w hasłach Patriotycznego Frontu w sąsiedniej Rodezji, lub w pamfletach i komunikatach Organizacji Afrykańskiej Jedności pretendującej do reprezentowania 420 milionów Czarnego Łądu, obliczanych na 800 milionów w niedalekim już roku 2000.

Aczkolwiek niektórzy, mniej demagogiczni i nawet poważni przywódcy Czarnych zdają sobie sprawę że nie można na tempo stworzyć Utopii; że niepodległość nie jest panaceum na bóle polityczne i ekonomiczne; że Biali i ich *know-how* są wciąż potrzebni — to jednak ci czarni politycy muszą liczyć się z opinią ciemnych mas jakie reprezentują. Chyba dlatego nie mogli zatrzymać ubytku, podczas ostatniej dekady: 800 tysięcy Francuzów, 600 tysięcy Portugalczyków, Belgów i innych. Tylko w Republice Afryki Południowej — oficjalna nazwa: RSA — ilość Białych wzrosła, z powodu imigracji, desperacko popieranej przez rząd i przez społeczeństwo.

Ale w RSA „walka już się zaczęła i jest totalna”, jak powiedział prezydent państwa Marais Viljoen. I dodał otwarcie: „Chcę zniszczyć naszą ekonomię, kulturę, system socjalny, religię. Walczę przeciwko nam terroryści — z ukrycia. I każdy z nas musi być gotowy do mobilizacji w tej wojnie”.

Nie wszyscy walczący z ukrycia czynią to z powodów świadomości politycznych i żaden z Czarnych nie ma powodu do zachwywania się „systemem socjalnym” tak gładko i mimochodem wymienionym przez Prezydenta. Wielu Czarnych walczy po prostu z głodu, z desperacji. Według nawet konserwatywnych obliczeń ilość bezrobotnych wśród nie-Białych dochodzi do dwóch milionów. Tysiące nocują pod gołym niebem i żyją z kradzieży

i rabunku. Można ich oglądać przed luksusowymi hotelami, jak żebrzą — beczelnie lecz nie bezwstydnie. Rozmawiałem o nich z oficerami specjalnej policji, znającymi ten problem socjalny i zdającymi sobie sprawę że „ten element jest idealną pożywką dla propagandy wywrotowej kierowanej z zewnątrz — może z Pekinu, nie wykluczone że z Moskwy, albo z Dar-es-Salam”.

Próbowałem i z bezrobotnymi porozmawiać — ale prawie za każdym razem odpowiedzią było ni to wymowne ni tępe spojrzenie i niereagowanie na mój uśmiech. Najwidoczniej nie mieli do mnie zaufania, czemu się zresztą nie dziwiłem.

Albowiem trudno jest znaleźć w tym imponującym państwie powody dla których Biali mieliby cieszyć się ufnością Czarnych, Mieszkańców czy Azjatów, którzy w kraju swego urodzenia nie mają prawa wybierania władz, ani prawa stałego zamieszkania w miastach postawionych pracą ich rąk; nie wolno im nabywać nieruchomości w tychże miastach. Ich poziom utrzymania jest często poniżej międzynarodowo ustalonego minimum, bo są podle wynagradzani, a lepiej płatne prace są zarezerwowane dla Białych. Czarny nie może swobodnie wybierać szkoły/universytetu dla swoich dzieci; nie ma prawa do paszportu RSA. Dodajmy do tego *Mixed Marriages Act* (zabraniający małżeństw mieszanych); *Immorality Act* (traktujący biało-czarne stosunki płciowe jako przestępstwo); *Population Registration Act, Resettlement Act*, i *Group Areas Act*, zezwalające na przesiedlanie Czarnych do rezerwatów po wyeksmitowaniu ich z domów i często trzymające ich w namiotach aż zbudują sobie nowe osiedla. Wymieńmy oddzielne plaże kąpielowe, „europejskie” bary, „białe” letniska i kampingi, osobne obozy wojskowe, odrębne miejsca w kinach i tuziny innych ukłuc i zadrażnień których rezultatem jest albo tępy kompleks niższości, lub też zimna pasja grożąca wybuchem. Jak np. *Blanke Kleedkamers*, „białe” toalety do jakich grzecznie skierowano mnie w Middleburgh gdy w swej nieświadomości chciałem wejść do „czarnego” ustępu. Tam zaś gdzie wskazana jest dyplomatyczna dyskrecja, jak w hotelach uczęszczanych przez turystów, można Czarnego wyłączyć przez napis nad wejściem: *Right of admission reserved*.

„You can take a horse to water, but you cannot make it drink”, powiedział mi nieco sentencjonalnie starszy, solidnie wyglądający, poważny i kulturalnie wyrażający się *Afrikaner*. „Żadna ustawa nie zmusi nas do kochania Czarnych, a nawet do szanowania ich — większość tych panów na to nie zasługuje, bo są zacofani, często wręcz barbarzyńscy; wielu ma tak ograniczony słownik że nawet w ich własnym języku trudno się z nimi porozumieć”.

Ale przyznał że są wyjątki. Spotkałem się z przedstawicielami

tych wyjątków na *Randse Afrikaanse Universiteit* pod Johannesburgiem. Oprócz czarnego jak heban koloru skóry nie różnią się niczym od inteligentnych studentów z Paryża, Frankfurtu czy Krakowa. Lecz przyznają, że jednak należą do wyjątków; że poziom wykształcenia Czarnych w RSA jest niższy niż Białych. Powiedzieli mi bez żenady że gdyby wpuścić każdego Czarnego na białe uniwersytety, to trzeba by było obniżyć standard akademicki, wprowadzić *reversed discrimination*, szczególnie na wydziałach politechnicznych, albowiem Czarni nie wykazują wielkich uzdolnień do nauk ścisłych i do wyższej matematyki. Dlatego na tym uniwersytecie jest ich tylko stu, tzw. lepszych. Nie ukrywali przede mną, że aczkolwiek oni na tym skorzystali, to jednak uważają iż takie małe odstępstwa od polityki *apartheid* wprowadzane są przez rząd jedynie dla celów kosmetycznych, dla cynicznej propagandy.

Takie właśnie usiłowania stworzenia zasłony dymnej dowodzą, że rząd zdaje sobie sprawę z powagi problemu. Jak to wyraźnie powiedział czarny biskup Desmond Tutu: „Biali żyją obecnie w stanie niepewności, mają kompleks winy, który próbują ukryć pod postawą wyższości. Czarni zaś zaczynają budzić się z apatii: są coraz bardziej rozczarowani, zgorzkniali i zawzięci. Niektórzy znajdują się u kresu wytrzymałości”.

Z niejednokrotnych wypowiedzi premiera Botha i jego ministrów odpowiedzialnych za stosunki socjalne wynika jasno, że zbliża się godzina reakcji Czarnych, bo paliatywy już nie pomagają i nie zda się na wiele liczenie na tak zwanych rozsądnych spośród klas upośledzonych.

Jednak zarówno Czarni jak i Biali wiedzą że kryzys nie da się rozładować jednym lub kilkoma pociągnięciami ministerialnego pióra. Bo sytuacja jest więcej niż skomplikowana — jest chwilowo nierozwiązalna, i tego węzła nie można rozciąć po gordyjsku.

Aby to zrozumieć należy cofnąć się do początków *apartheid*, obecnie nazywanego eufemistycznie: *separate development*. Jeżeli wierzyć ekspertom rządowym, to twórcami tego systemu byli nie Holendrzy z Dutch East India Company — jeno Brytyjczycy, którym zależało przede wszystkim na zapewnieniu sobie dostatecznych i tanich sił roboczych potrzebnych do rozwoju kolonii. Dopiero później rozwinęły się objawy towarzyszące: poczucie wyższości, arogancja pokrywająca strach przed buntiem niewolników, okrutna obojętność i na koniec już przeświadczenie tradycji. Te, w pierwszym rządzie gospodarcze przyczyny *apartheid* właściwie nie zmieniły się po dziś dzień. Wciąż chodzi o nisko płatnego robotnika bez którego — przy już 16 % i wciąż wzrastającej inflacji — baza ekonomiczna Republiki Południowej Afryki mogłaby załamać się stosunkowo szybko.

Nawet te żyły złota pod Johannesburgiem i wszystkie diamenty z Kimberley nie wystarczą na płacenie czarnego robotnika stawkami europejskimi czy amerykańskimi — z dodatkami za nadgodziny, za pracę *week-end'ową* i nie tak skąpymi urlopami. Każdy ekonomista w ministerstwie skarbu w Pretorii wie że RSA po prostu nie stać w tej chwili na takie miliardowe i nadspodziewane wydatki. Ponadto, trzeba pamiętać że w obecnej sytuacji żadne rozstrzygnięcie rządowe nie jest powzięte bez prawie decydującego udziału doradców wojskowych, umieszczonych we wszystkich ministerstwach i departamentach dla koordynacji zagadnień obrony kraju z problemami socjalnymi, ekonomicznymi i konstytucyjnymi. Jest to tzw. *Security Management System*.

Armia ma głos, bo rząd liczy się z możliwością jej użycia. Wydatki na wojsko są ogromne i pilne, więc mają pierwszeństwo. Zmuszona odmową sprzedawania jej sprzętu wojennego Afryka Południowa rozwinęła swój przemysł zbrojeniowy i jest teraz największym producentem broni w południowej hemisferze. Ani rząd, ani opozycja nie ukrywają że w razie niebezpieczeństwa nie mogą — i nie chcą — liczyć na pomoc Zachodu. Więc nie szczędzą wydatków na silną flotę, sprawne lotnictwo i kompetentną armię lądową — i nie tak bardzo ukrywają że prowadzą doświadczenia nuklearne. Nie można im się dziwić — 4 miliony na 420 milionów: sytuacja trochę podobna do strategicznej pozycji Izraela, bo i Afrykanom grozi zepchnięcie do wody, do dwóch oceanów.

„Musimy zapaść korzenie — albo umrzeć tam gdzie stoimy” — taki jest piękny napis w Grahamstown, gdzie mieści się uniwersytet im. Cecil John Rhodes'a. To brzmi wyniosłe — lecz jak to pogodzić z faktem że w październiku 1979 sześćdziesięciu żołnierzy nagle opuściło swe koszary. Wzięli sobie „urlop bez pozwolenia” czyli, bez owijania w bawełnę: zdezerterowali. Uciekli do domu, do mamy i — w takich niestety żyjemy czasach — zwołali konferencję prasową. Wprost wierzyć mi się nie chciało gdy czytałem dlaczego tak postąpili: Bo nie płacą im *danger money* za służbę nadgraniczną; bo nie dają im specjalnych (?) urlopów, ani przepustek *week-end'owych*; bo każą im mieszkać w niewygodnych barakach, i są wyciągani z łóżek nagłymi alarmami we wszystkich godzinach. Komentarze naprawdę zbyteczne. A w Londynie jest *Committee of South African War Resistance* — dokoła którego skupiają się młodzi Afrykanie; ci co uciekli przed poborem do wojska. W świetle takich faktów ów napis w Grahamstown brzmi nieco patetycznie.

Mimo to nie należy wątpić, że gdyby zaszła potrzeba, Republika Południowej Afryki nie stchórzy. Rząd ciągle podkreśla że ma potencjał zbrojny i zdolność przeciwstawienia się każdemu

agresorowi. W obecnej sytuacji takie twierdzenie nie jest pustym chępieniem się — jeżeli wziąć pod uwagę, że żaden z bezpośrednich lub pośrednich sąsiadów RSA nie może pochwalić się takim przygotowaniem militarnym, ani takim zapleczem przemysłowym oraz bazą ekonomiczną jaką dysponuje Południowa Afryka na wypadek wojny.

Jak podkreślił niedawno jeden z nacjonalistycznych dzienników, *The Citizen*, „nic nie zadowoli naszych przeciwników oprócz naszego ustąpienia wobec presji Czarnych Marksistów. Dlatego musimy robić to, co uważamy za słuszne dla naszego narodu, bez względu na opinię światową której naciskowi nie wolno nam ulec — ani cofnąć się przed terrorem”. Nie są to ciche słowa. Trzy tygodnie przedtem oddział komandosów RSA zabił 38 członków organizacji Swapo w północnym Ovambo, w Afryce południowozachodniej; dziesięciu innych zostało zabitych w kilka dni później. Poza tym, oddziały *Commando Forces* armii zupełnie otwarcie pomagają rodezyjskim siłom bezpieczeństwa w ich regularnych wypadach do Zambii. Rząd RSA nie kryje się z tym że „będzie musiał zrewidować swoje stanowisko” w wypadku usadowienia się reżymu marksistowskiego na przeciwnym brzegu Limpopo. Jednak ta nie bardzo zawoalowana groźba nie jest zbyt przekonywująca wobec faktu istnienia rządów komunistycznych w Mozambiku, z którym republika ma ponad czterysta kilometrów wspólnej granicy.



Od trzech tygodni przemierzam południową Afrykę wzdłuż i wszerz: od Messiny do Kaapstadu i od Springbok do Durbanu. Ponieważ byłem tu już przedtem, nie oczekuję niespodzianek topograficznych czy urbanistycznych — oprócz nowych drapaczy chmur i ulepszonych autostrad oraz nowych dróg przez przełęcze, zbudowanych w czasie ostatniej wojny przez włoskich jeńców wojennych. (Afrykanderzy mają wrodzoną predylekcję do taniej robocizny).

Jednak znalazłem kilka nowych upiększeń, jak kapsztadzki pomnik Marii de la Queillerie, postawiony obok statuy jej męża Johana van Riebeecka, pierwszego Holendra, który wylądował w Cape Town. Bardzo estetyczny jest nowy pomnik Hugenotów w Franschhoek, otoczony winnicami o francuskich nazwach, których obecni posiadacze nie władają już tak dobrze językiem swych przodków, choć wciąż noszą kardynalskie i książęce nazwiska jak Du Plessis i De Villiers. Obejrzałem też monument postawiony językowi *afrikaans*, który w 1775 był jeszcze gwarą holendersko-flamandzką i określany był pogardliwie jako *peasant's language*. Potem, na siłę i dla zadowolenia ambicji nacjonalistycznej został

zaawansowany, z naleciałościami niemieckimi i angielskimi, do rangi języka wykładowego na kilku uniwersytetach. Obecnie istnieją gazety w *afrikaans*, a nawet pisane są — mocno subsydiowane — książki, które jednak, ze względu na ograniczony potencjał czytelniczy, nie są propozycją komercyjną dla wydawców, albowiem wielki odsetek obywateli RSA woli literacki język angielski. Temu to gramatycznie prymitywnemu „językowi” postawiono jedyny w swoim rodzaju (i może jedyny na świecie) symboliczny pomnik. Jeden z najpiękniejszych jakie widziałem.

Republika Południowej Afryki to piękny, bardzo dobrze zagospodarowany kraj, niemal pachnący dostatkiem, sprawną organizacją i holenderską schludnością. Jest tworem białych mózgów i czarnych mięśni. Każde miasto przez które przejeżdżałem ma dzielnicę domów dla Białych. Są to konstrukcje starannie przygotowane architektonicznie, o charakterze indywidualnym, nie według szablonu jak np. w Australii. Znać starą kulturę i widać, że nie żałowano pieniędzy ani czasu. Rozmaitość stylów i opracowań nadaje tym miasteczkom swoistą malowniczość, tym bardziej uderzającą i kontrastującą z odległymi zwykle o kilka kilometrów osiedlami dla Czarnych: domków-pudełek, skleconych na jedną modłę, ustawionych rzędami jak kontenery w porcie. Pozbawione jakiegokolwiek estetyki i miejscami wręcz przygnębiające — są przecie prawie luksusowe jeżeli porównać je z pozabawionymi bieżącej wody i elektryczności *rondavel*'ami w jakich mieszkają Czarni po wsiach lub w rezerwach, w *bushveld*'ach i *kraal*'ach.

Co najbardziej uderza świeżo przybyłego, to prawie całkowita nieobecność Białych na ulicach miast. Wszędzie Czarni i mieszkańcy, bo oni chodzą na piechotę, nie siedzą w samochodach, z wyjątkiem autobusów w które w godzinach wieczornych wtłoczeni są jak sardynki. Przestaje dziwić się gdy dowiaduje się że np. w Johannesburgu na około 1,6 miliona jest tylko 150 tysięcy Białych i 30 tysięcy Azjatów — reszta to Czarni z których 450 tysięcy pracuje w kopalniach złota, przebiegających głęboko pod ziemią i bardzo gorących pomimo mechanicznego chłodzenia. Niewielu z nich pracuje dłużej niż zakontraktowany rok — po czym wracają do swoich siedzib i żyją beczynniami aż skończą się zarobione pieniądze. Mimo tak wysokiego obrotu sił roboczych nie ma obawy przed ich ubytkiem. Bo Czarni, pomimo przeważnie nędznych warunków mieszkaniowych i marnej stopy życiowej — rozmnażają się obficie. Liczba urodzeń według najnowszych statystyk Organizacji Narodów Zjednoczonych wynosi 44,6 pro mille i aczkolwiek wykazują najwyższą śmiertelność dzieci w pierwszym roku życia — przyrost naturalny w Czarnej Afryce dochodzi do 3 % rocznie, co oznacza pobicie do-

tychczasowego rekordu Hindusów. Oczywiście jedną z przyczyn takiego obfitego rozmnażania się jest poligamia, której dotychczas, pomimo drakońskich prób, nie potrafiła wykorzenić nawet dyktatorska partia komunistyczna w Mozambiku.

Homelands — czyli zaprawa do niepodległości*

Światowe organizacje, a przede wszystkim silny blok Czarnych, członków ONZ, nie tylko obserwują i analizują murzyńską płodność w RSA — ale też wywierają coraz silniejszy nacisk na rząd który dobrze wie że problem *apartheid* trzeba jakoś rozładować *one way or another*, jak powiedział niezbyt dyplomatycznie jeden z domniemyanych członków *Broederbond*, tajnej, choć nie za bardzo, organizacji skrajnych nacjonalistów.

Rezultatem jest plan skoncentrowania Czarnych w rezerwach etnicznych czyli *homelands*, z których po okresie przygotowawczym ma powstać „konstelacja” dziesięciu państw etnicznych, już niepodległych, lecz strategicznie rozmieszczonych na obszarze Republiki i otoczonych Białymi, którzy wciąż trzymają 84 % obszaru ziemi w państwie.

Każdemu z tych rezerwatów rząd proponuje przyjęcie niepodległości; z chwilą gdy rezerwat optuje na rzecz niezależności uzyskuje on polityczną niezawisłość i wszyscy członkowie grupy bez względu na to gdzie w tej chwili przebywają, tracą obywatelstwo RSA, czyli baba z wozu, koniom lżej. Utrata obywatelstwa dotyczy również tych członków grupy, którzy pracują w miastach, w kopalniach i kombinatach agrarnych i przemysłowych, które bez czarnych rąk roboczych musiałyby z punktu zamknięcia kram. Tu też trzeba zaliczyć tzw. *migratory workers*, którzy wywędrowali, aby szukać chwilowej lub stałej pracy — albo najzwyczajniej uciekli, by nie dać się zamknąć w rezerwach.

Angielski socjolog z Oxfordu, Steven Lukes, pisząc w londyńskim *New Statesman* określił *homelands* jako śmietniki na które wyrzuca się zużytych i nadliczbowych Czarnych. Życie w rezerwach nie jest sielskie. Obok elementu spokojnego i rozsądnego można niestety zaobserwować pijaństwo, nożownictwo, bójki, kradzieże i rabunki jakie w niektórych osiedlach są na porządku dziennym, a raczej nocnym. Choć przebywają tam także — bo muszą — grupy Czarnych-intelektualistów, próbujących żyć w stylu zachodnim, gdy obok, w sąsiednim domu ich współ-

* Język polski określa zarówno *homeland* jak i *fatherland* jako ojczyznę. Więc zostawiłem miejscami termin angielski, który jest zresztą urzędowym eufemizmem dla maskowania niewygodnego dla rządu określenia „rezerwat”.

bracia oddają się barbarzyńskim praktykom lub zalewają robaka do nieprzytomności.

Na papierze ta koncepcja czarnych wysp na białym morzu była może w miarę atrakcyjna. Ale okazało się — i to rychło — że te nowotwory nie mogą istnieć w ekonomicznej próżni, czyli w oderwaniu od reszty RSA. *Separate development* nie pociągnęło za sobą autarkii gospodarczej i nie na wiele zdały się coraz częściej konieczne zastrzyki kapitału rządowego i starannie, z germańską gruntownością opracowane plany ekonomizacji, przysłane wraz z harmonogramami przez speców pracujących w klimatyzowanych biurach w Pretorii.

Obejrzałem te osiedla. Nie są tak bardzo podobne do cywilizowanych miast czy osad; przypominają *slums*y. Najlepiej jeszcze wyglądają otaczające je zagrody rolne. Ale w samym centrum tzw. miast aż roi się od nędznie ubranych Czarnych którzy najwyraźniej nie mają żadnego zajęcia zarobkowego. Niektórzy przyłączają się do dzieci i wyrostków grających w piłkę nożną na środku jezdni. Z okien unoszą się zapachy smażonych potraw i inne, niezbyt apetyczne. Na roku ulicy jakiś młokos wali w bęben i bez widocznego entuzjazmu oznajmia pokaz akrobatów.

Wieczorem ulice pustoszeją. Są przeważnie nie oświetlone i niebezpieczne. Także wiele domów jest bez światła pomimo wczesnej godziny wieczornej; może nie mogą pozwolić sobie na lampy. Choć nie wszyscy są tacy biedni. Żyją też w tych osiedlach świeżo upieczeni kupcy i właściciele sklepów. Lecz nie wyglądają na pewnych siebie.

Centralna administracja w dalekiej Pretorii wie o tym co się dzieje w *homelands*. Niedawno obliczyli że potrzeba około dziesięciu tysięcy dolarów dla stworzenia pracy dla jednego robotnika. Żaden prywatny kapitalista tego nie zaryzykuje, więc zostaje tylko rząd RSA mający wciąż pilniejsze priorytety. I dlatego tylko 14 % zdolnych do pracy znalazło zajęcie w rezerwach. Reszta to ci bezrobotni, którzy z nowych osiedli po prostu uciekają w zastraszających ilościach — w poszukiwaniu jakiegokolwiek pracy, lub dla oderwania się od tego trybu życia: od zaduchu, od awantur będących wynikiem przedrażnionych nerwów i od ciasnoty spowodowanej brakiem dostatecznej ilości pomieszczeń, co potwierdzają statystyki Biura Badań Ekonomicznych, które obliczyło że w ciągu dekady do 1990 trzeba budować 110 tysięcy domów rocznie aby w jakimś stopniu dać mieszkanie bezdomnym Czarnym. Na milion domów, nawet prymitywnych, rząd nie ma upłynionych funduszy.

Konieczna jest gruntowna rewizja dotychczasowych metod likwidacji *apartheid*. Na to potrzebne są dalsze badania, pienią-

dze i czas, jaki zaczyna naglić. Dlatego w tej chwili oświadczenia w tej materii są w najwyższym stopniu niewyraźne i nie sprecyzowane. Dla zyskania na czasie. Ostatnio, niektórzy zdesperowani planiści wysunęli projekt zrewidowania granic rezerwatów aby poprawić ich możliwości gospodarcze, zbliżyć je do białych ośrodków przemysłowych nawet ryzykując powstanie nowych *slums'ów* metropolitalnych. Lecz to wymagałoby dalszych przesiedleń, mogących być tą słomką, która złamała grzbiet wielbłąda — czyli wywołać otwarty bunt, jak w 1976. Jednak i te oczywiste półśrodki już wywołują reakcję skrajnych nacjonalistów którzy widzą, że te nowe paliatywy nic nie pomogą a tylko ośmielą Czarnych ekstremistów, przeważnie lewicowych.

Sytuacja jest nie do pozazdroszczenia. Obecny aparat kontroli i dyskryminacji nie może być zdemontowany w najbliższej przyszłości bez niebezpieczeństwa chaosu lub rewolucji. Dlatego Pretoria nie próbuje nawet zmniejszyć nacisku *apartheid* — raczej usiłuje go wzmocnić i tylko dla zamaskowania próbuje stworzyć w miastach uprzywilejowaną mniejszość Czarnych, aby móc posługiwać się nimi dla dalszego łudzenia opinii światowej, zresztą z małym efektem. Obiektywnie patrząc: rząd jest praktycznie w sytuacji bez wyjścia i może w ostatecznej analizie opierać się tylko na swej militarnej sile — i czekać.

A jednak znalazły się już trzy rezerваты, które zgodziły się przyjąć niepodległość. Są to: Transkei, BophutaTswana i Venda. Dwa inne *homelands*: Ciskei i KwaZulu też się szykują do legalnego oderwania od RSA.

Aby przyjrzeć się wynikom tego eksperymentu postanowiłem najpierw wybrać się do Republic of Transkei, mającej za sobą najdłuższe doświadczenie w umiejętności kierowania nawą państwową — bo już od trzech lat.

Republika Transkei — wybrana wolność

Trzy lata temu ten teren należał jeszcze do Republiki Południowej Afryki. Teraz, po jednej stronie mostu stoi elegancki murowany budynek Wydziału Bezpieczeństwa RSA, jak wnioskuje z ich mundurów i z koalicyjnych pasów z wielkimi rewolwerami. Tu bowiem jest granica — jedna z kilkunastu granic nowotworów państwowych. Sam Transkei składa się z trzech połaci oddzielonych dwoma terenami tzw. *disputed lands*; BophutaTswana jest rozerwana na siedem części rozsypanych na przestrzeni dziesiątków tysięcy kilometrów kwadratowych. Jeżeli do tego dodamy Vendę, i trzy dawne protektoraty brytyjskie oraz siedem proponowanych nowotworów jakie rząd zamierza „uwol-

nić” — to dojdziemy do wniosku, że strategicznie, demograficznie i administracyjnie sytuacja RSA nie jest typowa.

Muszę więc wypełnić formularz wyjazdowy, dać paszport do wizowania. Po drugiej stronie rzeczki Umzimkulu znów blankiet wyjazdowy i nowa pieczętka — bo jestem już w Transkei gdzie dokumenty oddaję w zwykłym, więcej niż skromnym baraku. Za ladą stoi wcale nie marsowy, czarny jak smoła Murzyn w pomiętym mundurku polowym, uzbrojony jedynie w mocno wytarty stempel. Kontrast między dostatkiem RSA i surową skromnością nowej republiki aż rzuca się w oczy. Tak jak te dwa napisy: po angielsku — *passports*, i w Xhosa — *zipaspoti*; oraz *customs* — i *icustoms*. Tak samo napisy powitalno/pożegnalne na granicy są mieszaniną angielsko-lokalną, dla określenia pojęć jakich tu nie znali — i nie potrzebowali — 36 miesięcy przedtem.

Dwoma podpisami na dokumencie przygotowanym w dalekiej Pretorii, podczas uroczystej ceremonii, którą propaganda południowoafrykańska roztrąbiła po całym świecie, stworzono nowe państwo i oddano je w zarząd ludzi nie przygotowanych do prowadzenia fabryki szczotek, a już na pewno nie do skomplikowanej administracji nowoczesnego aparatu państwa, nawet trzymilionowego. Jakby im powiedziano na modłę Piłata: *swim or sink* — pływaj, albo utop się. Chyba dlatego inne, bardziej realne nowotwory państwowe w centralnej Afryce zarzucają Republice Transkei iż jest bękartem systemu *apartheid*, bo jej niepodległość to ułuda i pretekst, aby dać Afrykanderom chwilę wytchnienia przed dalszymi atakami opinii światowej przeciwko ich polityce wobec Czarnych. Nawet skrajni nacjonaści w RSA, którym ten manewr „wolnościowy” był przecież na rękę, nie wahają się głosić, że to był krok przedwczesny i skazany na fiasko, albowiem Czarni nie dojrzały jeszcze do samodzielności państwowej, gdyż są niezdolni do własnej decyzji i nadają się jedynie do pracy pod ścisłym nadzorem.

Mniej więcej to samo stanowisko zajęła Organizacja Narodów Zjednoczonych gdy odmówiła członkostwa Republice Transkei, jako *economically non-viable*. A Organizacja Afrykańskiej Jedności (O.A.U.) wręcz oświadczyła, że Transkei nie miała prawa stwarzać precedensu przez przyjęcie z rąk najeźdźcy tego, czego on nie miał prawa dawać i co należy się Czarnym jako autochtonom. Rezultat: nikt nie uznaje paszportów republiki Transkei, ani BophutaTswany; ni Vendy.

Już w pierwszej napotkanej wiosce widzę, że bieda aż piszczy. Okrągłe chaty z małym okienkiem, z drzwiami jak właz, bez kominów — bo niby tamtędy wchodzą złe duchy. Ale, jak mi wyjaśnia uśmiechnięty starszy gminy, chodzi o to, że dym zabija termity i ich jaja. A buduje się okrągłaki, gdyż te najmniej sta-

wiają opór wiatrom — taka aerodynamika dla niezamożnych. Dachy są z trawy, tak zwanej słoniowej.

Oczywiście nie ma elektryczności ani wody bieżącej, ni układanych podłóg; zamiast nich jest ubite klepisko, specjalnie impregnowane dla ochrony przed termitami i w tymże celu mieszanane z krowim łajnem. Prawie co druga chata została zbudowana przez kobiety, bo mężczyzna niechętnie pracuje w domu i woli nadzorować swoje żony. Wciąż panuje tradycja *lobodo* — czyli kupowania żon. Dobra małżonka kosztuje w tej okolicy około 15 sztuk bydła, i niekoniecznie musi być urodziwa, jeżeli jest pracowita. Gdyby zaniedbała się w obowiązkach mąż ma prawo odesłać ją do rodziny i zażądać zwrotu bydła jakie za nią zapłacił. Takiej żony nikt potem nie kupi. Wskazali mi chatę bogacza, który miał 21 żon. Chciałbym mu się przyjrzeć, lecz nie udało się: powiedzieli mi poważnie, że jest zajęty.

W drodze do następnej osady widać coraz więcej zaniedbanych pól. Bydło jest wychudzone, co uderza po błyszczących i dobrze wypasionych krowach na starannie zagospodarowanych wygonach w RSA gdzie też przecież pracują Czarni. Tu zaś wszędzie widoczny jest niedostatek — nawet chaty malowane są z jednej strony; tam gdzie wiatry niosą deszcze nie maluje się, bo szkoda farby. Mówi mi o tym nauczycielka szkoły — znów taki okrągłak z gliny i słomy. Dowiaduję się, że w tym kraju jest ponad 50 % analfabetów, a pomimo to wciąż nie ma przymusowego szkolnictwa podstawowego. Brak funduszy. Wprawdzie w górach są cenne minerały, jednak chwilowo nie są eksploatowane, bo biali specjaliści wyjechali. Na razie kraj jakoś żyje z rolnictwa i hodowli bydła.

Ponieważ to już druga wieś i wciąż nie widziałem cmentarza (kościół i cmentarze to mój *le must*) — więc pytam. Okazuje się że nie uznają nagrobków ni cmentarzy. „To wyrzucanie pieniędzy i zbyteczny wysiłek”. Zatem zawijają się zwłoki w kawał starego płótna i zakopuje w polu — przynajmniej użyźni glebę.

Pani nauczycielka chętnie słyszy własny głos — zatem zostaje mi tylko podsumować pytania. Teraz notuję, potem sprawdzę. Na przykład o tym, że Czarni wcale nie wykazują ochoty do tezauryzacji — nikt nie oszczędza dla samego posiadania pieniędzy, nie sieje na sprzedaż, nie pracuje gdy nie musi.

W stolicy, Umtata, najpiękniejszym budynkiem jest katedra Św. Jana Ewangelisty. Gdy zająłem, nie zastałem nikogo, a siwy czarny ksiądz tylko wzruszył ramionami po moim pytaniu. Owszem, w kraju jest 50 % katolików, lecz prawie nikt nie praktykuje. Niektórzy pytają znachora czy wolno pójść do kościoła. Za odpowiednią zapłatą — pozwala. Ksiądz już dawno pogodził się z dyktaturą tradycji (niekiedy barbarzyńskiej) we

wszystkich dziedzinach życia. Jak wierzenie, że Najwyższy Duch stworzył świat i od razu przestał się nim interesować.

Próbowałem wybać co robi rząd dla swoich podopiecznych. Słyszałem prawie cyniczne odpowiedzi: że przedtem panowie ministrowie budują sobie pałace za miliony rand. Po willach i rezydencjach przychodzi kolej na groźnie wyglądające armie oraz, ma się rozumieć, gwardię bezpieczeństwa która z zasady zachowuje się tak, aby wzbudzać strach. Potem zaczyna się ściąganie podatków. Np. do 1978 mieli wozy na kołach, aż — gdy skarbcze państwowe zaczęły ukazywać dno — jedna kędzierzawa ministerialna głowa wpadła na pomysł opodatkowania tych kół, nawet zapasowych. Więc zaczęli transportować ciężary na platformach bez kół, w kształcie litery „A”, ciągnionych przez woły. Skołowana ustawa podatkowa jest już podobno zawieszona.

Z kosztownie wydanej broszury w języku angielskim dowiaduję się między innymi że „Szef” Republiki, Dr Kaiser Matanzima przyznaje, iż miasta w państwie są brudne, bo ludzie hodują bydło na rynkach i ulicach. Także domy są niechlujnie utrzymane, zamieszkałe przez osoby nie nadające się do życia miejskiego. Takich trzeba wyrzucić — ale *Chief* i jednocześnie prezes rady ministrów nie mówi kiedy i jak usunie dzikusów z miast i kto przyjdzie na ich miejsce.

Przed odjazdem złożyłem wizytę w stołecznym szpitalu. Oprowadzała mnie lekarka w mundurze, choć instytucja jest cywilna. Z głupia frant zapytałem dlaczego? — „Bo mundur ma znaczenie psychologiczne”. Udałem że wierzę i że rozumiem. Jednak z dotychczasowych obserwacji wnioskuję, że oni tu po prostu chorują na uniformomanię i tytułomanię.

W dwa dni później znów stoję nad granicą. Takie same dwa formularze, niby-rewizja celna i jestem w południowoafrykańskim miasteczku — czystym, zamożnym, przyjemnym, bez krów na rynku. I tu na ulicach prawie sami Czarni, lecz oni nie wybrali jeszcze wolności jak tamci w Umtata, Gombola czy Qumbu, gdzie pomimo wyraźnej biedy czarne twarze jednak robią wrażenie bardziej swobodnych, mniej przygnębionych niż ich pobratymcy w systemie *apartheid*.

Swaziland — wolność bez protektora

Jest ich trzy — były protektory brytyjskie „uwolnione” w latach sześćdziesiątych i obecnie tkwiące jak ciernie w masie terytorialnej Republiki Południowej Afryki od której ci nowi członkowie ONZ są zresztą całkowicie uzależnieni ekonomicznie.

Botswana: częściowo pustynna, zamieszkała przez szczepy

w pewnej mierze wciąż koczownicze, jakoś klepiące będę z hodowli kóz, owiec i, jak się da, to i bydła. Miejscami uprawiają owies i proso na swoich skromnych poletkach. Ja bym tu długo nie wytrzymał — lecz dla nich to musi wystarczyć i właśnie na tym polega ich siła żywotna. To samo da się powiedzieć o drugiej byłej brytyjskiej *dependency* (kolonia to brzydkie słowo): Lesotho — słabo rozwinięte, górzyste, bardzo biedne. 50 % jego mieszkańców regularnie i masowo wędruje do RSA w poszukiwaniu pracy.

Ostatnie z trójki nosi szumną nazwę: *Kingdom of Swaziland*, choć nie może się poszczycić nawet znośną siecią drogową. Trzeba dobrze uważać, aby nie utknąć na jakimś wąskim i prowizorycznym mostku. Od czasu do czasu stado bydła staje przed samochodem i pozostaje tylko czekać cierpliwie, jak w Kruger Park gdy pawiany obsiadają ci auto. Chyba dlatego radzono mi zwiedzać Swaziland na koniu — ale ja tego rodzaju lokomocji już nie lubię. Uprzedzono mnie też o niebezpieczeństwie malarii i motylicy (ki diabeł!) — zatem łykam proszki i liczę na szczęście. A osady przez które przejeżdżam nie są tak bardzo czyste; niektóre są wręcz zaśmiecone i kupy odpadków nie wyglądają na jednodniowe — i nie pachną.

Typowe okrągłe chaty z gliny i słomy, takie same dachy z trawy. Na drogach już nieobcy widok Murzynek z ciężarami na głowie, co nadaje im tę wyprostowaną, prawie królewską postawę, nawet w wyrazie twarzy. Ale tylko kobiety tak noszą ciężary — dla mężczyzny byłoby to poniżeniem.

Swaziland jest klasycznym przykładem tego co dzieje się z dobrze rozwiniętą kolonią po wycofaniu się protektora. Gdy tylko Brytyjczycy wyszli — produkcja spadła, ludność wzrosła, i lukratywne przemysły zostały przejęte przez kapitały międzynarodowe. Lecz i te mają trudności z obsadzaniem fabryk, bo Swazi są leniwi i nawet się tego nie wypierają, ani nie wstydzą. Pod Anglikami może musieli — teraz są wolni i nie dają się zmusić. Mogliby siać ryż i ciągnąć z tego ładne dochody — lecz irygacja, drenaż i odmulanie wymagają stałej i wyczerpującej pracy. Próbowano ich do niej namówić delegacja chińskich ekspertów niedawno tu przebywająca — nie z altruizmu, bo Chińczycy są mistrzami w wchodzeniu przez tylne drzwi. Jednak ze Swaziland odjechali z niczym.

Rząd w Mbabane próbuje czerpać dochody z nie tak wyczerpującej turystyki. Ale sama nazwa Królestwa i pokazywanie pałacu w Lozitha to trochę za blade atrakcje. I dość słabym magnesem jest ta spocona gwardia z dzidami, skórzanymi tarczami i w futrach na takie gorąco — tym bardziej że nie wolno ich fotografować. Tu można dodać, że król Sabusa II jest najstar-

szym wiekiem panującym monarchą, ma blisko 80 lat, prawie tyleż żon i 600 tysięcy poddanych. Aczkolwiek ukończył Oxford z honorami — nie pokazuje się w tożde akademickiej tylko w jakimś jakby skopiowanym od Göringa mundurze upstrzonym medalami.

Gdy Swazi uświadomili sobie, że blichtr monarchii nie zwabia obcej waluty — zbudowali kasyno gry i zorganizowali dwa kina pokazujące filmy pornograficzne — w RSA *streng verboten*. To istotnie przyciąga pewną ilość *burgherów* z Johannesburga, co nie da się powiedzieć o szumnie nazwanych „restauracjach” z pompacyjnymi sztyldami: Le Bourgeois, Picadilly, Casbach, Las Cabanas i Ritz — które są trzeciorzędny garkuchniami gdzie hinduscy mistrzowie gastronomii pitraszą egzotycznie nazwane potrawy grożące przyprawieniem o ostrą niestrawność.

Zamówiłem zatem tylko kawę, bo to najbezpieczniejsze. Obok przy stole siedzi indywiduum w europejskich spodniach, ale zamiast marynarki ma na plecach jakąś skórę z ogonem. W gęstej czuprynie tkwi czerwone piórko — czyli mam przed sobą jednego z licznych synów lub bękartów królewskich. Jest młody, i jest powszedni dzień — więc zastanawiam się z czego on żyje. Tymczasem za oknem dwaj Murzyni rozłożyli swój stragan ze sztuką ludową: drewniane dzidy bojowe *made in Durban*, słonie z rybiej kości i hebanowe noże z plastyku — cały kram wart może dziesięć dolarów. A trzy dni temu byłem w Kapsztadzie gdzie w wolnocłowych sklepach sprzedają diamenty na wagę, *wholesale*.

Nie dziwota że biali Afrykanie pogardzają Czarnymi, nie mającymi pojęcia o przyzwoitym handlu.

Zululand

W Republice Południowej Afryki żyje pięć milionów Zulusów, czyli więcej niż Białych. Bojownicy tego plemienia byli kiedyś najwięksi wzrostem wśród czarnej rasy, odznaczali się odwagą i zamiłowaniem do wolności. Teraz powoli tracą te cechy i rasowo maleją — z powodu małżeństw w obrębie szczepu.

Wielu z nich po dziś dzień żyje na odludziu prawie niedostępnym, w terenach malarycznych, jałowych i nieurodzajnych, gdzie temperatura dochodzi do 45 stopni. Tu wegetują w ubóstwie i prymitywności. Wioski otoczone są dziesięciostopowymi parkanami, chaty z trzciny impregnowanej trucizną przeciw termitom. Afrykanderzy nazywają te wioski: *kraal*; zuluska nazwa: *kwa*.

Towarzyszący mi tłumacz wskazał na trzy większe chaty: dla młodych mężczyzn, dla starców, i dla pańien które odróżnia się

po odsłoniętych piersiach. Mężatki muszą je zakrywać. Małżeństwa mają mniejsze chaty z takiejż trzciny, z niskim włazem nad którym umocowane są bawole rogi. Mężczyźni w lamparcich skórach, z tarczą i oszczepem; dzieci w *lap-lap*; chłopcy w hełmach z barwnych piór. Jedna z kobiet zademonstrowała jak śpi na pomysłowej drewnianej poduszce dla ochrony kunsztownej fryzury. Przy okazji pokazała mi jak palić haszysz w specjalnej fajce.

Zaprowadzili mnie do szefa, czyli kacyka, który pokazał mi swoje żony, a było ich kilkanaście. Zwykli śmiertelnicy w tym *kraal'u* mają najwyżej cztery żony, bo nie stać ich na kupno większego haremu przy tutejszych cenach rynkowych: 11 krów za zwykłą, 25 za córkę szefa i 50 za córkę króla. Patrzę, słucham, notuję — i wydaje mi się to wszystko trochę nierealne, niemal technikolorowe. Zaczynam indagować tłumacza — i on przyznaje że takie *kwa* są już w zaniku, a te jakie jeszcze istnieją są subsydiowane przez rząd RSA. Nie pytam czy jako atrakcje turystyczne, czy też jako jeszcze jeden argument przeciw teorii że Czarni już dojrżeli do demokracji i rządów większości.

Przez mego niezbyt biegłego w angielskim dragomana próbuję też porozmawiać ze znachorką — *witch-doctor*, po zulusku *sangoma*. Pozycję tę może także zajmować kobieta, jak w tej osadzie. Ma zakryte piersi z czego wnioskuję że to mężatka. Za poradę trzeba płacić srebrem lub złotem, bo papierowej waluty nie przyjmie. W rękę ma buławę do rzucania, lecz w oczach nieukrywany błysk mądrej ironii. Ta kobieta jest dobrą aktorką, chyba zna psychologię Czarnych i z tego żyje w dostatku i wygodnie. Nie udało mi się zobaczyć jej męża.

Wież żyje z rolnictwa, z okazjnego polowania i — jak mocno podejrzewam — z przekazów od państwowych (może także prywatnych) agencji turystycznych. Bo umizgi i zaloty dla pozyskania Zulusów trwają i gdyby udało się namówić ich do przyjęcia tej kulawej niepodległości, byłoby to swego rodzaju sukcesem — przynajmniej propagandowym — dla polityki *homelands*. Wraz z Transkeiem, BophutaTswaną i Vendą rząd miałby blisko jedenaście milionów (na szesnaście i pół) Czarnych niejako po swojej stronie i wtedy mógłby zwiększyć nacisk na inne grupy, jak Shangaan, Sapedi, Południowe Sotho i różne pomniejsze. Oczywiście, niezbyt udane wyniki, szczególnie w Transkei, każą nawet najbardziej umiarkowanym czarnym entuzjastom zastanowić się przed decydującym krokiem.

Dlatego zabiegi o względy Zulusów nie ustają. Zululand ma już semi-autonomię i jest przygotowywany do niezawisłości. Wprawdzie ich król, Zwelithini, nie ma władzy, ale „gabinet cieni” ministerialnych jest już uformowany i gotowy do objęcia

rządów w dniu „D”. Na czele stoi *Chief* Gatsha Buthelezi, którego nazwisko i wywody są prawie stale akcentowane przez dyskretnie kierowaną prasę, szczególnie tę w języku angielskim. Albowiem Buthelezi podkreśla że nie wierzy w zbrojny opór. Jest umiarkowanym realistą, *Moderate Black*, i jego zdaniem „militarne, paramilitarne, i policyjne formacje w RSA są silniejsze niż jakakolwiek kombinacja sił w tym rejonie. I każdy wie że Biali są gotowi raczej zginąć w walce niż zgodzić się na dzielenie władzy z Czarnymi”.

Z drugiej strony ten, jak go określają wrogowie, *Uncle Tom* głosi że nikt nie jest taki naiwny aby wierzyć iż Czarni samym jeno krzyżeniem mogliby doprowadzić do korzystnych dla siebie zmian politycznych i socjalnych. Buthelezi wierzy w pertraktacje — czemu sprzeciwiają się elementy radykalne kierowane przez Dr. Nthato Motlana, zwolennika bardziej gwałtownych metod, mogących szybciej osiągnąć równouprawnienie Czarnych i w konsekwencji *exodus* Białych po postawieniu niektórych przed sądem za zbrodnie przeciw ludzkości. Dr Motlana powołuje się bez osłonek na Mau Mau, Kikuyu, na Tanzanię, Kenię i Mozambik, a przede wszystkim na Rodezję gdzie — jak widać — siedmioletni terror osiągnął to do czego najprawdopodobniej nie doprowadziłyby same tylko negocjacje.

Rodezja

Przy wyjściu na pole startowe aeroportu w Johannesburgu rzuca się w oczy duży oświetlony napis: „*Gold sold here. This is your last opportunity to buy Krugerrands in South Africa*”. Punkt sprzedaży otwarty jest 24 godziny na dobę. Przypomniałem sobie to brzęczące złotem wezwanie gdy potem wylądowałem w Rodezji, nie bogatej, żyjącej w atmosferze obawy przed jutrem.

Przed chwilą rozmawiałem w barze z młodym Rodezjczykiem, tam urodzonym i wychowanym. Wczoraj wrócił z Anglii gdzie próbował zaczepić się — bez skutku. Pomimo wspólnego języka i pochodzenia czuł się w Londynie obcy, nie mógł przyzwyczaić się do kontynentalnego klimatu i ludzie byli inni niż oczekiwał, nie swoi. Na moje pytania odpowiadał chętnie, chciał się wygadać: Już przed jego wyjazdem było źle; obecnie jest podobno gorzej.

Teraz mam w rękę jeszcze jeden formularz do wypełnienia: wjazd do Rodezji. Patrzę na rubrykę: rasa i piszę *White*. Giekawe, że takiego pytania nie ma w kwestionariuszach południowoafrykańskich.

Skok z Johannesburga do Bulawayo to tylko 55 minut — lecz

tym bardziej uderza kontrast po wylądowaniu, gdy po zejściu z eleganckiego *Airbus*'u przesiadłem się do sfatygowanego turbośmigłowego *Viscount*'a już przed dekadą mocno przestarzałego. A dworzec tutejszy to szopa w porównaniu z poczekalniami na lotnisku Jan Smuts.

Moją sąsiadką na czas lotu jest Rodezyjka, już niemłoda. Prawie od razu wszczyna rozmowę — co mnie dziwi, bo jestem przyzwyczajony do anglosaskiej rezerwy. Lecz oni tu są inni: witają z otwartymi ramionami każdego cudzoziemca, aby opowiedzieć mu co się tu dzieje, a raczej by ulżyć sobie przez danie upustu wszystkim żalom do Anglii i do świata, który ich zdradził i oto wydaje na pastwę czarnym marksistom.

Okazuje się że moja sąsiadka jest siostrą kapitana naszego samolotu. Dowiaduję się — bez zadawania pytań — że przed wystartowaniem pilot otrzymuje kopertę z wyznaczonym kursem kierunkowym i wysokościowym, dla bezpieczeństwa. Te środki ostrożności obowiązują od czasu gdy terroryści zestrzelili taki jak nasz samolot przy pomocy rakiety aktywowanej gorącym z motorów — sowieckiej produkcji. Motory już zostały zmodyfikowane przez wmontowanie specjalnych deflektorów, co mnie wciąż nie pociesza. Rzecz jasna, kurs jest ciągle zmieniany. Jednym z mniej przyjemnych skutków tych ostrożności jest nagłe i od czasu do czasu niezbyt łagodne nurkowanie. Wtedy niektórzy pasażerowie chorują i to udziela się innym. Właśnie widzę jak stewardessa zabiera torebkę od jednej zażenowanej pani i wręcza jej szklankę z lodem do ssania.

Lecimy znów nisko i widzę sporo zaniedbanych pól. Zaniedbanych, czy zaniechanych? Już godzinę jesteśmy w powietrzu i wciąż pod nami są farmy na których najwyraźniej nikt nie mieszka. Drogi między jałowymi kwadratami i prostokątami są zarośnięte, zaś widoczne tu i ówdzie małe prywatne lotniska wyglądają jak opuszczone. Ani śladu życia. A może dzisiejszy kurs jest przez pustkowia i moje wnioski są przedwczesne?

Po wylądowaniu w Victoria Falls pierwszy wita mnie opalony na Murzyna wysoki Rodezyjczyk z pistoletem maszynowym zawieszonym na ramieniu i trzymanym w pozycji gotowej do strzału. Początkowo myślę że to jest nieco teatralne, aż przypominam sobie gdzie jestem. Dworzec lotniczy — wewnątrz i na zewnątrz — jest patrolowany przez dwójki wojskowych w *jungle camouflage*. Na maszynie nowa, trójkolorowa flaga już ze złotym ptakiem zimbabwe na ciemnognatowym polu.

W drodze do hotelu: pierwsze z trzech zablokowań szosy przez żołnierzy o drewnianych obliczach i penetrującym wzroku. Z boku, na trójnogu, karabin maszynowy za którym leży jeszcze

jeden gołowąs z marsową miną, w pstrym czarno-żółto-zielonym mundurze. Uśmiecham się do niego — nie reaguje.

W mojej hotelowej łazience, na lustrze, więc w najbardziej widocznym miejscu przymocowany jest napis: *In the event of an attack on the hotel act as follows*: 1. Zgaś wszystkie światła. 2. Wyjdź na korytarz. 3. Połóż się na podłodze z dala od okien. 4. Nie ruszaj się, nie wydawaj dźwięków i czekaj na dalsze instrukcje. A okna mego pokoju są zakratowane. Wprost wierzyć się nie chce, że w tej leniwej atmosferze tropikalnej, wśród szumu drzew i śpiewu ptaków na tle stłumionego huków pobliskiego wodospadu — czyha realne niebezpieczeństwo nagłej utraty życia. Teraz już rozumiem narzekania starszej pani w kiosku: że turystyka powoli ustaje. Dużo jest takich co po prostu boją się przyjechać, i nie przyciąga ich nawet ten luksusowy wiktoriański hotel zbudowany na początku dwudziestego stulecia i mogący pochwalić się, że wciąż posiada *The Patrician Cocktail Bar*, a także *Plebs Bar*. Zajrzałem do obu: są wypełnione młodzieżą, połowa w mundurach. Zastanawiam się ilu z nich wie czym była przynależność do plebsu w okresie gdy istnieli jeszcze prawdziwi patrycjusze.

Obsługa hotelowa to sami Czarni, których w Rodezji jest 28 na jednego Białego. Ale choć Biali nie przekraczają 4 % ludności — ich farmerzy są w posiadaniu 50 % ziemi ornej. I to jest największym atutem panów Nkomo i Mugabe, którzy twierdzą że Czarni muszą mieć swoją ziemię i dlatego domagają się ekspropriacji białych posiadaczy gospodarstw rolnych. Obaj przywódcy Frontu Patriotycznego głusi są na argument, że Biali dostarczają gros żywności dla Rodezji i połowę produkcji mogą eksportować. Kontrargumentem i silnym magnesem w nadchodzących wyborach może być fakt — przyznany w październiku 1979 przez rodezyjskiego ministra Sił Roboczych i Spraw Społecznych, dr. A. Mutiti — że czarni robotnicy rolni pracują za „niewolnicze stawki” około 4 dolarów miesięcznie; niektórzy pracują tylko za wyżywienie. Potwierdził także, że czarni górnicy pobierają głodowe wypłaty, do 20 dolarów na miesiąc. Dodał, że rząd chciałby podwyższyć płace na roli dziewięciokrotnie a górnicze trzykrotnie, na co potrzebna jest zgoda Związku Farmerów oraz właścicieli kopalń.

Takie warunki pracy są naturalnie jedną z przyczyn trwającego terroru i wojny podjazdowej. I Czarni uskarżają się na głód ziemi. Tych faktów nie można pominąć w analizie sytuacji w Rodezji gdzie w ciągu ostatnich siedmiu lat Oddziały Bezpieczeństwa zabiły blisko 10 tysięcy terrorystów z czego około 5 tysięcy przypada na trzy kwartały roku 1979. W tym samym czasie członkowie Frontu Patriotycznego zamordowali ponad cztery

tysiące cywilów, z czego 1.500 w 1979. Rozmawiałem o tym z oficerem rodezyjskich Sił Pogotowia. Według niego terroryści są dobrze uzbrojeni, sprawnie wyszkoleni, prowadzeni przez oficerów z których wielu otrzymało przeszkolenie w specjalnych obozach w Niemczech Wschodnich.

Na wschód od Bulawayo, w stronę Fort Victoria, działalność terrorystów jest bardzo intensywna. Patrole są wszędzie, policyjne i wojskowe. Nie można podróżować bez konwoju, bo oddziały *Zanla* pod egidą Joshua Nkomo urządzają wypadki z zastraszającą regularnością. Domy Białych, szczególnie farmy są atakowane moździerzami, granatnikami i ręcznymi granatami. Powstańcom często pomagają *Mujibas*, młodzi kolaboratorzy wojny podjazdowej.

Dlatego ilość turystów spadła z sześciu tysięcy w 1975 do pięciuset w 1979. W Johannesburgu, przed odlotem do Bulawayo, ktoś nazwał mnie nieroztropnym śmiałkiem; inny określił mnie po prostu jako durnia. A przecież ryzykowałem o wiele mniej niż ci cywile w wieku od 38 do 50 obowiązani do rejestrowania się u Dyrektora *Security Manpower* i powoływani do walki z bronią w ręku. Lub te kobiety zgłaszające się ochotniczo do rezerwy policji, do obsługi systemów alarmowych pogotowia ochrony farm. Te systemy zresztą dalekie są od kompletności. Wiele gospodarstw jeszcze nie ma parkanów obronnych, zasłon okiennych przeciw granatom i dostatecznego oświetlenia pozycji mniej zabezpieczonych przed atakiem.

Wielu farmerów w tej okolicy jest na progu ruiny. Narzekają na rząd — na zbyt małe odszkodowania za straty, na odmowę udzieleniu im wolnej ręki w odwecie i w odzyskaniu zrabowanej własności, na zbyt powolną reakcję oddziałów wojskowych. Tymczasem wszyscy chodzą z ciężkimi pistoletami na biodrach, z karabinami pod ramieniem. Nawet gdy jedzą nie odpinają broni krótkiej.

Miasteczka i osiedla, hotele i zajazdy są stale otoczone przez wojsko. Prawie wszystkie samochody są zaopatrzone w detektory przeciwwminowe. A barman który mi nalał mój *malt* ma na sobie pas z nabojami i dubeltówkę opartą o ładę. Pierwsze pytanie jakie mi zadał brzmiało: *How was the trip*. Potem pokazał mi gazetę z notatką, że wczoraj znów znaleziono w Kensington zabitego Białego: zastrzelili go i wrzucili do stawu. Zaś kilka dni temu grupa terrorystów przywiązała granat do szyi ofiary: urwało mu głowę.

Naturalnie, Rodezja nie tylko broni się, lecz także atakuje. Potrafi odgryźć się, i to otwarcie, wypadami do Zambii, Mozambiku i Botswany, w czym różnymi sposobami pomaga im Republika Południowej Afryki. Oczywiście, wielu czerpie otuchę

z takich odwetowych wycieczek. Jednak duży odsetek farmerów ma tego dość i opuszczają kraj nie mogąc dłużej wytrzymać wojny podjazdowej, izolacji, godziny policyjnej, niebezpieczeństwa grożącego kobietom, i perspektywy wywłaszczenia nawet gdyby terror skończył się. Ocenia się że 300 do 400 wyjechało w 1979. Inni postanowili na razie zostać i gotowi są pracować pod każdym rządem — lecz i oni spodziewają się końcowej konfiskaty za którą wypłacą im ochłap około 4.000 dolarów za przeciętną farmę. Chyba dlatego *The Herald* w Salisbury — pismo wychodzące od 1891 — ma całe kolumny oferujące domy na sprzedaż i tylko sporadyczne ogłoszenia chętnych do kupna; to samo dotyczy ogłoszeń o sprzedaży całego inwentarza. Jak mi powiedział tutejszy dziennikarz, zachodzi obawa że sytuacja rozwinie się tak samo jak w Kenii, gdzie po zawieszeniu broni w 1963 było 6.000 białych farmerów; obecnie pozostało mniej niż 400.

Terror ma ustać po podpisaniu ugody w Londynie*. Jednak tu, w Salisbury, w Bulawayo i Umtatie nie roi się od optymistów. Jeden zacytował mi opinię byłego premiera, Iana Smitha, że w obecnym układzie sił Front Patriotyczny wygra każde wybory. Niektórzy wyczerpani nerwowo farmerzy nie wierzą w możliwość zupełnego zatrzymania wojny przez ustną czy pisemną deklarację w londyńskim pałacu. Po drugie, logiczna jest obawa wielu Białych że po zawieszeniu broni Czarni osiągną swój cel innymi środkami: przede wszystkim zawarowaną większością — cztery na jeden — głosów w nowym parlamencie.

W Republice Południowej Afryki i w Rodezji po drugiej wojnie światowej osiedlili się też emigranci polscy. Aczkolwiek w porównaniu z Anglią, Australią czy Kanadą jest ich tu niewiele (kilka tysięcy), to jednak poziomem wykształcenia i pozycją społeczną tutejszy statystyczny imigrant polski stoi wyżej niż jego rodacy w innych krajach. Wpłynął na to przede wszystkim fakt, że RSA przyjmuje zasadniczo specjalistów i naukowców, a więc osoby wysoko płatne. Daje to oczywiście tej warstwie lepsze możliwości ekonomiczne i co za tym idzie: dużą swobodę działania kulturalno-socjalnego.

W Rodezji, gdzie podstawą gospodarki jest w pierwszym rzędzie rolnictwo i następnie górnictwo, mniej jest okazji dla imigranta; jest tu może więcej farmerów i urzędników niż inżynierów i lekarzy. Żyją tu też inżynierowie którzy zamiast suwaka

* Wyjechałem z Rodezji przed ukończeniem pertraktacji w Lancaster House.

logarytmicznego musieli wziąć do ręki francuski klucz i prowadzić warsztat — albo osiąść na farmie. Zaś ostatnie siedem lat między Limpopo i Zambezi nie były — i wciąż nie są — sprzyjające normalnej działalności kulturalnej czy nawet towarzyskiej wśród rodezyjskich Polaków.

Najliczniejsza grupa polska skupiła się w „złotym grodzie”, w Johannesburgu, gdzie Zjednoczenie Polskie wydaje swój miesięczny Biuletyn. Stolica Transwalu jest też siedzibą trochę telegraficznie nazwanej Rady Polonii Afryka Południe, reprezentującej wszystkie organizacje polonijne w RSA i Rodezji. Ostatnio Rada przystąpiła do zorganizowania budowy Pomnika Katyńskiego dla którego zostały już wybrane dwie lokalizacje; pozostaje tylko zatwierdzenie projektu i zebranie pieniędzy — to ostatnie w tak zamożnym społeczeństwie nie powinno być trudne.

W swej aktywności socjalno-narodowej tutejsza grupa napotyka na takie same trudności jak inne rozproszone po świecie polskie skupiska. Także tutejsza emigracja jest konserwatywna, ideowa, patrząca raczej wstecz niż przed siebie. Stąd ten sam co w innych centrach — już chroniczny konflikt poglądów między zapatrzonymi w przeszłość starszymi i myślącymi przede wszystkim o przyszłości młodymi — na co zwrócił uwagę biskup Szczepan Wesoły podczas swego ostatniego tu pobytu. Wynikiem tej konfrontacji dwóch pokoleń jest jednak ciągła dążność do znalezienia kompromisu, który by umożliwił przekazanie młodym doświadczeń kulturalnego starszych. Ale — jak zauważył Bp Wesoły — „kultura polska nie wyczerpuje się na stroju krakowskim czy łowickim, na mazurze, oberku czy kujawiaku. Kultura nie jest możliwa bez znajomości języka”.

Organizacyjnie Polonia w RSA prawie wcale nie różni się od innych. Jest klub, jest drużyna piłkarska, grupa taneczna; są wystawy artystyczne, wieczory brydżowe, wesołe zabawy towarzyskie i rocznice. Nie tak radośnie jest ostatnio w Rodezji, gdzie wojna domowa wymagała ofiar krwi także od Polaków: byli zabici, ranni, zniszczone majątki i tragedie rodzinne.

Jest oczywiste i nieuniknione, że Polacy, tak jak wszyscy Biali w Południowej Afryce, nie mogą odnosić się obojętnie do rozwoju wypadków w Rodezji gdzie przewaga białego człowieka — tak czy siak — zbliża się ku końcowi. To pozostawiłoby Republikę Południowej Afryki jako ostatni bastion systemu *apartheid*. Każdy rozsądny obywatel RSA zdaje sobie sprawę, że sytuacja jest nietrwała i niebezpieczna. Szczególnie odbija się ta niepewność na społeczności polskiej, składającej się po części z emigrantów którzy już raz uciekli przed groźbą marksizmu i teraz znów widzą go wokół, za miedzą: w Mozambiku, w Namibii i może już wkrótce w Rodezji. Ponadto, dla wielu tutej-

szych Polaków republika południowoafrykańska jest już drugim, albo i trzecim portem schronienia od września 1939. Tu nareszcie udało im się znaleźć państwo w którym mogli dorobić się, żyć w dostatku, niektórzy we względnych luksusie. Praca ich jest ceniona, wiedza wynagradzana. I nagle zjawia się na horyzoncie perspektywa ponownego przymusowego wyjazdu.

Może to jest przypadkowe, ale nie spotkałem ani jednego rodaka, który by wyraził gotowość walki o swą nową ojczyznę — choć nie wątpię że są tu i tacy. Faktem jest że wielu przygotowuje się psychicznie i finansowo do opuszczenia Afryki — gdyby nie było innego wyjścia. Jest też pewien odsetek takich co starają się wmówić w siebie, i w innych, że jakoś to będzie, że rozejdzie się po kościach, że nigdzie w Afryce nie jest Czarnym tak dobrze jak w RSA. Lecz chyba i ci pozorni optymiści biorą pod uwagę inne możliwości. Są na to dostatecznie inteligentni.

Albowiem jedno jest pewne — sytuacja w RSA zbliża się do przełomowego momentu. Rozwiązanie — może radykalne — wydaje się nieuniknione. Segregacja rasowa, na dłuższą metę, jest nie do utrzymania.

Adam NASIELSKI

Grudzień 1979.

OBRAZY POLSKIE NA SPRZEDAŻ

Tade Makowski, Eugeniusz Żak, Józef Pankiewicz, Piotr Michałowski, Rafał Malczewski, Gustaw Gwozdecki, Eugeniusz Eibisch, Wacław Zawadowski, Eugeniusz Geppert, Teodor Axentowicz, Aleksander Orłowski, Juliusz Kossak, Zofia Stryjenska, Maja Berezowska oraz inni.

Duży wybór starych polskich map i sztychów XVI-XVIII wiek.
Fotografie i informacje na żądanie.

THE LIPERT STUDIO

17 Norton Road, East Brunswick,
New Jersey, 08816 U.S.A.

Również kupujemy obrazy, sztychy, książki, srebro, porcelanę
oraz inne dzieła sztuki polskiej.

Archiwum polityczne

Wywiad z prof. Edwardem Lipińskim

Stockholm, w marcu.

W moim długim życiu spotkałem się z wybitnymi ludźmi, którzy pomimo sędziwego wieku zachowali pełnię władz umysłowych. Nie zdarzyło mi się jednak zetknąć z 92-letnim człowiekiem o tak świeżym, postępowym umyśle. W czasie rozmów prywatnych wykazuje fenomenalną pamięć, nie tracąc wątku prowadzi żywą, mądrą, dowcipną konwersację. Jeszcze bardziej imponująca jest jego zdolność wygłoszenia godzinnego przemówienia na zebraniu Koła Przyjaciół *Kultury*, w którym udział wzięło przeszło 170 osób. Nie zaglądając do notatek mówił bez zmęczenia, żywo, interesująco, sypiąc cyframi. W czasie dyskusji reagował szybko i dowcipnie na zadawane pytania, zbierając burze oklasków.

Edwarda Lipińskiego nazwać można bez przesady *Grand Old Man* polskiej nauki ekonomicznej. Jest członkiem Polskiej Akademii Nauk. Był prezesem Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego (którego jest obecnie prezesem honorowym), jest członkiem honorowym szeregu zagranicznych instytucji i stowarzyszeń naukowych, m.in. angielskiej Akademii Nauk.

Mając jako ekonomista międzynarodową sławę, prof. Edward Lipiński po 1956 roku został powołany, m.in. z profesorami Oskarem Lange i Kaleckim, na członka Rady Ekonomicznej, której zadaniem było przygotowanie projektu reform ekonomicznych. Projektu tego, opracowanego przez najwybitniejszych polskich ekonomistów, władze PRL niestety nie wprowadziły w życie.

Edward Lipiński ukończył studia ekonomiczne jeszcze przed pierwszą wojną światową w Lipsku i Zurychu. W 1906 roku przystąpił do PPS-Lewica. Gdy stronnictwo to połączyło się w 1918 roku z SDKPiL (Socjal-Demokracja Królestwa Polskiego i Litwy) i stworzono polski komunizm, Lipiński opuścił szeregi PPS-Lewi-

ca. Porzucił politykę, poświęcając się całkowicie pracy naukowej.

W okresie międzywojennym był m.in. dyrektorem Instytutu Badania Konjunktur, w czasie okupacji zaś kierował tajnym wyższym nauczaniem ekonomicznym najpierw w Warszawie, a po Powstaniu w Częstochowie. Miał wówczas powiązania z rządem polskim w Londynie. Przystąpił do PPS, której tym razem nie opuścił, gdy PPS połączyła się z PPR-em w PZPR. Nie mógł jednak pogodzić się z polityką PZPR-u, którą nieraz krytykował. Został też z partii tej usunięty. W rozmowie ze mną przyznał, że popełnił wielki błąd nie występując z PZPR-u zaraz po przyłączeniu się PPS. Zajmując krytyczne stanowisko wobec horrendalnej polityki władz PRL, należał później do pierwszego, ścisłego grona założycieli KOR-u.

Przed powrotem do kraju profesor Edward Lipiński zgodził się na udzielenie wywiadu dla *Kultury*.

— W prasie szwedzkiej ukazały się ostatnio artykuły oceniające bardzo pesymistycznie sytuację gospodarczą Polski. — Jak Pan Profesor ocenia obecną sytuację Polski, nie tylko gospodarczą ale także i polityczną?

— Sytuację gospodarczą w Polsce można nazwać kryzysem. Jest on spowodowany nie tylko zadłużeniem, jakkolwiek obecnie to także wpływa na sytuację. Zadłużenie trzeba spłacać, aby spłacać, trzeba powiększyć eksport. Wszystko co się nadaje do eksportu jest eksportowane: drzewo (wycina się lasy), węgiel, mięso, itd. Powoduje to braki na rynku krajowym. Zredukowano import, co spowodowało zakłócenie produkcji, zmniejszono np. import dla przemysłu farmaceutycznego — stąd ostry brak lekarstw, brak również nie tylko surowców ale maszyn i artykułów konsumpcyjnych. Wszystko to prowadzi do obniżenia stopy życiowej ludności.

Zaciągnięte kredyty musi ktoś zapłacić. W dużej mierze płaci ludność przez obniżenie stopy życiowej. Ale kryzys jest spowodowany nie tylko faktem, że wielkie inwestycje były finansowane przez kredyty zagraniczne, ale również tym, że w wielu wypadkach były to inwestycje chybione. Mniemano początkowo, że nowe inwestycje, oparte na licencji zagranicznej, zaczyna niebawem produkować towary, które będzie można eksportować za granicę i w ten sposób spłacać długi zaciągnięte na te inwestycje. To się nie udało.

Z drugiej strony w realizacji ambitnego planu całkowitego uprzemysłowienia Polski, stworzenia — jak mówił Gierek — „Nowej Polski”, popełniono wielkie błędy. Błędy te polegały na często niedostatecznym przygotowaniu planów inwestycyjnych, a przede wszystkim na stworzeniu tzw. „wąskich gardeł”. Inwestycje były głównie w przemyśle ciężkim a nie konsumpcyjnym. Pewne działy ekonomiczne pozostały całkowicie niedorozwinięte,

np. rolnictwo, transport, energia elektryczna, mieszkania dla ludności, szpitale. Wszystko to stworzyło hamulce dla rozwoju całości gospodarczej. Jeżeli bowiem jest węgiel a nie ma wagonów dla jego transportu, nie można zaopatrzyć konsumentów w węgiel. Rolnik polski ma szczególne trudności w nabyciu węgla. Jeżeli brak energii elektrycznej, to od czasu do czasu, i to dość często, wyłącza się prąd nie tylko dla mieszkań prywatnych ale i dla fabryk i szpitali. Stąd fabryki często stoją. Prawdziwą katastrofą stała się sprawa mieszkaniowa. Młody człowiek, jeżeli nawet zapisze się do spółdzielni mieszkaniowej, co jest obecnie utrudnione, musi czekać do 10-ciu lat, aby otrzymać mieszkanie. Sytuacja mieszkaniowa stale się pogarsza. Niedorozwój rolnictwa, słabe zaopatrzenie rolników w węgiel, materiały budowlane, elektryczność, paszę dla bydła, maszyny rolnicze, traktory sprawia że wydajność rolnictwa jest mała, że musimy importować ogromne ilości zboża i paszy, zamiast zboże eksportować a kupować maszyny i surowce. Sytuację gospodarczą oceniam bardzo pesymistycznie.

— *Jak wygląda sytuacja polityczna Polski na tle katastrofy gospodarczej?*

— Sytuacja polityczna zaczyna się chyba pogarszać po VIII-ym zjeździe partii. Wzmogły się represje wobec opozycji. Przed samym moim wyjazdem, na dwa dni przed zjazdem partii, uniemożliwiono normalne zebranie KOR-u, aresztując i zatrzymując osoby zdążające na to zebranie. Tylko cztery osoby z około trzydziestu dotarły na miejsce posiedzenia. Praktyka tego rodzaju jest w dalszym ciągu kontynuowana. Był wypadek wdarcia się milicji do zamkniętego mieszkania, które po rewizji zaplombowano. Można więc przypuszczać, że w związku z nowym układem osobowym w Biurze Politycznym postanowiono zaostriżyć akcję represyjną. Tymczasem wydawałoby się, że koniecznym warunkiem wszelkiej akcji zmierzającej do wyjścia z ciężkiego kryzysu jest zdobycie z powrotem zaufania mas ludności. Zaufanie to partia straciła całkowicie. Reformy demokratyczne, zapowiedziane np. przez Rakowskiego, zostały najwidoczniej całkowicie zaniechane.

— *Jaką działalność może jeszcze prowadzić demokratyczna opozycja w kraju w tej, coraz bardziej pogarszającej się, sytuacji politycznej? Jakie są perspektywy dla tej opozycji?*

— Po wypadkach w roku 1976 powstała w Polsce nowa sytuacja polityczna. Rozwinął się duży ruch polityczny. Jest zrozumiałe, że obok KOR-u powstały i inne organizacje polityczne. Nie są to partie polityczne. Według mnie czasy nie dojrzały do tworzenia partii politycznych, posiadających własne, zdefiniowane programy polityczne. Jedynym bowiem programem w obecnej

sytuacji politycznej jest walka o demokratyzację i o suwerenność kraju. Inne sprawy odłożymy na później, kiedy kraj będzie mógł sam się rządzić, ustanie panowanie jedynej partii i zależność od obcego mocarstwa. Dlatego nie widzę potrzeby wewnętrznych walk politycznych. W gruncie rzeczy nic nie różni politycznie KOR-u od stanowiska Kościoła i polityki ROPCiO. Mimo to sądzę, że pewne zróżnicowanie jest usprawiedliwione względami ambicjonalnymi, charakterologicznymi czy emocjonalnymi. KOR stał się pewnego rodzaju przedstawicielstwem narodu. Składa się bowiem z osób o różnych orientacjach światopoglądowych i politycznych. Członkami KOR-u są dwaj księża, wielu b. PPS-owców, b. komunistów i osób o postawie konserwatywnej. Wewnątrz KOR-u nie istnieją sprzeczności polityczne. Utworzenie partii politycznej, jak to uczynił Leszek Moczulski, wydaje mi się posunięciem politycznie raczej zbędnym. Zarzuty które stawia KOR-owi Moczulski są całkowicie śmieszne (rzekomo KOR idzie na dialog z władzami). Z drugiej strony jest mi trudno uwierzyć w zarzuty, które niektórzy stawiają Moczulskiemu.

— *Jakie poglądy polityczne przeważają dzisiaj w polskim społeczeństwie?*

— Zapytuje mnie Pan o poglądy polityczne dzisiejszego społeczeństwa. Wydaje mi się, że społeczeństwo polskie w swojej masie jest w dużym stopniu zdepolityzowane; społeczeństwo nie posiada przywódców, prasy, informacji politycznej. Nie ma w Polsce dyskusji politycznej. Społeczeństwo jest zarzucane sfałszowaną i zniekształconą informacją, nie może tworzyć jawnych organizacji politycznych, obejmujących większe grupy ludzi, a ponadto — wobec istnienia w kraju jednego pracodawcy, który zmusza ludzi do przyjęcia jedynej ideologii — społeczeństwo jest zmuszane do przystosowania się do istniejących warunków. Bowiem jawne głoszenie odmiennych poglądów grozi utratą pracy nie tylko temu, kto je głosi, ale także trudnościami dla jego rodziny. Istnieje w Polsce to co się w Niemczech nazywa *Berufsverbot*.

Profesor Edward Lipiński był zaproszony do Szwecji przez Instytut Nauk Ekonomicznych przy Uniwersytecie Stockholmskim, a w szczególności przez laureata nagrody Nobla, profesora Gunnara Myrdała. Jako reprezentant KSS „KOR” był przyjęty przez kierownictwa szwedzkiej Partii Socjaldemokratycznej oraz ruchu związkowego i spółdzielczego. Wydano na jego cześć uroczysty lunch, w czasie którego Lipiński wygłosił przemówienie o sytuacji KOR-u.

W czasie swego pobytu w Stockholmie i Oslo Lipiński spotkał się z szeregiem wybitnych osobistości, jak np. ze stałym sekretarzem Szwedzkiej Akademii Literatury doktorem Larsem Gyllenstenem.

Mając na uwadze rozmowy, jakie profesor Lipiński prowadził ze Szwedami, m.in. także z ludźmi całkiem prywatnymi, zadałem mu na zakończenie wywiadu pytanie, jakie wyniósł wrażenia z tych rozmów, jeżeli chodzi o sprawy polskie.

— Jest pewne zrozumienie naszych spraw, ale nie zanadto głębokie. Moje wypowiedzi były w pewnym stopniu traktowane jako coś nowego. Ale spotkałem też ludzi, którzy bywali w Polsce i mieli raczej dobre informacje o naszych stosunkach — powiedział profesor Lipiński.

Wywiad przeprowadził Norbert ŻABA

Jeszcze o radiostacjach

Na początku mojego kolejnego artykułu o radiu Wolna Europa-Swoboda chcę przytoczyć ustęp z artykułu jaki się ukazał w *Nowym Dzienniku* z dn. 18 lutego 1980 roku pt. „Sprawy finansowe RWE i Swobody”:

„W związku z powyższym dyrekcja obu rozgłośni zmuszona została do wprowadzenia oszczędności, które z kolei powodują ograniczenie działalności radia i odbijają się niekorzystnie na jego programie. Oto niektóre cięcia:

Zredukowanie materiałów otrzymywanych od pracowników niekontraktowych do ok. 40 %; zmniejszenie mocy nadajników w określonych godzinach; zredukowanie zakupu książek i czasopism; uszczuplenie nadzoru technicznego. Przewiduje się także redukcję etatów, wstrzymanie awansów, zmniejszenie podróży służbowych i różnego typu restrykcje administracyjne.

W Monachium odbyło się zebranie pracowników RWE i Swobody, zrzeszonych w czterech związkach, na którym omówiono rosnące trudności finansowe i przygotowano jednobrzmiące telegramy do prezydenta Cartera i odpowiednich komisji Izby Reprezentantów i Senatu.

Poniżej cytujemy ich treść:

Telegram do prezydenta Cartera:

„Radiu Wolna Europa i Radiu Swoboda brakuje w sposób krytyczny funduszy na ich działalność. Dyrekcja obu rozgłośni podjęła szereg kroków oszczędnościowych w celu pokrycia deficytu budżetowego na rok 1980, który osiągnie sumę 1.500.000 dolarów. Kroki te obejmują redukcję personelu, zamykanie eta-

tów, radykalne zredukowanie materiałów otrzymywanych z zewnątrz, zmniejszenie mocy nadajników a w rezultacie prowadzą do cięć programowych. Działające w RWE i Swobodzie cztery związki zawodowe, afiliowane w USA i RFN i popierające działalność obu rozgłośni, są przekonane, że kryzysy budżetowe doprowadzą do redukcji rezerw personalnych i materialnych do poziomu krytycznego. Cięcia te są fatalne dla wydajności obu radiostacji. Uważamy wobec tego za konieczne przyznanie rozgłoszom dodatkowych funduszy na rok 1980. Bez tych funduszy działalność radiostacji w okresie poważnego kryzysu międzynarodowego będzie zmniejszona”.

Tyle *Nowy Dziennik*. Niestety nic nowego w tym nie ma. O trudnościach finansowych i administracyjnych RWE i Swobody pisze ostatnio prasa amerykańska, prasa polonijna, prasa polska w Europie. W kilku artykułach zamieszczonych w *Kulturze* w ciągu ostatniego roku starałem się w miarę możliwości obiektywnie opisać trudności, jakie przeżywają rozgłosznie RWE i Swoboda, głównie ta ostatnia. Do tych spraw, już omówionych, nie mam zamiaru powracać. Ustęp z *Nowego Dziennika* przytoczyłem tylko po to, by wykazać, że widocznie nic się nie zmieniło w ostatnich kilku miesiącach.

W artykule opublikowanym w *Kulturze* Nr 9/384, 1979 r., doszedłem do wniosku, że polityka naszego „opiekuna” BIB (*Board of International Broadcasting* — rada nadzorcza mianowana przez prezydenta Stanów Zjednoczonych) zdaje się prowadzić do stopniowej likwidacji RWE i radia Swobody. Obecnie muszę zrewidować ten wniosek, nie dlatego jednak, że zmieniła się polityka kierownictwa tych dwu rozgłośni; nie dlatego, że zmieniło się postępowanie BIB; nie dlatego, że zmienił się stosunek rządu amerykańskiego do naszych rozgłośni, lecz dlatego, że w związku z sowiecką okupacją Afganistanu zmieniła się zasadniczo sytuacja międzynarodowa. Innymi słowy uważam, że w sytuacji jaka się wytworzyła obecnie nie może być mowy o likwidacji tak pożytecznej dla narodów ujarzmionych, dla Stanów Zjednoczonych i dla Europy organizacji jak połączone rozgłosznie RWE-Swoboda. Przeciwnie, teraz trzeba myśleć o rozszerzeniu naszej działalności, o zwiększeniu ilości programów, zwłaszcza w języku rosyjskim i w językach muzułmańskiej ludności Centralnej Azji. Jest rzeczą samo przez się zrozumiałą, że i przed inwazją sowiecką w dn. 27 grudnia 1979 nie było żadnych przyczyn, by likwidować nasze rozgłosznie — a jednak likwidacja była już w toku, widocznie dlatego, że prezydent Carter „zapomniał” o nas, wierząc, że *détente* doprowadzi do pokojowej współpracy między Związkiem Sowieckim i Ameryką. Ale w tydzień po agresji prezydent Carter publicznie oświadczył, że przez kilka dni dowiedział się więcej o polityce sowieckiej niż przez poprzednie trzy lata sprawowania obowiązków prezydenta Stanów Zjednoczonych. To niesłychane w swej naiwności oświadczenie pokazuje, że wbrew pozorom Carter jest jednak Bogu dzięki

zdolny do zrozumienia pewnych elementarnych sytuacji. Jego reakcja na wypadki w Afganistanie dowodzi także, że jest on pomimo wszystko zdolny do wyciągania pewnych wniosków natury ogólnej. Nie tracimy więc nadziei. Prezydent i jego otoczenie przypomną sobie wreszcie, że nasze radio istnieje i dodatkowe pieniądze na pewno się znajdują. Tu w Monachium mówi się o jakichś obietnicach, uzyskanych ponoć przez naszego prezesa, dr. Fergusona, w czasie jego ostatniej wizyty w Waszyngtonie. Obiecano nam jakoby dwa miliony dolarów na rozszerzenie programów naszych redakcji muzulmańskich, ale dotychczas nie wiadomo kiedy te pieniądze będą. Zresztą rozszerzenie działalności naszych redakcji muzulmańskich jest rzeczą bardzo trudną do przeprowadzenia, bo w ostatnich latach nie bardzo się starano o nowych ludzi i o przygotowanie odpowiedzialnych redaktorów. Trudno będzie odrobić zaniedbania i błędy tego okresu. W każdym razie żadnych zmian w muzulmańskich redakcjach dotychczas nie ma: nie ma nowych ludzi, nie ma nowych, dodatkowych programów. To samo dzieje się w redakcji rosyjskiej: ani nowych ludzi, ani nowych programów nie widać.

Trudno jest zrozumieć tę pasywność naszego kierownictwa. Wiemy oczywiście, że nie ma pieniędzy — na każdym kroku o tym słyszymy. Ale BBC też nie tarza się w złocie, a jednak Anglicy potrafili zwiększyć o pół godziny dziennie programy rosyjskie, a natychmiast po wkroczeniu wojsk sowieckich do Afganistanu także i programy w języku perskim.

Teraz dochodzimy do głównego pytania: dlaczego właściwie nie ma pieniędzy? Jak już wspominałem w moich poprzednich artykułach, trudności finansowe naszych organizacji zaczęły się od chwili, gdy wyszły one spod kontroli CIA (*Central Intelligence Agency*) i w roku 1973 zostały włączone do normalnej administracji. Wiemy, że wartość dolara ciągle spada, wiemy, że są ciągłe trudności z uchwalaniem naszego budżetu, bo musi on być aprobowany przez różne komisje Izby Reprezentantów i Senatu, wiemy, że połączenie RWE i Swobody nie mogło nie zrodzić pewnych problemów administracyjnych. Wszystko to wiemy, ale wciąż nie możemy dać odpowiedzi na pytanie: dlaczego właściwie nie ma pieniędzy?

Właśnie ukazało się kolejne sprawozdanie BIB o działalności naszego radia. Obejmuje ono okres od 1 października 1978 do 30 września 1979. Poszukajmy — może znajdziemy odpowiedź.

Przeglądając ten dokument znajdujemy szereg ciekawych wiadomości. Zaraz na początku stwierdzenie, że w ciągu ostatnich sześciu lat ogólna liczba pracowników RWE-RS zmniejszyła się o 600 osób, spadając z 2.300 do 1.700 w końcu zeszłego roku. W chwili obecnej pracowników jest już mniej, prawdopodobnie o kilkanaście osób. Dalej, że w latach 1976, 1978 i 1979 zostały przeprowadzone poważne prace techniczne i że zasięg i moc naszych nadajników znacznie się zwiększyły. Bardzo ładnie.

Jeśli chodzi o programy, o ich ilość, jakość itd., sprawozdanie podkreśla specjalny wysiłek rozgłośni polskiej RWE w zwią-

ku z wizytą papieża Jana Pawła II w Polsce w czerwcu 1979 i cytuje oświadczenie KOR-u o tym, że w czasie tej wizyty pełną informację nadawały tylko Radio Watykan i RWE. W sprawozdaniu podkreślone są także zasługi naszej rozgłośni rumuńskiej w informowaniu społeczeństwa rumuńskiego o przebiegu i skutkach trzęsienia ziemi w marcu 1977 roku oraz dobra robota rozgłośni rosyjskiej w związku z przyznaniem A. Sacharowowi nagrody Nobla w 1975 roku. Właśnie te specjalne zasługi podkreślają, zdaniem autorów sprawozdania, fakt że RWE-RS jest jedyną organizacją mogącą dawać pełną informację o tym, co naprawdę interesuje słuchaczy w Europie Wschodniej i Związku Sowieckim. „Nasze zadanie — czytamy w sprawozdaniu — różni się od zadania Głosu Ameryki, BBC i innych rozgłośni, które zajmują się głównie tym, że propagują obraz swego społeczeństwa i jego problemów politycznych. Zdaniem Rady Nadzorczej praca RWE i RS powinna być częścią procesu, który prowadzi do stopniowej ewolucji w Europie Wschodniej i Związku Sowieckim, ewolucji w kierunku bardziej odpowiedzialnej polityki wewnętrznej i zagranicznej”.

Muszę powiedzieć, że wywody o zadaniach naszych rozgłośni nie są sformułowane w sposób zupełnie jasny. Mam nadzieję, że je dobrze zrozumiałem. Trzeba pamiętać, że sprawozdanie to jest przeznaczone dla prezydenta Stanów Zjednoczonych i Kongresu i że dąży ono do uwypuklenia specjalnej roli i znaczenia naszego radia. Całkiem słusznie.

Dalej: potwierdza się, że „na skutek ograniczeń budżetowych w latach 1971-1976 liczebny stan przedstawicielstw RWE-RS za granicą (*field bureaux*) został zredukowany o dwie trzecie; w niektórych biurach pozostał tylko jeden korespondent, niektóre zaś — w Wiedniu, Stockholmie i inne — zostały zamknięte”. Od siebie dodam, że redukcje w biurach trwały i po 1976 roku i trwają nadal. BIB uważa, że ograniczenia takie, a także oszczędności dotyczące podróży służbowych specjalnych korespondentów są szkodliwe „dla organizacji, której reputacja zależy przede wszystkim od szybkiego przekazywania pełnej i dokładnej informacji”. Te krytyczne uwagi BIB skierowane są rzecz jasna do kierownictwa radia. Jeśli kierownictwo radia ponosi odpowiedzialność za te szkodliwe posunięcia, to dlaczego BIB mówi o tym dopiero teraz?

Sprawozdanie omawia dalej pewne sprawy organizacji wewnętrznej, które można pominąć w tym artykule, słusznie podkreśla znaczenie naszego *research*, który od dawna cieszy się bardzo dobrą reputacją w kołach dyplomatycznych i uniwersyteckich na Zachodzie, zwraca uwagę na to, że tylko my regularnie rozpowszechniamy materiały „samizdatu”, zarówno rosyjskiego jak i w innych językach*.

* Chyba z wyjątkiem samizdatów w języku polskim, mimo że są najliczniejsze. (*Red.*)

Jeśli chodzi o ocenę programów rosyjskich, sprawozdanie powołuje się na zdanie specjalistów prof. Maurice Friedberga, dziekana wydziału studiów słowiańskich uniwersytetu Illinois oraz R. V. Daniela, prof. historii uniwersytetu Vermont. Mówią oni, że programy rosyjskie są na ogół dobre, w wielu wypadkach bardzo dobre, ale jednocześnie zwracają uwagę na pewne specyficzne wady. Zdaniem prof. Friedberga radio nasze poświęca zbyt wiele uwagi dysydemtom sowieckim, a zbyt mało sprawom narodów nierosyjskich w Związku Sowieckim. Podkreśla on „wrogi ton” niektórych programów, mówi, że pracownicy radia Swoboda grzeszą ignorancją w sprawach zachodnich i nawet „nie wiedzą o książkach o Rosji wydawanych na Zachodzie”. W rezultacie, mówi prof. Friedberg, „same reportaże są dobre, ale dołączone do nich analizy nie są na poziomie”. Trzeba stwierdzić obiektywnie, że prof. Friedberg ma wiele racji. Zauważone przez niego wady są naturalnym wynikiem błędnej polityki kierownictwa radia Swoboda. W pewnym okresie, jak już podkreśliłem w poprzednich artykułach, została do radia przyjęta cała grupa nowych uchodźców z Rosji Sowieckiej. Wielu z nich nie miało odpowiednich kwalifikacji i kierownictwo radia niewiele dotychczas zrobiło, by tym ludziom nabycie owych kwalifikacji umożliwić. Chodzi także o to, że tzw. „nowi” nie tylko nie nie wiedzą o Zachodzie, ale też nie wiedzą jak trzeba się zachowywać i to właśnie jest źródłem rozmaitych nieporozumień, które odbijają się bardzo negatywnie na naszej pracy.

Prof. Daniels też mówi o pewnych wadach programu rosyjskiego, podkreślając, moim zdaniem niestusnie, brak kompetencji pracowników w omawianiu spraw wewnętrznych — ideologii, polityki, historii. Mówi on także, że sprawy narodów nierosyjskich (z wyjątkiem spraw żydowskich) w ogóle nie są poruszane. Prof. Daniels wysuwa zupełnie niedorzeczną propozycję, żeby zaprosić do czytania programów rosyjskich Amerykanów mówiących po rosyjsku, żeby było widać, że nie tylko uchodźcy pracują w naszym radiu. Prof. Daniels nie rozumie widocznie, że największą zaletą naszej rozgłośni rosyjskiej jest to, że jest ona językowo — w wymowie, w akcentach, w intonacji — jak najbardziej rosyjska, nawet sowiecka, dla naszych słuchaczy „swoja”. To jest, powtarzam, jej największa zaleta, ale idziemy w tym konformizmie moim zdaniem za daleko, używając bardzo często oficjalnego żargonu sowieckiego zamiast czystego języka rosyjskiego. Prof. Daniels widocznie nie wie, że teraz w Związku Sowieckim właśnie ta prawdziwa, niekoniecznie sowiecka, ale stara wymowa jest bardzo ceniona. Ani radio Swoboda, ani żadne inne radio nadające po rosyjsku nie powinno, moim zdaniem, naśladować potwornego języka używanego we wstępnym artykule w *Prawdzie* lub w komentarzach politycznych radia moskiewskiego.

Inni specjaliści, do których BIB zwrócił się o ocenę naszych programów w językach estońskim i tadżyckim, podkreślają wady, poważne wady tych programów. Jednym słowem, autorzy spra-

wozдания widzą niedociągnięcia radia Swoboda, niższy poziom programów nadawanych w różnych językach do Związku Sowieckiego w porównaniu z programami w języku polskim, rumuńskim, czeskim i słowackim, węgierskim i bułgarskim. Programy w tych językach, mówi sprawozdanie, są „lepsze”. Stwierdza ono dalej, że kierownictwo radia nie spełniło dotychczas swego zadania, które polegało na tym, by w ostatnich czterech pięciu latach podciągnąć programy radia Swoboda do poziomu pięciu redakcji RWE. Muszę zaznaczyć, że krytyka ta jest tylko częściowo uzasadniona i właściwie jest niesłuszna, bo nie uwzględnia zasadniczych różnic między RWE i Swobodą. Przede wszystkim trzeba podkreślić, że materiał ludzki jakim dysponowały te dwa radia był zupełnie inny jakościowo. W latach pięćdziesiątych, gdy RWE i radio Swoboda rozpoczęły swą działalność, redakcje wschodnioeuropejskie znalazły, w większości wypadków bez większych trudności, odpowiednią ilość zawodowych dziennikarzy, a nawet wyszkolonych już dziennikarzy radiowych, zwłaszcza Polaków i Czechów. W ten sposób ustalono od razu wysoki poziom pracy radiowej. Po 1956 roku na Zachodzie pojawiła się wielka liczba uchodźców węgierskich, wśród których nie brak było ludzi wykształconych. Z Rumunami i Bułgarami było gorzej, ale nigdy nawet w przybliżeniu nie tak źle jak z Rosjanami czy Ukraińcami. W chwili otwarcia radia Swoboda stara rosyjska emigracja nie była już w stanie dać nam potrzebnych fachowców, a w ciągu następnych kilku lat właściwie przestała istnieć. Do Swobody przyszli ludzie wyrzuceni do Niemiec przez drugą wojnę światową, element przeważnie nieciekawej i mało wykształconej, nie znający języków obcych. Jeśli programy rosyjskie utrzymywały się na jako tako przyzwoitym poziomie przez pierwszych 10-15 lat istnienia radia, to tylko dzięki obecności i pracy kilku wybitnych pisarzy i dziennikarzy, takich ludzi jak Wiktor Frank (syn znanego filozofa i pisarza), Georgij Gazdanoff, Władimir Weidle (znany historyk i znawca sztuki), Georgij Adamowicz (krytyk literacki) i jeszcze kilku pozostałych „rosyjskich Europejczyków”, członków tzw. grupy paryskiej. Ci ostatni Mohikanie wspaniałego rosyjskiego „srebrnego wieku” rosyjskiej kultury zniknęli zupełnie z horyzontu ku początkom lat 70-tych. Niedługo potem zaczęła się fala nowego uchodźstwa z Rosji Sowieckiej. Ale do radia trafiła, jak już wspomniałem w poprzednich artykułach, daleko nie najlepsza część tej nowej fali. A zresztą nawet najwybitniejsi przedstawiciele nowej emigracji nie dorównają starej inteligencji rosyjskiej ani ogólnym poziomem wykształcenia, ani znajomością języków, ani zrozumieniem sytuacji politycznej, nie wspominając już o innych rzeczach, takich na przykład jak panująca obecnie w tych kołach dziwna megalomania polityczna i pogarda dla „zgniłego” Zachodu. Jeśli zaś chodzi o nierosyjskie redakcje radia Swoboda, to w ogóle nie ma o czym mówić. Od samego początku cierpiały one na absolutny brak odpowiednich ludzi i trzeba powiedzieć,

że odpowiedzialność za to ponosi głównie kierownictwo amerykańskie. Jeszcze trzeba dodać, że te ostatnie pięć lat, te właśnie lata, w czasie których radio Swoboda miało dokonać cudu — wyrównać swe programy do poziomu programów redakcji RWE — zbiegły się z okresem największych redukcji, z okresem, gdy Swoboda utraciła wielu doświadczonych pracowników. Przy ciągłych redukcjach i stałym braku pieniędzy, powodującym najrozmaitsze ograniczenia, nie mogła ona marzyć o zasadniczym ulepszeniu swoich programów. Problem ten jest o wiele bardziej skomplikowany niż sobie wyobrażają naiwni panowie zasiadający w BIB i ich mało kompetentni pomocnicy. A jednak jest to problem zasadniczy, bo audycje rosyjskie naszego radia mają daleko większe znaczenie niż powiedzmy audycje w języku węgierskim. Tego chyba nie trzeba nikomu udowadniać, zwłaszcza w obecnej sytuacji. Rozwiązanie tego problemu wymaga wielkiego wysiłku, przeprowadzenia selekcji, znalezienia nowych, odpowiednich ludzi, kształcenia redaktorów, wydzielenia odpowiednich funduszy. Trzeba więc stwierdzić, że krytykując w tak niesłuszny sposób radio Swoboda BIB wystawia samo sobie świadectwo niekompetencji i udowadnia czarno na białym, że nie rozumie istoty problemu. Mało tego, nie proponuje niczego, co mogłoby doprowadzić do naprawy sytuacji.

Ale wróćmy do naszego zasadniczego pytania: dlaczego nie ma pieniędzy? Na stronie 21-szej sprawozdania zaczyna się rozdział pt. „Perspektywy finansowe”. Na samym początku stwierdzenie, że nie jest łatwo otrzymać fundusze dla RWE-RS „pomimo pomocy, jaką okazywały radiu obaj prezydenci Stanów Zjednoczonych i życzliwego stosunku do nas obydwu partii w Kongresie”. Dalej czytamy, że Kongres ucinął przedstawione mu budżety bardzo nieznacznie, mniej niż na jeden procent. Pieniądze było trudno otrzymać, mówią dalej autorzy sprawozdania, nie bacząc na to, że kierownictwo RWE-RS dokonało wielomilionowych oszczędności redukując personel radia o 38 % w ciągu 10 lat.

„Nie ma winnych w tej sprawie” — mówi dalej sprawozdanie. Dewaluacja dolara, inflacja i kryzys ekonomiczny spowodowały wysunięcie w Kongresie planu o przeniesieniu radia do Ameryki, planu, który, jak już wspominałem w poprzednim artykule, był jeszcze raz dokładnie przestudiowany w zeszłym roku. Cel planu: dalsze oszczędności. Na szczęście nie ma on, jak się teraz wydaje, żadnych szans realizacji. Cały ten rozdział poświęcony jest rozważaniom o przeniesieniu, ale odpowiedzi na nasze pytanie nie znajdujemy. A więc: prezydenci Stanów Zjednoczonych nas popierają, zarówno republikanie jak i demokraci odnoszą się do nas życzliwie, a potrzebnych nam pieniędzy jak nie mieliśmy przez ostatnich kilka lat, tak nie mamy obecnie. Dlaczego? Nie wiadomo. Może po prostu dlatego, że BIB nie śmie przedstawić Kongresowi większego budżetu? Dla najbardziej nieuwważnego czytelnika tego sprawozdania musi być jasne, że w rozważaniach

jego autorów brakuje jednej zasadniczej rzeczy: logiki. Jeśli stosunek władz amerykańskich do nas jest życzliwy, to dlaczego BIB nie stara się o więcej pieniędzy? Przecież ze sprawozdania wynika, że w RWE-RS jest wiele spraw do załatwienia, że sytuacja nie jest zadowalająca; dlaczego więc BIB nie wypracuje razem z kierownictwem RWE-RS ogólnego programu reorganizacji radia i nie postara się o odpowiednią sumę pieniędzy, by ją przeprowadzić? Dlaczego w sprawozdaniu nie ma ani jednego słowa o tym, że BIB prosił o większy przydział pieniędzy i że prośba ta została odrzucona? Dlaczego jedyną radą na nasze trudności finansowe są niekończące się oszczędności i cięcia?

Na te pytania odpowiedzi nie ma. Ogólnego planu przebudowy i reorganizacji RWE-RS, takiej reorganizacji, która pozwoliłaby sprostać nowym zadaniom, też nie ma. Z tego sprawozdania niestety niczego się nie można dowiedzieć — chyba tylko tego, że BIB stara się zrzucić odpowiedzialność za zły stan radia na kierownictwo w Monachium, a sam nie jest w stanie niczego pożytecznego zaproponować.

Jedyny wniosek, jaki mi się nasuwa po uważnym przeczytaniu tego sprawozdania jest następujący: BIB nie rozumie sytuacji, niczego właściwie nie proponuje i nie spełnia swego zadania; członkowie tej rady nadzorczej powinni wobec tego natychmiast podać się do dymisji.

Sergiej FIEDOTOW

Korespondencja z Rzymu

Watykan i Chiny na drodze do modus vivendi

Dwaj kardynałowie niemal równocześnie w Chinach. Najpierw kard. R. Etchegaray, przewodniczący francuskiej konferencji episkopalnej, tuż po nim F. Koenig, abp Wiednia, który jest oczekiwany w Pekinie 10 marca, podczas gdy Etchegaray będzie kontynuował jeszcze dwutygodniową podróż. Pomiedzy charakterem obydwu wizyt zachodzi pewna dość subtelna różnica, nie tyle w samej istocie, ile w formie, co jednak w specyfice chińskiej nie jest pozbawione znaczenia. Etchegaray udał się do Chin w towarzystwie znanego sinologa, jezuita P. Beauchamps, na zaproszenie Stowarzyszenia Przyjaźni z Zagranicą, a więc jako osobistość francuska, nie jako oficjalny przedstawiciel hierarchii katolickiej. Koeniga natomiast zaprosił do wygłoszenia prelekcji publicznej Instytut badań religijnych przy pekińskiej Akademii

Nauk Społecznych. Austriacki kardynał jest przewodniczącym watykańskiego Sekretariatu dla niewierzących i ma za sobą duże doświadczenie jako negocjator z okazji nieoficjalnych misji do krajów komunistycznych, powierzonych mu przez Pawła VI, zwłaszcza w początkowym stadium watykańskiej *Ostpolitik*. I stąd szczególna waga jaką w Watykanie przykładą się do wyników jego wizyty. Obie wizyty są równie ważne i uzupełniające się. Rozpoznawcza podróż Etchegaray'a, odbywająca się przy aprobacie papieskiej, nie jest *nota bene* wolna od implikacji politycznych, choć określił ją jako „misję ściśle religijną”. (Rekoncansiem czysto religijnym była wizyta bp. Mosera ze Stuttgartu w październiku ub. r.). Etchegaray miał oficjalne kontakty z przedstawicielami władz państwowych (nawet z pewnym członkiem Biura Politycznego). Rozmowy te nazwał „szczerymi i serdecznymi”. Odwiedził kilka prowincji i spotkał się z biskupami, również z kilkoma wybranymi przez „katolickie stowarzyszenie patriotyczne”, których nominacja i konsekracja są dotąd uznawane przez Stolicę Apostolską jako „nieprawowite”. Stowarzyszenie to, utworzone w 1957 roku, proklamowało swą niezależność (od Stolicy Apostolskiej). Na 65 biskupów — 20 jest mianowanych przez Watykan (przed 1954 r.), 45 zaś „wybranych” i mianowanych bez autoryzacji papieskiej. Od 1963 roku w ciągu 16 lat nie konsekrowano żadnego biskupa. W grudniu ub. roku „prymas” *ad interim* bp Yang konsekrował na biskupa Pekinu (w katedrze Niepokalanego Poczęcia) „księdza-patriotę” Fu Tieshan'a, który otrzymał święcenia kapłańskie w roku 1962 z rąk biskupa franciszkanina, który z kolei otrzymał sakrę biskupią z Rzymu przed 1949 rokiem, czyli przed powstaniem Chińskiej Republiki Ludowej. Sprawa tych nieprawowitych biskupów będzie musiała być jakoś uregulowana (ewentualnie poprzez kanoniczną konwalidację), kiedy dojdzie do normalizacji stosunków między Watykanem a Kościołem katolickim w Chinach. Stosunki te uległy przerwaniu w 1951 roku kiedy rząd Republiki Chińskiej wydał nuncjusza mons. Riberi'ego, akredytowanego przy rządzie nacjonalistycznym w Nankinie. W następnych kilku latach uległy likwidacji katolickie misje zagraniczne. W roku 1952 mons. Riberi przeniósł się na Formozę (Taiwan), gdzie powstała nuncjatura. W roku 1971, na kilka dni przed wejściem Chin Ludowych do ONZ, Watykan odwołał kolejnego nuncjusza do Rzymu. Od tej pory na Formozie rezyduje tylko *chargé d'affaires ad interim*. Watykan podtrzymywał dotąd tezę „dwóch Chin”. W Europie jedynie Watykan i Irlandia nie uznały Chińskiej Republiki Ludowej. Wybitny znawca religijnej problematyki chińskiej, ks. Wei Tsing-sing, wyświęcony w Rzymie w roku 1965 przez kard. Tisseranda, który po 40 latach mógł rok temu odwiedzić ojczyznę, twierdzi: „Uznanie Chin przez Watykan nie musi wcale oznaczać wyrzeczenia się Taiwanu, gdzie Kościół katolicki kwitnie. Taiwan jest bowiem wielką, morską prowincją chińską i stanowi *de iure* i *de facto* część składową narodowego terytorium Chin”.

W 1949 roku było w Chinach 3 miliony katolików, obecnie jest ich około 2 milionów, w większości w wieku ponad 55-60 lat. Duża część nie przystąpiła jednak do Kościoła „patriotycznego”. W okresie „rewolucji kulturalnej” katolicy, podobnie *nota bene* jak buddyści i muzułmanie oraz chrześcijanie innych wyznań (głównie protestanci), byli przedmiotem prześladowań. Kościoły pozamykano. Po śmierci Mao i likwidacji „bandy czterech” nowy kurs Czu En-lai'a doprowadził stopniowo do poprawy sytuacji. Zasadniczy zwrot przypadł na nowy pontyfikat. Ambasadory chińscy zaczęli uczęszczać na przyjęcia do nuncjatur apostolskich i skwapliwie rewanżowali się. Otwarto katedrę w Pekinie i Kantonie. Prasa zaczęła publikować obszernie relacje z podróży Jana Pawła II. Pokazało się nawet zdjęcie papieża na łamach tygodnika rozpowszechnianego na terenie całego kraju. Z relacji naocznych świadków wynika że Jan Paweł II jako papież uformowany w „kraju socjalistycznym” znanym z upartej obrony swej tożsamości narodowej i kulturalnej, cieszy się popularnością również w kołach rządowych. Pewien sinolog włoski, który niedawno wrócił z Pekinu opowiada, że jego rozmówcy stwierdzali: „z tym papieżem można, a nawet trzeba negocjować”. Jedną z oznak normalizacji stosunków religijnych w Chinach stanowi fakt wejścia dwóch biskupów w skład 26-osobowej delegacji różnych wyznań do Zgromadzenia Ludowego (Sejm). Jezuici, wśród nich Michel Chu, prowadzący sekcję chińską Radia Watykańskiego, przyjmowani byli w ub. roku z honorami w Pekinie. Z ich relacji wynika, że posiadali absolutną swobodę w kontaktach z biskupami, kapłanami i wiernymi. W rozmowach tych przekonali się, że istnieje „głębokie pragnienie pełnej i całkowitej jedności ze Stolicą Apostolską”. W szczególności francuscy jezuici liczą, że jednym z pierwszych konkretnych skutków ewolucji stanowiska przywódców chińskich wobec Zachodu i Watykanu będzie zwrócenie im i pozwolenie na otwarcie katolickiego uniwersytetu w Pekinie. Jezuici odegrali główną rolę w przetarciu drogi do dialogu. Tradycje misjonarskie tego zakonu sięgają XVI wieku, kiedy włoski jezuita Matteo Ricci, który przybrał imię chińskie Li Matou, założył w Pekinie pierwszą misję na terenie ofiarowanym mu przez cesarza Wan Li z dynastii Ming. Znajduje się tam grób zmarłego w roku 1610 jezuity i jego następców. Kard. Etchegaray odwiedził ten cmentarz przed udaniem się do antycznej stolicy imperium w Xian, miasta, które w epoce dynastii Tang (618-907), stanowiło centrum promieniowania dwóch religii monoteistycznych: chrześcijaństwa i islamu.

Do pełnej normalizacji stosunków — oprócz rozwiązania węzła Taiwanu, co pozwoli na nawiązanie stosunków dyplomatycznych — pozostaje szereg kwestii dotyczących statusu Kościoła odseparowanego od Rzymu przez z górą 30 lat. Kościół działa tam tak jakby nie było Drugiego Soboru Watykańskiego. Liturgie mszy św. odprawia się po łacinie według obrządku przedsoborowego. Tamtejsza wspólnota katolicka jest chyba najbardziej tradycyjna na świecie. Problemu Kościoła „patriotycznego” nie

należy dramatyzować. Wydaje mi się, że Stolica Apostolska jakoś z tego wybrnie zgodnie z zasadą obecnego pontyfikatu dowartościowywania lokalnych tradycji kościelnych. Trzeba bowiem brać pod uwagę, że chrześcijaństwo przyszło do Chin w postaci importowanej cywilizacji zachodniej, odczuwanej jako element obcy tradycjom i obyczajom chińskim. Mimo kilku stuleci pracy misjonarskiej religia chrześcijańska nie zdołała zakorzenić się, zrosć się z lokalnymi tradycjami i szkołami filozoficznymi. Stąd silna wciąż tendencja autonomiczna w łonie chińskiego Kościoła, aczkolwiek według niektórych religii obok nurtu nacjonalistycznego istnieją tam również dwa inne mocne trendy: rzymski oraz centrowy (wolny od schizmatycznych skłonności).

Można zakładać, że obecne misje obydwu kardynałów, Etchegaray'a i Koeniga przyczynią się do wyjaśnienia wielu spraw i ich sprawozdania umożliwią papieżowi podjęcie stosownych decyzji.

Rosjanin w imieniu chrześcijan Europy Wschodniej

Ewgenij Wagin, rosyjski intelektualista i działacz prawosławny (o którym pisałem w poprzedniej korespondencji) przemawiał w niedzielę 17 lutego na krajowym zjeździe Demokracji Chrześcijańskiej. Wystąpił on nie tylko w imieniu prawosławnych w Rosji, ale i katolików na Litwie i chrześcijan w całej Europie Wschodniej. Delegaci na zjazd i publiczność na trybunach *Palazzo dello Sport* powitali go entuzjastycznie, przerywając przemówienie burzliwymi oklaskami. Wystąpienie to wywołało ogromne wrażenie i było cytowane przez liczne gazety łącznie z *Osservatore Romano*. B. więzień łagrów powołał się na deklarację w sprawie aresztowania Sacharowa oraz działaczy prawosławnych i katolickich na Litwie, podpisaną przez niego i pięciu przedstawicieli krajów Europy Wschodniej (por. dokumenty w poprzednim nr. *Kultury*). Zwrócił uwagę na lekcję jaką Zachód powinien wyciągnąć z doświadczeń rosyjskich i „cierpiących braci litewskich i czechosłowackich, a także współbraci katolickiej Polski, opierającej się we wspólnym sposobie pod przewodnictwem Kardynała Prymasa Wyszyńskiego”. Jak brzmi ta lekcja? „Praw człowieka nie można bronić jedynie poprzez deklaracje werbalne i protesty przeciw ich łamaniu, lecz również i przede wszystkim wcielając w życie społeczne zasady etyki chrześcijańskiej i popierając tworzenie niezależnych organizmów dla skutecznej obrony podstawowych swobód ludzkich i obywatelskich”. Rosyjski intelektualista chrześcijański cytował esej prof. L. Kołakowskiego na temat koniecznej solidarności z chrześcijaństwem (nie takim jednak które „popiera rewolucję polityczną i walkę klas”), którego zasadnicza rola „polega na sile wznoszenia barier przeciwko nienawiści w sumieniach jednostek”. Przytoczył także słowa z włoskiej książki o Polsce Waszego korespondenta rzymskiego: „Dialog nie może oznaczać wyprzedaży tego co jest istotne w chrze-

ścijańskiej koncepcji człowieka i społeczeństwa”. W zakończeniu Wagin wezwał włoskich chrześcijańskich demokratów do podjęcia „chrześcijańskiego wyzwania naszych czasów, koherencji z proklamowanymi ideałami, niemarnotrawienia wspólnego dziedzictwa chrześcijańskiego i obrony godności ludzkiej, gdziekolwiek bywa poniewierana”. Po tym wystąpieniu delegaci na zjazd wstali z miejsc i zgotowali Rosjaninowi owację. Należy spodziewać się (pewności nie ma), że nowe kierownictwo Demokracji Chrześcijańskiej wyciągnie z tego konsekwencje operatywne i położy kres dotychczasowemu immobilizmowi, nie mówiąc już o niedopuszczaniu do dalszego tolerowania dezinformacji i dywersji.

Od „chatki” do Domu Polskiego im. Jana Pawła II

„Wszystkie drogi wiedą do Rzymu”, tym bardziej od chwili wyboru naszego rodaka na Stolicę Piotrową. Napływ polskich pielgrzymów z kraju i emigracji stale wzrasta. W roku ubiegłym przybyło ich z kraju trzykrotnie więcej niż w roku poprzednim. Problem należytej informacji i zakwaterowania tych pielgrzymów, zwłaszcza zorganizowanych grup krajowych, nastręcza wiele trudności. Włoski chaos i drożyzna (najwyższy wskaźnik inflacyjny w Europie) dopełniają miary kłopotów, na jakie napotykają dwaj ruchliwi kapłani: Kazimierz Przydatek S.J. i Ksawery Sokołowski niedawno przybyły z kraju. Kilka ofiarnych siostr zakonnych dzielnie im sekunduje. Nie chodzi wyłącznie o znalezienie tanich noclegów i środków transportowych, ale i o zapewnienie łączności, drobniagowe nieraz informacje i przede wszystkim koordynację programu pobytu, którego kulminacyjny punkt stanowi bądź audiencja specjalna u papieża (dla zakwalifikowanych grup duchownych i świeckich), bądź udział w środowiskich papieskich audiencjach generalnych. Ks. Przydatek, pracujący dawniej w Papieskim Instytucie Studiów Kościelnych, prowadzonym przez polskich jezuitów, od wielu lat marzy o utworzeniu ośrodka opiekuńczego dla polskich pielgrzymów. W roku 1975, Roku Świętym, uruchomił namiastkę takiego ośrodka. Kiedy Prymas Polski obejrzał punkt informacyjny dla pielgrzymów, mieszczący się w pokoiku bez okna, niemal pod schodami Hospicjum św. Stanisława, powiedział do niego: „gratuluje księdzu tej chatki”. Wkrótce jednak udało mu się uzyskać przyzwoitsze pomieszczenie w gmachu biur kilku watykańskich kongregacji przy placu Piusa XII na *vis-à-vis* bazyliki św. Piotra. Jeszcze w czasie pontyfikatu Pawła VI przewijały się tam tłumy Polaków, a nierzadko i pielgrzymi z narodów pobratymczych. Nowy pontyfikat nadał tym potrzebom inny wymiar, nie tylko ilościowy, ale przede wszystkim jakościowy. Myśl o ufundowaniu Domu Polskiego w Rzymie zaczęła przybierać konkretne kształty w maju ub. roku, kiedy grupa Polaków z USA przybyła na uroczystości rocznicowe na cmentarzu na Monte Cassino, zapaliła się do tego

pomysłu, trafnie wyczuwając wagę sprawy. W listopadzie ub. roku, na rzymskim zebraniu Rady Koordynacyjnej Polonii Świata*, zapadła uchwała wzywająca do tworzenia komitetów krajowych celem zebrania środków na Dom Polski im. Jana Pawła II. Już nieco wcześniej, dzięki zabiegom W. Zachariasiewicza, powstał taki komitet w USA pod honorowym przewodnictwem kardynała J. Króla i z kongresmanem K. Zabłockim, przewodniczącym Komisji Spraw Zagranicznych amerykańskiej izby deputowanych, na czele. Projekt utworzenia Domu Polskiego znalazł zachętę i aprobatę Ojca Świętego.

W dn. 9 listopada, na wniosek Prymasa Polski i kardynała Fr. Macharskiego, Jan Paweł II zatwierdził formalnie Duszpasterski Ośrodek „Corda Cordi”, działający w ramach dziejowych zadań Kościoła i Hospicjum św. Stanisława i powierzył mu organizację Domu Polskiego „jako centrum polskiej kultury chrześcijańskiej”. Opiekunowie duchowi emigracji, kard. W. Rubin i bp Sz. Wesoly, zwrócili się do wszystkich organizacji i środowisk polonijnych o poparcie tej inicjatywy w poszczególnych krajach i wpłacanie darów bądź na konta lokalnych komitetów bądź bezpośrednio na konto bankowe sekretariatu wyżej wymienionego Ośrodka w Watykanie.

Profil ideowy i programowy przyszłego Domu Polskiego nie jest jeszcze całkiem wypracowany. Dom ten winien spełniać podwójną funkcję. Nie umniejszając bynajmniej konieczności dachu nad głową dla pielgrzymów, ma to być jednak przede wszystkim placówka nie tyle duszpasterska (służy już temu kościół i ośrodek parafialny św. Stanisława), ile kulturalna w całym tego słowa znaczeniu. Z drugiej strony Dom ten powinien służyć oddziaływaniu kultury polskiej w centrum chrześcijaństwa, tzn. cudzoziemcom, których zainteresowanie dla polskiej problematyki religijnej, kulturalnej i społecznej stale rośnie, nie mówiąc o tym, że nie znajdowało dotąd praktycznego ujścia.

Może kogoś dziwić, że trud zorganizowania takiej placówki kulturalnej spada niemal wyłącznie na polskie czynniki kościelne. W Rzymie brak jednak prężnego środowiska świeckiego. Do tej pory brak było też inicjatyw na miarę potrzeb. Kolonia polska we Włoszech, w porównaniu z innymi skupiskami polonijnymi na świecie, jest bardzo nieliczna, materialnie niezasobna i mało ruchliwa. Stypendyści lub turyści z kraju, zainteresowani nie „ciuchami”, lecz zabytkami i współczesnymi realiami Włoch, nie mieli dotąd stosownego punktu oparcia. Niedostępne w kraju wydawnictwa emigracyjne otrzymują za pośrednictwem skromnego punktu rozdawnictwa SPK, zorganizowanego przez W. Zacharskiego, na wzór istniejących w innych krajach zachodnich.

Nie lekceważąc takiej akcji, jest jasne, że nie jest ona w stanie

* Opuszczenie słowa „wolny” (Polonia Wolnego Świata) nie jest jakąś wymagowaną koncesją na rzecz politycznych rachub, lecz wynika logicznie z faktu, że Rada Koordynacyjna postanowiła zatroszczyć się o los niemal dwumilionowej polskiej mniejszości w ZSSR.

Nie lekceważąc takiej akcji, jest jasne, że nie jest ona w stanie ani zaspokoić rosnących potrzeb, ani sprostać tym zadaniom do jakich powołany będzie przyszły Dom Polski. Zebranie na ten cel planowanej sumy co najmniej miliona dolarów nie będzie rzeczą łatwą. Oprócz amerykańskiego, utworzono już komitety m.in. w Kanadzie, Australii, Anglii, Austrii i Szwajcarii. Do tej akcji zbiórkowej włączyły się w lutym br. polskie misje duszpasterskie na emigracji. Ze znalezieniem odpowiedniego obiektu nie będzie specjalnych trudności. Nie brak tu bowiem opuszczonych, względnie minimalnie wykorzystanych posesji (otoczonych parkiem i z garażami), należących do zgromadzeń zakonnych i różnych instytucji religijnych lub świeckich. Zebrane środki będą zużyte na zakup obiektu, roboty restauracyjne i adaptacyjne. Trzeba będzie ponadto pomyśleć o utworzeniu fundacji (na bazie historycznego statutu Fundacji Kard. Hozjusza) na pokrycie kosztów utrzymania. W oczekiwaniu na plon zbiórki, niestrudzonemu ks. Przydatkowi udało się wynająć skrzydło nieruchomości należącej do zgromadzenia Salwatorianów, w bezpośrednim sąsiedztwie bazyliki św. Piotra. Mieści się tam na razie sztab operacyjny ośrodka „Corda Cordi”. Jest to przyczółek projektowanej placówki polskiej. Zanim powstanie konieczna baza materialna dla realizacji tego projektu, wykrystalizuje się w pełni koncepcja programowa, do tej pory zaledwie zarysowana.

Dominik MORAWSKI

Pisane 5 marca 1980 r.

WOLNY UNIWERSYTET ROSYJSKI

ogłasza zapisy na letni kurs 1980 roku.

Początek zajęć — 28 lipca br.; zakończenie — 16 sierpnia. Letni kurs będzie miał miejsce w Achberg (NRF). Ilość miejsc ograniczona. Koszt wpisowego i utrzymania przez trzy tygodnie: jednoosobowy pokój 925 DM, dwuosobowy pokój 820 DM. Opłaty za okres dwu tygodni wynoszą odpowiednio 725 i 650 DM. Zapisy przyjmuje się od 1 maja bieżącego roku.

We wszystkich sprawach należy się zwracać do:

Arthur A. Werner, Postfach 50 1968, D-5000 Köln 50.

Kurs ma za zadanie dać słuchaczom obrazu współczesnej Rosji, jej literatury, sztuki, nauki oraz gospodarki.

W czasie kursu będą prowadzone nauka języka rosyjskiego i konwersacja dla studentów slawistów.

Kraj

Co będzie dalej?

(ROZWAŻANIA NOWOROCZNE)

U progu nowego roku wielu ludzi zadaje sobie zapewne pytanie o dalszy rozwój sytuacji w Polsce. Ja także postanowiłem się tym zająć, a że — jak pokazały dotychczasowe wypadki — obraz sytuacji, jakim posługuję się w swoich praktycznych poczynaniach, pozwala mi w pewnym stopniu bawić się w przepowiadanie przyszłości, chciałbym kilkoma swymi refleksjami podzielić się z czytelnikami *Kultury*.

Odnoszę wrażenie, że pewna część Rodaków z Emigracji, przyglądając się rozwojowi wypadków w Kraju ze swej perspektywy, nie dostrzega wielu czynników stabilizujących wewnętrzną sytuację w PRL-u. Rzecz to zrozumiała w kontekście nie spełnionych jak dotąd marzeń o odrodzeniu Wolnej i Niepodległej, w perspektywie nadziei, jakie wiąże się z działalnością antytotitarną i niepodległościową prowadzoną w Kraju (raczej wystrzegam się terminu „opozycja polityczna”), która swą dynamiką zdecydowanie przewyższa podobne inicjatywy w innych krajach bloku sowieckiego. Jaki jest jednak wpływ opozycji na ujmowaną globalnie sytuację społeczeństwa pokazują dwa artykuły z grudniowego numeru *Kultury* (w tym jeden niżej podpisanego).

Ale zanim przejdę do szkicowania pesymistyczno-optimistycznych perspektyw na rok najbliższy, jeszcze dwa słowa o pewnej literackiej recenzji, której kawałek (bo za późno włączyłem) wysłuchałem z Radia Wolna Europa. Nawet nie wiem kto był autorem (autorką) tej recenzji z „Małej apokalipsy”, ale usłyszałem, że to „regres artystyczny” pisarza i coś mi się zdaje, że do tak krytycznych wniosków doprowadził autorkę (chyba jednak autorkę) obraz Polski, nakreślony przez Konwickiego. Bo

zamiast uciemięzonego Narodu, który dzielnie walczy z czerwonymi — coś znajdujemy w powieści? Walą się mosty i stają tramwaje — nikt się tym specjalnie nie przejmuje, wszyscy piją, a dwa genseki przez cały dzień namietnie całują się w usta. Na tym ponurym tle — grupka opozycjonistów — „kość z kości tego reżymu”, a nie liderzy Narodu w jego walce o wolność. Zaiste, obraz bardzo przygnębiający; nie spodobał się recenzentce i masz babo placek, czy raczej — masz pisarzu „regres artystyczny”. Rzecz jednak w tym, że powieść Konwickiego, choć wizyjna i beczasowa, pełna jest realizmu i jeśli miałbym ją oceniać, to bez wątpienia jest to jedno z najważniejszych dzieł polskiej literatury współczesnej. Konwicki jako twórca dokonuje rzeczy wielkiej — otwiera przed sobą (i nie tylko) nowe horyzonty artystyczne, nową perspektywę dla polskiej literatury i fakt ten trudno jest przecenić. Nie zamierzam tu zresztą pisać o „Małej apokalipsie”, bo zrobił to już bardzo rozsądnie kolega Zawrat w *Kulturze*, a zna się on na literaturze lepiej niż ja. Zalecam jednak częstą lekturę Zinowiewa, bo dla obalenia wielu mitów o społeczeństwie typu sowieckiego rzecz to bardzo przydatna, zwłaszcza jeśli z tym społeczeństwem nie ma się bezpośredniego kontaktu.

Wracam jednak do pytania postawionego w tytule: co będzie dalej? Odpowiedź jest zaskakująco prosta: NIC NIE BĘDZIE. Nie runie ustrój, nie wybuchnie społeczna rewolta, opozycja nie pójdzie do więzień, PRL nie wyjdzie z kryzysu, nawet nie zmieni się I-szy Sekretarz. Już słyszę głosy świętego oburzenia na taki defetyzm, już widzę pięści gniewnie wznoszące się nad moją głową — proszę jednak o chwilę cierpliwości, zaraz wypowiadam się ze wszystkich grzechów, a może nawet pokażę, że nie jest tak zupełnie źle, zależy tylko jak się patrzy i co się chce zobaczyć.

O tym, że sowietyzm raz gdzieś zaprowadzony nie upadnie bez działania z zewnątrz nauczyła nas historia najnowsza. Drugą podstawową prawdą jest to, że nie bardzo widać takich, którzy by się specjalnie przejmowali tym, co się dzieje na wschód od Łaby, zwłaszcza jeśli sami żyją w systemie, który pomimo różnych kryzysów energetycznych jest jednak nieco wygodniejszy od naszego — sowieckiego. W nastroju błędnego spokoju utwierdza Zachód błędne mniemanie, że zachodni alianci wygrali ostatnią wojnę światową. Prawda jest jednak taka, że wojnę tę wygrali tylko Sowietci, natomiast Zachód (rozumiany tutaj szeroko — jako wspólnota cywilizacyjna) przegrał i to już w 1943 roku — w Teheranie. Tę wojnę przegrała Europa, a wygrała ją Azja w wydaniu sowieckim. 10 krajów, z których ponad połowa od stuleci współtworzyła Europę, dostało się we władanie naj-

bardziej nieludzkiego systemu w historii i jak na razie szanse na to, aby się z „braterskiego uścisku” wydobyły są dość nikłe. Bez Warszawy, wschodniej części Berlina, Pragi, Budapesztu nie ma już Europy, jest tylko jej nędzny ogryzek, podawany zresztą w sosie coraz wyraźniej przyprawionym *à la manière finlandaise*.

Demokracja w konfrontacji z totalitaryzmem przegrywa zawsze, a świeżym tego przykładem jest sytuacja w Iranie. Bezradność Ameryki wobec bandyckich metod irańskich „rewolucjonistów” jest tyleż żenująca co nieunikniona. Przy okazji chciałbym zwrócić uwagę, że totalitaryzm wcale nie musi być ateistyczny — może też być religijny; w Iranie patronuje mu niejaki ajatollah Chomeini.

Tak więc Zachód nie dostrzega pewnych zjawisk dość oczywistych, jak np. słońca w składzie porcelany, w postaci sowieckiego podboju świata, który doprowadzony do końca równałby się przerwaniu rozwoju cywilizacji, a nie jest to perspektywa zbyt budująca. Dostrzeżono jednak 100 tys. sowieckiego wojska w Afganistanie i wywołało to pewne zaburzenia w rozkwitającej polityce *détente*. Szkoda jednak, że nie dostrzeżono praktycznego przyłączenia Afganistanu do Sowietów nieco wcześniej za rządów niejakiego Tarakiego.

Wracajmy jednak do siebie — nad Wisłę. Cała ta długa dygresja służyła tylko pokazaniu, że obecny układ sił w światowej polityce takich historii jak „sprawa polska” po prostu nie uwzględnia i nie ma co dłużej nad tym biadolić. Może więc jakieś siły wewnętrzne poderwą się do walki i przynajmniej zdmuchną obecną, do szczytu skompromitowaną ekipę. Był wszak Październik, był Grudzień, a i po Czerwcu pozycja Gierka (a jeszcze bardziej Jaroszewicza) wydawała się bardzo niepewna. Ekstremalny kryzys gospodarczy, społeczny i polityczny jest oczywistym faktem. Czy jednak ten typ kryzysu przy obecnej polityce władz może spowodować wybuch? Zgadza się z Kurońem, że grozi nam eksplozja społecznego gniewu, tyle, że ona nie nastąpi. Sam proch to rzecz niebezpieczna, do wybuchu potrzebna jest jednak iskra. Kuroń nie uwzględnia w swoich tekstach jednego ważnego czynnika — mentalności ludzi żyjących w tym systemie. W czerwcu 76, kiedy Jaroszewicz zapowiedział podwyżkę cen po rzekomych „konsultacjach”, kraj ogarnęły rozruchy. Jednak od tego czasu, kiedy systematyczny wzrost kosztów utrzymania już dawno przekroczył pułap wówczas zapowiadany, a kolejki przed sklepami osiągają gigantyczne rozmiary — panuje spokój. To jest właśnie brak owej iskry, a nie rzuci jej — choćby chciała — opozycja (znów odsyłam do swego poprzedniego tekstu z *Kultury*). Tu się ujawnia mentalność ludzi

kształtowanych przez sowietyzm — zupełny brak zdolności do artykułowania własnych żądań. Wybuchające gdzieś krótkie, dzikie strajki, zawsze na tle ekonomicznym i stanu zaopatrzenia, z uwagi na swój charakter mogą być dla władzy zjawiskiem ostrzegawczym, ale nie groźnym. Zresztą zaraz się je tuszuje: władze ustępują, przywraca się zabrane zarobki, ciężarówka szybko przywożą brakującą kiełbasę. *L'ordre règne...*

Tę kryzysową sytuację w Polsce można przedstawić za pomocą hiperboli, która coraz bardziej zbliża się do swej granicy — w naszym przypadku byłby to społeczny wybuch — ale nigdy jej nie osiąga.

A teraz sytuacja opozycji — fenomen bardzo ciekawy, bo w tych rozmiarach jedyny w sowieckim bloku. Jednak pomimo swego dynamizmu opozycja nie jest groźna dla władzy, właśnie dzięki temu, że nie ma wpływu na sytuację społeczeństwa. Równocześnie władze unikają zasadniczej rozprawy, bo pogorszyłoby to i tak już bardzo wątpliwy międzynarodowy prestiż PRL, mogłoby zaszkodzić ekonomicznym kontaktom z Zachodem (kosmiczne kredyty i pożyczki) i w jakimś stopniu zaostriżyłoby sytuację wewnętrzną. Włodarze PRL czerpią przecież pewien profit z tolerowania opozycji — Polska uchodzi na Zachodzie za kraj najbardziej „liberalny” (ludzie, gdzie tu jaki liberalizm?!), albo co najmniej *most considerate*.

Muszę się przyznać, że po aresztowaniu w grudniu ubiegłego roku na mocy sankcji prokuratorskich kilkunastu działaczy opozycji spędziłem bezseną noc na rozważaniu, cóż to takiego może oznaczać. Bardzo mi ten akt nie pasował do dosyć spójnego obrazu taktyki władz — niedostrzegania opozycji i unikania większej liczby aresztowań (oczywiście nie myślę tutaj o 48-godzinnych zatrzymaniach, bo to „normalka”). Jednak już 3 dni później przekonałem się, że trzeba być wiernym swoim przekonaniom: wcale nie zaczynała się rozprawa z opozycją, jak wielu myślało. Chodziło po prostu o akcję przewencyjną, spowodowaną przygotowaniem do uczczenia pamięci ofiar Grudnia. W sytuacji, gdy coraz częściej podejmuje się jawne obchody rzeczywiście ważnych historycznych rocznic, władza starała się w ten sposób dać sygnał ostrzegawczy: zmiarkujcie się, bo pójdziecie siedzieć! Oczywiście więcej na tym straciła niż zyskała, ale to już jej sprawa. Uważam jednak, że doszukiwanie się w tej akcji znaczeń „mystycznych” — elementu walk frakcyjnych, wariantu „praskiego” (a wszystko to przed Zjazdem) — jest bezpodstawne. (*A propos* Zjazdu; najkrótsze hasło zjazdowe: zjeżdżajcie!). Myślę, że nawet trudno byłoby znaleźć w partyjnej „wierchuszce” jakąś

frakcję, która chciałaby przejąć władzę; nikt nie chce brać w swe władanie tak beznadziejnej sytuacji w kraju.

Zatem już wiemy, dlaczego nie zmieni się I-szy Sekretarz i jego ekipa. Cóż mu zatem pozostaje? Trzymanie stołka, dalsze zebranie na Zachodzie o pieniądze, niezmienny serwilizm wobec Kremla, aktorskie gesty wobec społeczeństwa („Mnie ta sytuacja spędza sen z powiek” — mówił w telewizji) i... tolerancja wobec opozycji, ze względów, o których wyżej wspomniałem.

Nie znaczy to oczywiście, żeby UB miało na wszystko opozycji pozwalać. Jednak najostrejsze represje mają zazwyczaj charakter „interwencyjny”. Tak jest np. w wypadku więzionego od lipca ubiegłego roku działacza społecznego z Grudziądza — Edmunda Zadrożyńskiego. Zdobył on znaczne poparcie w środowisku robotniczym i był *spiritus movens* niezależnych inicjatyw w mieście, a to było zbyt wiele dla lokalnych władz. Postanowiono go w jakiś sposób odizolować od środowiska i ma on wkrótce stanąć przed „sądem” pod absurdalnymi zarzutami*.

Stosuje się i chyba nadal będzie się stosować metody orzekania przez kolegia d/s wykroczeń 1-3-miesięcznego aresztu, są to jednak represje wymierzone w poszczególne osoby, o charakterze doraźnym, „dla zniechęcenia” i raczej bezskuteczne.

Odnoszę wrażenie, że jedyną widoczną eskalacją represji jest fakt, że w oczach UB coraz mniej osób o wybitnym społecznym prestiżu uchodzi za „nietykalne”. Częstsze są ostatnio zatrzymywania pisarzy, naukowców, artystów. Część z tych akcji ma na celu paraliżowanie zajęć TKN-u. W Warszawie przeprowadzono rewizję w mieszkaniu Osóbki-Morawskiego (*et tu, Brute fili...*), który swego czasu fundował w Polsce obecny system. Zdarzają się także przypadki zatrzymań bardziej „bojowych” księży.

Jednak wszystkie te represje pozostają w granicach „normy” i nie sądzę, aby władze same z siebie podjęły jakąś bardziej zdecydowaną próbę likwidowania opozycji.

Wiele już napisano o tym, że kryzysu w Polsce nie da się przezwyciężyć bez wprowadzenia szeregu reform politycznych i gospodarczych. Jednakże reformy mogą być wprowadzone tylko przez władze, a one nie bardzo mają na to ochotę. Może pamiętają jak skończyli reformatorzy w Czechosłowacji w 1968 roku?

Muszę jeszcze parę słów poświęcić roli i położeniu Kościoła. Z dużą dozą sceptycyzmu odnosiłem się do różnych mistycznych przepowiedni, które ogarnęły wiele co bardziej optymistycznych głów po pamiętnym konklawe w październiku 1978, a w jeszcze większym stopniu w okresie pielgrzymki Papieża do Polski. Już

* 14 marca br. Edmund Zadrożyński został skazany na trzy lata więzienia i 70.000 zł. grzywny (równowartość mniej więcej 2.300 dolarów).

niemal odliczano na palcach dni do upadku czerwonych. „Spokojnie — powtarzałem — sytuacja jest stabilna i nic się nie zmieni”. I coraz bardziej upewniam się w przekonaniu, że jako tzw. *future-teller* mógłbym zrobić karierę. Faktem jest, że w okresie poprzedzającym czerwiec 1979 władze wydały więcej zezwoleń na budowę świątyń, ale ta *hossa* skończyła się dość szybko. Żaden z podstawowych postulatów Kościoła (uznanie statusu prawnego, dostęp do środków masowego przekazu, równouprawnienie katolików w życiu publicznym) nie został spełniony. Skandaliczna afera z budową trasy szybkiego ruchu koło klasztoru na Jasnej Górze dopełnia obrazu sytuacji.

A co pozostało ludziom z pielgrzymki Ojca Świętego? Chyba nigdy nie zapomnę tej atmosfery kilku dni czerwcowych, tego pocucia jedności, wspólnoty przekonań, wzajemnej życzliwości ludzi. Nie przypadkowo Władysław Bartoszewski przyrównuje okres pobytu Papieża w Kraju i spowodowane tym zachowanie ludzi do atmosfery, jaką żyła Warszawa w sierpniu 1944 roku. Ale teraz okazuje się, że nadzieja jaką przywiózł nam Pielgrzym zaciera się w morzu powszechnych trosk, w kolejkach i w wódce, w złorzeczeniach na męczącą codzienność. Charyzmat wiary słabnie wobec realiów systemu.

Mamy więc szereg czynników tworzących sytuację, którą nazwałbym STABILIZACJĄ KRYZYSU. Wszystko to w perspektywie Nowego Roku trzeba zaliczyć do pasywów naszej polskiej sytuacji. A czy istnieją jakieś aktywa? Myślę, że można je znaleźć, trzeba tu jednak zastosować optykę dość wnikliwą i umieścić ją w szerszej perspektywie. Chciałbym zwrócić uwagę na kilka zjawisk, które być może w porównaniu z „pasywami” znaczą niewiele, ale sądzę, że powinny być rozpatrywane przy użyciu nieco innych kategorii.

Z publicystyki krajowej wydawanej poza zasięgiem cenzury utkwiły mi w pamięci dwa artykuły, które są według mnie przebicciem pewnego niewidzialnego muru, zamykającego polską myśl polityczno-historyczną w ściśle określonych ramach. Myślę, że działają tu pewne — może nie całkiem uświadomione albo nie nazwane po imieniu — mechanizmy tabu, a wszelkie takie hamulce bardzo ujemnie ciążą nad rolą wolnej publicystyki, jeśli ma ona odnowić myśl polityczną dławioną przez tyle lat kneblem cenzury.

Pierwszy artykuł — Leopolda Jerzewskiego — ukazał się w *Głosie* datowanym jeszcze w październiku 1978. Autor stawia tezę i przekonująco ją uzasadnia, że po agresji sowieckiej we wrześniu 1939 roku władze polskie popełniły szereg błędów politycznych — przede wszystkim nie ogłaszając stanu wojny z ZSSR

i wydając wojsku rozkaz niestawiania oporu Armii Czerwonej. Bardzo mi się to spodobało, ale zgodnie z moimi obawami czytelnicy *Głosu* zapalali oburzeniem i nadesłali szereg listów utrzymujących w tonie „jak tak można” i że „nóż w plecy”. Nóż w plecy nożem w plecy — nikt temu nie zaprzecza, ale myślę, że warto spojrzeć na decyzję polskich władz w tamtym okresie bez nadmiernych emocji, które nierzadko ujemnie wpływają na zdolności realnej analizy i oceny zjawisk. Wielki to sukces autora, że potrafił tak umiejętnie wykorzystać te możliwości, które daje niezależna prasa. Tekst Jerzewskiego wyróżnia się także tym, że jest czymś więcej niż odkłamywaniem załganej przez komunistyczną propagandę historii; trafia w zupełnie nową perspektywę myślenia o naszych dziejach.

Drugi zaś artykuł, który chciałbym w tym miejscu wyróżnić, to Stefana Kisielewskiego „Czy geopolityka straciła znaczenie” (*Res Publica* nr 1). Autor dowodzi tam właśnie „geopolitycznej” tezy, że opozycja powinna postawić na dogadanie się z Rosją. Rodacy nie bijcie! Ja naprawdę bardzo nie lubię Sowietów i Kisiel chyba też nie. Znów postuluję, żeby zbyt łatwo nie ulegać gorączkowemu antypatiom. Teza Kisielewskiego, choć nierealna (bo żadna ze stron nie zechce po prostu gadać) jest realistyczna i jest wielkim wkładem do myślenia politycznego. Myśleć nam jeszcze wolno i starajmy się to wykorzystać. Podczas gdy wszystkie programowe teksty uwzględniają naszą zależność od Rosji tylko w tym sensie, że trzeba uniknąć sowieckich czołgów (a trzeba, nie przeczę), Kisielewski postuluje, żeby w miejsce zdegenerowanej i nie mającej żadnego oparcia w społeczeństwie władzy, żywa siła polityczna, jaką jest opozycja, podjęła trud rozwiązywania jednego z podstawowych dylematów narodowych. A myślę, że sens w tym głęboki, bo granic — niestety — nie zmienimy, a na korzystnym ułożeniu stosunków z Moskwą może i my moglibyśmy coś wygrać. Pewien wycinek zachowań władz PRL-u w stosunku do Sowietów ujawnia zamieszczony w 7-mym numerze *Biuletynu Informacyjnego* artykuł Kuśmierka, pośrednio uzasadniający koncepcje Kisielewskiego.

Tak więc w polskiej myśli dostrzegam pewien ożywczy ferment. Przy braku podstawowych artykułów spożywczych wydaje się, że to niewiele. Ale pamiętajmy, że jednym z naszych głównych frontów jest walka o przetrwanie niezależnej myśli, bo bez politycznych koncepcji czy ciągle nowego odczytywania historii stracimy ciągłość narodowej tradycji.

I wreszcie inne zjawisko — też dostrzegane przez niewielu, a myślę, że niezwykle ważne. Nakładem londyńskiej „Odnowy” ukazały się dwie pozycje oficjalnych PRL-owskich prominentów:

Janusza Zabłockiego (szef Neo-Znaku) i Jana Szczepańskiego (członek Rady Państwa). Wartość obu dzieł raczej dykusyjna, ale nie o to mi tutaj chodzi. Jest to bowiem pewien krok, czy raczej kroczek, w kierunku przełamywania barier pomiędzy tym co reżymowe i emigracyjne. Może na co dzień zapominamy jak tragiczną wymowę ma fakt podziału na Kraj i Emigrację. Reżym oczywiście robi wszystko, że odizolować Emigrację od Kraju (i *vice versa*). Jeśli sobie uświadomimy, że jeszcze parę lat temu publikacja na emigracji pociągała za sobą dość przykre konsekwencje, to fakt, że dwaj przedstawiciele oficjalnego *establishment'u* wydają na emigracji pozycje, które nie mogły ukazać się w PRL nabiera dość wymownego znaczenia; świadczy o tym, że podział nie jest wieczny i absolutny, że Emigracja nawet w ten sposób może uczestniczyć w życiu Kraju.

A skoro już o podziałach mowa, to warto jeszcze odnotować zjawiska, świadczące — jak się zdaje — o możliwości zacierania dychotomii opozycja - społeczeństwo, o której szerzej pisałem w grudniowym numerze *Kultury*. Fenomenem usytuowanym niejako pomiędzy życiem oficjalnym a działalnością niezależną jest Klub Dyskusyjny „Doświadczenie i Przyszłość”. Dodam od razu jeszcze dwie nowinki: w oficjalnym ZSL-u, zwłaszcza w jego ogniwach terenowych, część działaczy podejmuje inicjatywy nie nakazane z góry i rzeczywiście korzystne dla sytuacji chłopów. Natomiast w Krakowie grupa działaczy SZSP wystosowała memoriał do wszystkich członków tej organizacji. Dokument ów, prócz wnikliwej krytyki dotychczasowej działalności SZSP, zawiera postulat rozwiązania tej organizacji w trybie zjazdu nadzwyczajnego i powołania na to miejsce związku zrzeszającego wszystkich studentów, bez żadnych klauzul ideologicznych czy światopoglądowych.

Wszystkie te zjawiska pokazują, że istnieje taka możliwość, gdy „opozycja” — nominalnie — przestanie istnieć, gdy okaże się, że opozycjonista to taki sam człowiek jak każdy inny, że w tym co robi nie ma nic nadzwyczajnego.

Dlatego też zacieranie podziałów o których mowa wyżej stwarza szansę dla tych wszystkich, którzy czują się odpowiedzialni za Polskę i za to, co się tutaj dzieje, a myślę, że nie jest to bez znaczenia.

Jeśli więc przypuszczam, że „nic się nie zmieni” — mam na myśli zasadnicze zmiany społeczne czy polityczne. Sądzę jednak, że warto interesować się zjawiskami innymi, pozornie drobniejszymi, ale w moim mniemaniu bardzo istotnymi w perspektywie obrony przed sowietyzacją. Nie bez racji wspomniany już tu Zinowiew podkreśla, że tzw. „ruch dysydencki” jest najważniejs-

szym zjawiskiem w historii komunizmu, pokazuje bowiem, że także od wewnątrz można się przeciwstawiać reżymom tego typu. Dlatego nie o oczekiwane efekty tu chodzi; te są i będą skromne. Ważniejszy jest głos protestu piętnujący poniżające ludzką godność praktyki władz. W sytuacji, gdy wszystkie podstawowe swobody demokratyczne są zakazane, ważny jest każdy człowiek, który decyduje się „żyć bez kłamstwa”, ważna każda wolna myśl.

Zaś bardziej polityczne kategorie są może przydatne dla rozważań o rozwoju sytuacji światowej. Jakimś optymistycznym promykiem jest fakt, że Zachód, choć nadal nie widzi sowieckiego słońca w składzie światowej porcelany, zaczyna dostrzegać rozbite filiżanki — przykładem Afganistan. Kiedy piszę te słowa, Sowietci zgłosili właśnie w Radzie Bezpieczeństwa *veto* przeciwko rezolucji w sprawie Afganistanu. Przypuszczam, że w Zgromadzeniu Ogólnym rezolucja „przejdzie”, bowiem afgańskie posunięcie Sowietów jest sztyte zbyt grubymi nićmi. Breżniew zwietrzył jednak pismo nosem i za wszelką cenę chce się solidnie ulokować w rejonie Zatoki Perskiej. Ważny to krok, mocno godzący w pozostających cały czas w defensywie Amerykanów.

Jak się zdaje, Zachód zaczyna także dostrzegać zawrotne tempo sowieckich zbrojeń i ich przewagę w niejednej już dziedzinie. Trochę to późno, ale lepiej późno niż wcale. Odzywają się jeszcze głosy w Europie Zachodniej, żeby się nie zbroić i pertraktować z Moskwą. Autorom takich opinii przypominam stary wierszyk Hemara „Kongres pacyfistów albo łapać złodzieja”: „Biegnie złodziej ulicą / I krzyczy 'Łapać złodzieja!'”, a mówiąc bardziej dosłownie: „Uganiają po świecie / Podnieceni przykacze, / Radzieccy pacyfiści — / 'Mir!' krzyczą, 'Pace!' 'Pace!'”. Ów propagandowy sowiecki wrzask rozlega się po to właśnie „By go (złodzieja) ścigać przestali / Grozą mściwego boju, / Aby z wszystkim co ukradł / Mógł uciec. I żyć w pokoju”.

Przypomniany we fragmentach wierszyk to krótki, a dobry — z wykorzystaniem mnemotechniki — kurs sowietologii. Może się on bardzo przydać na Zachodzie, gdy sfinlandyzowany ONZ nie potrafi nawet w projekcie rezolucji nazwać złodzieja po imieniu (mowa tam tylko o „obcych wojskach” w Afganistanie). Nam sowietologiczne teorie niepotrzebne, bo przechodzimy praktyczne, codzienne ćwiczenia z tej dyscypliny. Nas jednak nikt prawie słuchać nie chce, a wierzyć to już wcale, bo „syty głodnemu (a najgłodniejszy teraz Polacy — przyp. A. M. L.) nie wierzy, gdy uwierzy, będzie już za późno” (Kisielewski).

Pewne podniecenie wywołuje także podeszły już wiek i nie najlepszy stan zdrowia Największego Budowniczego Pokoju — Leonida Iljicza Breżniewa. Co będzie po jego zejściu? Na to

pytanie niech odpowiedzą sowietologiczno-politologiczne sztaby z dalekiego Zachodu, bo wszak do tego są powołane (Zachód, choć geograficznie w tym samym miejscu, dla nas jest coraz trudniej dostępny, z uwagi na tajną dyrektywę Biura Politycznego z lata ubiegłego roku — zakaz paszportów dla „dysydentów”). Proszę jednak pamiętać, że Breżniew doprowadził do perfekcji sowiecką politykę bardziej lub mniej pokojowych podbojów, w połączeniu z *détente*, czyli usypianiem Zachodu i za twierdzeniem w Helsinkach władania Moskwą w Europie Środkowo-Wschodniej. I wątpię, żeby ktokolwiek chciał z tej metody łatwo zrezygnować.

Na końcu więc znów akcent pesymistyczny, ale — powtórzmy za Kisielem — lepszy umiarkowany pesymizm od bezpodstawnego optymizmu.

Anatol Marek LIPIEC

Styczeń 1980

LITERATURA

to wydawany kwartalnie w Kalifornii magazyn literacki w języku polskim: estetyczna edycja książkowa o objętości ca 120 stron i w atrakcyjnej dla nabywcy cenie (prenumerata roczna — \$ 10,00). Publikujemy utwory reprezentujące literaturę współczesną i światową, artykuły historyczno-literackie, felietony, wywiady z interesującymi osobami. Numer „WIOSNA 1980” wysyłamy do wglądu za darmo.

Zamówienia prosimy kierować na adres:

LITERATURA

6201 Lexington Avenue, Hollywood, CA 90038, USA

Sprawy i troski

Katolicy w Kazachstanie

Pracuję w Kazachstanie od 28 maja 1976 roku. Przedtem mieszkalam w Gruzji. Tam pewien świątobliwy, już dziś nieżyjący kapłan przed laty dużo mi opowiadał o mieszkających tu ludziach, do których dojeżdżał dorywczo i słuchał ich opowiadań o czasach, kiedy znaleźli się tu, rozsiani na ogromnej, liczącej kilka tysięcy kilometrów przestrzeni, na której musieli egzystować w nieludzkich warunkach po kilkadziesiąt lat. Ksiądz, o którym mówię, dojeżdżał tu dla spełniania funkcji duszpasterskich. Po kilka godzin bez przerwy i to przeważnie nocami (w obawie przed aresztowaniem) od ośmiu do czternastu godzin spowiadał, odprawiał Mszę św., udzielał sakramentów. Spowiadali się ludzie, którzy u sakramentu Pokuty nie byli 10-40 lat, bo nie mieli możliwości spotkania katolickiego kapłana. Żniwo tam było wielkie, robotników mało.

Pod wpływem tych opowiadań zdecydowałam się na przeniesienie do tego kraju w tym celu, aby:

1. stworzyć ognisko miłości, w którym Pan Jezus mógłby mieszkać sakramentalnie i w którym by oddziaływała na rzeczywistość sama Jego obecność,
2. zapewnić punkt oparcia dla każdego kapłana, który by zaryzykował narażenie się na wszelkie trudności w imię miłości Boga i bliźniego, znajdującego się w skrajnej nędzy pod względem duchowym, a często i materialnym,
3. pracować osobiście z tutejszymi ludźmi i dla ich dobra, wszelkimi sposobami możliwymi w tych okolicznościach.

Sytuacja miejscowa w C.

Miasto C. liczy około 300.000 mieszkańców. Jest bardzo rozległe. Komunikacja miejska tylko autobusowa. Autobusów jest mało, więc na przystankach czeka się niejednokrotnie 40-60 minut.

Narodowość zróżnicowana: Rosjanie, Kazachowie, Ukraińcy, Polacy, Niemcy, Cyganie, Inguszwowie, Żydzi i inni.

Miasto w stylu nowoczesnym zaczęło się rozwijać w latach 50-tych. Powstają nowe osiedla, złożone z typowych bloków. Stare domy to — w 99 % — parterowe, małe chatki, ulepione z samanu (mieszanki gliny, słomy i nawozu), bez fundamentu, o płaskich, zasypanych ziemią dachach, na których latem rośnie trawa (stąd nazwa chatki — „ziemlanka”). Okna są małe, co wynika z konieczności chronienia ciepła podczas długiej zimy, która tu trwa 7-7½ miesiąca.

Polaków jest tu więcej niż Niemców (w przeciwieństwie do innych miast Kazachstanu, gdzie więcej jest Niemców niż Polaków). Polacy są katolikami, Niemcy — katolikami lub luteranami.

Miasto ma prawosławną cerkiew, dobrze utrzymaną, w której pracują trzej duchowni, meczet muzułmański dla Kazachów, zbór protestancki, dom modlitwy dla baptystów. Katolicy nie mają jeszcze kościoła, choć ich walka o własny dom modlitwy toczy się już od 25 lat.

Polacy są potomkami rodzin przesiedlonych na to pustkowie w latach 1934-36 z nad polskiej granicy. W swoim czasie, w obliczu zagłady, zdecydowali się „wracać do domu”. Rozprawiono się z nimi w ten sposób, że ze wszystkich mężczyzn pozostali przy życiu tylko dwaj. Żywi są jeszcze świadkowie tych wydarzeń, ale szczegóły tu nie są potrzebne.

Są jeszcze do dziś rodziny, w których zachował się ojczysty język. Dzieci mówią po polsku, babcie uczą je pacierza.

Średnie i młode pokolenie nigdy w życiu nie było w prawdziwym kościele, nie widziało żadnego uroczystego nabożeństwa, ani szat liturgicznych (przyjeżdżający kapłani używają tylko komż i stuły). Miałam kilka slajdów przedstawiających wnętrza kościołów na Litwie i Łotwie — trzeba było widzieć te promienne twarze i oczy pełne łez, kiedy im to pokazywałam, kiedy opowiadałam o liturgii i życiu katolickim.

Wokół miasta jest dużo tzw. „posiołków” — małych miasteczek liczących po kilka tysięcy mieszkańców, w odległości 10-40 km. od C. Tam także jest dużo Polaków-katolików. Wszyscy oni czekają na swój kościół i pasterza. W jednym z takich „posiołków”, w domu prywatnym, w latach 1949-50 urządzono kościółek. Nie uzyskano jednak oficjalnego zatwierdzenia kościoła, kapłan zmuszony był wyjechać, a obecnie już nie żyje.

Przed dwudziestu laty znowu zaczęto walkę o stały „oficjalny” dom modlitwy. Zebrano pieniądze, uzyskano ustne pozwolenie i kupiono dom za 12 tys. rubli. Kapłan był bardzo gorliwy. Nabożeństwo odprawiało się w trzech językach: polskim, niemieckim i ukraińskim. Życie katolickie zaczęło się rozwijać bardzo dynamicznie, ale nie trwało to długo. Nie udzielono pisanego pozwolenia, odebrano dom, a kapłan musiał w ciągu kilku miesięcy ukrywać się w obawie uwięzienia. Jeden z organizatorów był więziony przez cały rok. To wydarzenie spowodowało

powszechny upadek ducha i pesymistyczny stosunek do wszelkich tego rodzaju prób w przyszłości. Jeszcze po 20 latach słyszałam wypowiedzi odnośnie możliwości uzyskania pozwolenia na otwarcie kościoła: „I tak w końcu wszystko zabiorą”.

Obecnie katolicy niemieccy zbierają się na wspólną modlitwę w niedzielę i święta — w dwu miejscach, gdzie jest przechowywany Najświętszy Sakrament... w jakiejś szafce, w pudełeczku... Modlitwa trwa 24 godziny. Zwykle prowadzi modlitwę jedna z niewiast — inni odpowiadają. Oprawiają się nabożeństwa okresowe — majowe, czerwcowe, różańcowe, wielkopostne, na końcu modlitwy mszalne. Wierni *śpiewają po łacinie* Asperges, Kyrie, Gloria, Credo, Sanctus, Benedictus, Agnus Dei i dostosowane do okresu pieśni w rodzinnym języku. Odczytuje się Lekcję i Ewangelię, zawsze odmawia się modlitwy w intencji Ojca św. i całego Kościoła.

Katolicy polscy przez cały ten czas nie mieli stałego miejsca wspólnej modlitwy. Umawiano się na każdą niedzielę u kogo mają się zebrać na modlitwę. Jeżeli ktoś nie mógł być obecny w jakąś niedzielę — trudno było dowiedzieć się, gdzie będzie następne zebranie, ponieważ miasto jest rozległe, komunikacja fatalna, a katolicy rozproszeni po całym mieście.

Zewnętrznym pretekstem zebrania, na wypadek ingerencji władz, są tzw. „pominki” — modlitwa za zmarłych z rodziny mieszkającej w danym domu. Czasem rzeczywiście zebranie miało to na celu, wówczas gospodarze przygotowywali obiad dla modlących się, traktując to jako dobry uczynek na rzecz zmarłych. „Nie mamy kościoła ani księdza, nie możemy dać na kościół, więc nakarmimy dobrych ludzi”.

Wspólną modlitwę stanowią Godzinki, Różaniec, modlitwy mszalne. Wszystkie części Mszy św. są śpiewane w języku polskim.

Obecnie za ustnym pozwoleniem władz mamy wydzierżawiony mały dom, gdzie mieszka pewna pobożna pani ze swoją niewiastą matką-staruszką. Większy pokój ma około 15 m², mniejszy 8-10 m², poza tym jest jeszcze kuchnia i przedpokój. Sufity — jak zwykle — niskie, okna nie otwierają się.

Modlimy się wspólnie — Polacy i Niemcy — bardzo zgodnie, z miłością ustępując jedni drugim, częściej jednak łączymy się we wspólnej modlitwie. Na przykład, jeżeli Różaniec jest odmawiany po niemiecku, to Polacy już go nie powtarzają — przecież wszystko rozumiemy. Stałe części Mszy św. śpiewamy po łacinie — wszyscy rozumiemy. Mamy małe elektryczne organy. Inne modlitwy mszalne są omawiane kolejno — po niemiecku i po polsku. W obu językach również czyta się Lekcję i Ewangelię, homilię czytamy z książki.

Na początku modlitw mszalnych śpiewamy Asperges, jest pokropienie wodą święconą, później robimy ogólną intencję, łącząc się duchowo z tymi, którzy w tej chwili rzeczywiście we Mszy św. uczestniczą. Tę intencję powtarzamy w momencie Przejścia, a także przyjmując duchowo Komunię św. Po

momencie ciszy mówimy wszyscy razem: „Ciało i Krew Pana”. Po modlitwach mszalnych odprawiamy duchowo adorację Najśw. Sakramentu, śpiewamy „O Salutaris”, odmawiamy modlitwę za Kościół, prosimy o kapłana, śpiewamy Tantum Ergo, Salvum fac..., a na zakończenie Anioł Pański.

We wszystkie piątki Wielkiego Postu odprawiamy Drogę Krzyżową.

Na Wielkanoc odprawiamy procesję bez kapłana, niosąc krzyż z czerwoną wstążką, obraz Zmartwychwstałego, świecę paschalną zrobioną własnoręcznie. Procesja odbywa się we wspomnianym pokoiku.

Kiedy dowiedzieliśmy się, że Papieżem został Polak, jedna z pobożnych niewiast zawołała: „Teraz już będziemy mieli i kościół i księdza, Papież na pewno o nas się zatroszczy”. Dostaliśmy fotografię Ojca św. i teraz jest on stale z nami, w naszym „kościółce”.

W naszym mieście nigdy nie mieszkał na stałe kapłan, nie zajmował się duszpasterstwem, nie było katechizacji. Życie religijne w jego dzisiejszej formie to cud łaski i Opatrzności Bożej.

O Jezu, Dobry Pasterzu, nakłoń serca i umysły pasterzy pracujących w Imię Twoje, aby otoczyli szczególną miłością i opieką te najbardziej zaniedbane i opuszczone Twoje owieczki, które z głębi swej nędzy wołają do Ciebie — Jezu ufamy Tobie. Przecież nie na próżno dałeś nam w tych czasach jako Twego namiestnika Ojca świętego, któremu z Twojej Opatrzności sprawy tego biednego ludu leżą tak bardzo na sercu. Według jego myśli naród polski wszędzie, gdzie przebywa, ma do spełnienia szczególną misję. Dopomóż nam, a my postaramy się Ciebie nie zawieść.

Sytuacja w K.

Miasto powstałe po ostatniej wojnie liczy około 800.000 mieszkańców. Jest bardzo rozległe. Proboszcz ma do kościoła 18 km.

Liczba katolików wynosi około 3.000. Są to przeważnie Niemcy, ale także Polacy, Ukraińcy — unicy, nieliczni Litwini. Niemcy są internowani z europejskiej części Związku Sowieckiego w początkach wojny. Ludzie ci byli po przywiezieniu wyrzuceni po prostu w step, nie mieli mieszkania ani ubrania. Mróz w zimie sięgał do 45°, toteż wielu zginęło. Później budowali sobie chatki z samanu i walczyli z nędzą.

Modlili się wspólnie — gdzie i kiedy nadarzała się sposobność. Zbierali się szczególnie w niedzielę i święta. Walka o kościół trwała około 30 lat. Na razie zbierali się po domach mimo rozpędzania, karania i grózb, które nie odnosiły skutku. Kilka niezamężnych niewiast poświęciło się pracy nad utrzymaniem i rozbudzaniem życia religijnego — prowadziły wspólne modlitwy i katechizowały. Ludzie, idąc na wspólną modlitwę, mówili:

„idziemy do kościoła”. Opuszczenie takiej modlitwy uważali za grzech.

Później w mieście byli kapłani w liczbie czterech, a nawet sześciu. Opowiadano, że kiedyś było ich nawet dwunastu, pozostałych na tej ziemi po odbyciu kary więzienia. Dzisiaj jest ich tu czterech. Dwaj bez uprawnień ze strony władz do pełnienia funkcji kapłańskich są to unicy, — dwaj — którym władze udzieliły pozwolenia na odprawianie nabożeństw w kościele i na postugę wierzącym dorosłym. Jeden z nich liczy 83 lata, jest naprawdę Bożym człowiekiem o wielkim duchu. Młodszego z księży władze stale usiłują usunąć. Pozwolenie na oficjalne otwarcie kościoła uzyskano 27 stycznia 1977 roku. Kościół stanowiła mała „ziemlanka”. Po roku na tym samym miejscu zbudowano kościół (26 m długości, 18 m szerokości). Władze zastrzegły, by wysokość kościoła nie przekraczała 4 m wysokości. Kościół może pomieścić około 1.000 osób. Codziennie są tu odprawiane 4 Msze święte — dwie rano i tyleż wieczorem. Na każdej Mszy św. pełno ludzi także młodzieży i dzieci. Kwitnie życie eucharystyczne. W ciągu 4 miesięcy udzielono 39.000 Komunii św.

Bardzo dużo trudności powstało w związku z uzyskaniem pozwolenia na budowę kościoła i z samą budową. Na początku referent wyznaniowy wezwał przewodniczącego komitetu kościoła i zapowiedział, że nie wolno pozwalać dzieciom na uczęszczanie do kościoła. Proboszcz na przekazaną mu wiadomość odpowiedział: „Jeżeli nie pozwolicie przychodzić do kościoła dzieciom, ja tu nie zostanę. Nie jestem kapłanem tylko po to, by grzebać ludzi starych”. Dziś kościół pełen jest dzieci i młodzieży. Są osoby aktywnie zaangażowane w prowadzenie katechizacji. Ponieważ nauczanie dzieci w kościele jest zakazane, uczą się małymi grupkami po domach, po czym następuje egzamin i uroczyść komunijna. W ubiegłym roku 300 dzieci przystąpiło do Pierwszej Komunii świętej. Często odbywają się procesje eucharystyczne. W pierwsze czwartki modlitwa ma na celu uproszenie powołań kapłańskich i zakonnych. Gdy proboszcz wygłasza na ten temat kazanie, w kościele rozlega się powszechny szloch. Ksiądz usiłuje rozbudzić świadomość odpowiedzialności każdego wierzącego za życie wiary. Do Mszy św. służą ministranci spośród młodzieży w komżach i pelerynkach. W większe uroczystości zbiera się ich do 32. Dziewcząt należących do asysty procesyjnej parafia liczy około 80. Początkowo brak było białych sukienek. Obecnie wszystkie mają białe sukienki, powstał nowy problem — jak ustawić w procesji 40 par dziewcząt. Inny problem dotyczy kwiatów do sypania i ozdabiania kościoła. Zima jest długa, trudno o kwiaty ogrodowe, więc pobożne kobiety pielęgnują kwiaty po domach i kościół ma je żywe i piękne nawet wówczas, gdy mróz sięga 30°. Są to drobiazgi, ale wiele mówiące.

Przed uroczystościami wielkanocnymi władze uprzedziły o mającej nastąpić kontroli dzieci uczestniczących w nabożeństwach kościelnych (wiadomo, że dzieciom wolno uczestniczyć w liturgii tylko po ukończeniu 18 lat życia). Listy tych dzieci miały być

przekazane do szkół dla wyciągnięcia z tego właściwych konsekwencji. Młodzież i dzieci dowiedziawszy się o tym przychodzą, by zgłosić oficjalnie swoje uczestnictwo, pragnąc pocierpieć dla Pana Boga.

Uroczyscie obchodzono rocznicę święceń kapłańskich proboszcza. Dzieci śpiewały w różnych językach piękne pieśni, dorosli dziękowali księdzu proboszczowi za jego wielką, ofiarną pracę nad ich duszami, przez którą Bóg im daje tyle łask i radości. Proboszcz na to odpowiedział: „To, co teraz mamy — nie jest moją zasługą. To wszystko są owoce ofiary wielu tych, którzy już nie mogą tego oglądać ziemskimi oczyma, bo życie swoje złożyli w ofierze... Wszystkim wiadomo, ilu zginęło przez te kilkadziesiąt lat walki. Teraz oni w niebie cieszą się razem z nami, a my powinniśmy sobie uświadomić naszą odpowiedzialność za to szczęście, że mamy kościół i możemy bez lęku zbierać się na wspólną modlitwę”.

N.N.

Kazachstan, 1980.

Co to jest Kongres Polonii Amerykańskiej?

Uwaga wstępna: Zostawiając na boku wszystko, co ma związek z taką czy inną polityczną stroną, związaną z powyższym pytaniem, postaram się w tym artykule odpowiedzieć tylko na samo pytanie. Zostawiam innym omówienie wymagające głębszego wglądu za kulisy (działalność i historia).

Gdy niedawno zeszła rozmowa pomiędzy mną a jednym z urodzonych w Ameryce Polaków, a raczej Amerykanów polskiego pochodzenia, na temat Kongresu Polonii Amerykańskiej, jego pierwsze pytanie było „Gdzie ten Kongres jest?”.

Ktoś inny, wnet po przyjeździe z Kraju był przekonany, że ten Kongres to „kolosalna potęga”.

W styczniowym numerze tygodnika *Nasza Rodzina*, wydawanego w Paryżu, znalazł się artykuł o Polonii Amerykańskiej a w nim zdanie, że KPA liczy 700 tysięcy członków, że jest czynny i wpływowy i że założył Polski Instytut Naukowy. (Faktycznie Instytut powstał wcześniej niż KPA).

Przebywając przed 10 laty w polskiej dzielnicy Brooklynu usłyszałem od jednego i drugiego działacza miejscowego zdanie, że mało kto w tej dzielnicy w ogóle słyszał, że tego rodzaju organizacja istnieje.

Dlatego właśnie uważam za konieczne nie jakieś górnolotne, filozoficzno-socjologiczne, lecz całkiem proste wyjaśnienie, czym ten Kongres jest. Elementarne A-B-C.

Data i miejsce „urodzenia”

To, co nazywamy *Kongresem Polonii Amerykańskiej*, zaczęło swój żywot w dniach 28-30 maja 1944 roku, na zjeździe założycielskim w Buffalo. Nie trzeba czytelnikom *Kultury* przypominać, że były to ostatnie miesiące Drugiej Wojny.

Kto zwołał ten zjazd?

Odpowiedź znajdziemy w urzędowym protokole wydanym wkrótce po zakończeniu obrad, a opracowanym przez sekretarza zjazdu, Zygmunta Stefanowicza. Protokół liczy 202 strony druku, zawiera dokumentację, „Ustawy i Reguły”, rezolucje, wnioski, listę uczestników oraz referaty wygłoszone na zebraniach utworzonych wtedy komitetów.

Przewodniczący zjazdu, Karol Rozmarek, zajmujący stanowisko prezesa Związku Narodowego Polskiego (ZNP) poinformował zebranych, że pomysł KPA powstał w łonie organizacji zwanej *Polska Rada Opieki Społecznej w Ameryce*.

Jak sama nazwa wskazuje, była to instytucja *opieki społecznej*. Taki charakter nadano tej organizacji gdy zlikwidowano istniejącą w czasie Pierwszej Wojny polityczny „Polski Wydział Narodowy”.

Polska Rada Opieki była organizacją działającą w imieniu takich organizacji „bratniej pomocy” (czyli ubezpieczeniowych) jak Związek Narodowy Polski, Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie, Związek Polek oraz wielu mniejszych.

Oto słowa Karola Rozmarka:

„Zarządy największych organizacji bratniej pomocy zwołały przedstawicieli innych organizacji, duchowieństwa i prasy na pierwszą konferencję w Chicago dnia 4 marca (1944) roku. Na Konferencji tej wszyscy zebrani w liczbie 40 oświadczyli się jednomyślnie za zwołaniem Kongresu Polonii Amerykańskiej, celem zaznaczenia stanowiska naszego wobec Polski i stworzenia stałej organizacji wszystkich obywateli amerykańskich polskiego pochodzenia”.

Warto tu zwrócić uwagę na ostatnie słowa: *obywateli amerykańskich polskiego pochodzenia*. Słowa te wykluczają innych Polaków. Tworzący się Kongres miał być w zasadzie naprawdę Kongresem *Polonii*, a nie uchodźców politycznych i innych. Czy to stanowisko było słuszne czy nie, to inna sprawa, chodzi tu tylko o stwierdzenie stanu faktycznego.

Warto tu też przypomnieć, o czym wspomniano otwarcie 24 lata później na siódmym zjeździe KPA, że samo zwołanie zjazdu

założycielskiego było zależne od rządu Stanów Zjednoczonych. Prezydent F. D. Roosevelt otrzymał na czas wojny nadzwyczajne uprawnienia i praktycznie zawiesił niektóre prawa obywatelskie, jak na przykład prawo urządzania wielkich zebrań i zjazdów. Komitet przygotowawczy uzyskał jednak nadzwyczajne pozwolenie, zapewniwszy Departament Stanu że uczestnicy zastosują się we wszystkim do praw Stanów Zjednoczonych. Zapewnienie o lojalności dla rządu Stanów Zjednoczonych powtórzono w czasie obrad w komunikacie dla prasy amerykańskiej.

Uczestnicy zjazdu założycielskiego

Zjazd ten jest w protokole nazwany Kongresem Polonii Amerykańskiej. Tę samą nazwę przyjęto dla utworzonej na nim organizacji, dodając czasem słowo „stały”.

Nie wchodząc w kwestie pierwszeństwa, musimy stwierdzić, że zaistniało pewne „stopniowanie”. Na pierwszym miejscu wymienieni są „delegaci”, posiadający mandaty od wspomnianych już „największych organizacji bratniej pomocy”. Osobna komisja sprawdzająca te mandaty naliczyła ich 1.063.

Jakie to były organizacje?

Najsilniejszy liczebnie, skupiający około 400 tysięcy członków, był Związek Narodowy Polski, datujący swe istnienie od roku 1880.

Drugie miejsce co do liczby członków zajmowało Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie (ZPR-K.) Istniały przez długi czas spory o datę jego założenia ale obecnie przyjęto już rok 1873 jako rok założenia.

Trzecie miejsce należy się Związkowi Polek, liczącemu wtedy ponad 60 tysięcy członków. Związek ten istnieje od roku 1898. Trudno orzec, na którym miejscu i z jaką liczbą członków umieścić „Sokoła” — sokolstwo polskie utworzono przed rokiem 1900.

Oprócz nich należy wymienić dwie „Unie Polskie”, jedną z kwaterą główną w Buffalo, a drugą w Scranton, w stanie Pennsylvania, a ponadto Związek Polaków w Cleveland, Unię Polek w Filadelfii, Stowarzyszenie Synów Polski w stanie New Jersey i Zjednoczenie Narodowe Polskie skupiające Polaków z Brooklynem i rejonu nowojorskiego.

Te „związki”, „unie” i „zjednoczenia” były zrzeszeniami towarzystw lokalnych, o najróżniejszych nazwach. Niektóre z nich były właściwie stowarzyszeniami parafialnymi, inne istniały samodzielnie skupiając się w Domach Polskich. Nazwa „Stowarzyszenie bratniej pomocy” pochodzi stąd, że chociaż były zakładane jako towarzystwa ideowe, to jednak ze względów praktycznych przemieniły się w ubezpieczalnie. Członkiem takiego towarzystwa zostawało się nie przez proste zapisanie się i opłacanie składek członkowskich, tylko przez zakupienie czegoś w rodzaju „polis” ubezpieczeniowej, nazywanej jednak nie „polisą” tylko „certyfikatem”, bo nazwa polis jest zarezerwowana pra-

wem czy tradycją dla biznesowych kompanii ubezpieczeniowych.

Wymienione powyżej stowarzyszenia nie połączyły się nigdy w trwałą, jednolity związek całej Polonii. Długa to i czasami bolesna historia i nie tu miejsce na jej wałkowanie. Dość wspomnieć, że zawiązana przed rokiem 1900 „Liga Polska” upadła po krótkiej próbie istnienia, nie przyłączył się do niej ZNP. W czasie Pierwszej Wojny zmontowano Wydział Narodowy Polski jako wspólną reprezentację większych organizacji. Wnet po zakończeniu wojny Wydział stracił jednak poparcie i na jego miejsce utworzono Polską Radę Opieki Społecznej, pojętą, jak nazwa wskazuje, jako organizacja dobroczynna — z amerykańskiego *reliefe* nazywano ją „relifową”. Nie miała ona mieszać się do żadnej, wielkiej czy małej polityki.

W roku 1944 nie powrócono więc ani do nazwy „liga” ani „rada”, ani przede wszystkim do nazwy „wydział”, bo to już było i nasuwało nie zawsze dobre skojarzenia. Z różnych możliwych nazw wybrano „kongres”.

Inni uczestnicy zjazdu

Zapewne dla pozyskania silniejszej bazy zaproszono do udziału w kongresie przedstawicieli parafii polonijnych wszystkich wyznań, choć faktycznie większość parafii była już reprezentowana przez delegatów towarzystw należących do wymienionych wyżej związków. Delegatami parafii byli w ten sposób automatycznie proboszczowie. Delegatów w tej grupie naliczono 809. Ze sfer kościelnych znalazło się na liście delegatów również 57 zakonników; 43 delegatów wystąpiły instytucje naukowe i kulturalne, a handlowe i przemysłowe 91 przedstawicieli.

Do tej liczby dodano dopiero w czasie trzeciej sesji nową serię delegatów, nie posiadających mandatu od żadnej organizacji polonijnej i od żadnej instytucji. Nazwano ich „delegatami *at large*” czyli „bez przydziału”. Wraz z dodanymi wtedy przedstawicielami pism i radia w liczbie 114 doszła liczba uczestników do imponującej sumy 3.288.

W rezolucjach i przemówieniach wymieniano jednak niższą liczbę „około 2.500”, co wskazuje że owi „goście z prawem udziału w obradach” nie byli jednak uznani za pełnoprawnych delegatów. Byli to prawdopodobnie — choć to nie jest wyraźnie powiedziane — przedstawiciele uchodźców wojennych, nie posiadających obywatelstwa amerykańskiego. Inicjatorom chodziło o podkreślenie, że KPA miał przemawiać wobec rządu Stanów Zjednoczonych na zasadzie praw obywatelskich.

Konstytucja KPA

Jest to krótki dokument liczący 15 artykułów, podzielony na zwięzłe paragrafy w liczbie 63.

Urzędowy protokół KPA nie informuje nas o dyskusji nad konstytucją, nazwaną „Ustawy i Reguły”. Zapewne archiwum Kongresu posiada pełny tekst tych obrad. Wygląda na to, że „Ustawy i Reguły” są dziełem Komitetu Przygotowawczego. Zostały one jednak urzędowo przyjęte przez Izbę Kongresu.

Większość paragrafów zawiera przepisy nie odbiegające od innych podobnych statutów organizacyjnych, wystarczy więc podkreślić tylko najważniejsze.

Za taki należy uznać artykuł XIV, gwarantujący wszystkim towarzystwom *autonomię* w sprawach lokalnych. Reguły Kongresu oraz dyrektywy jego władz obowiązują tylko o tyle, o ile się odnoszą do spraw dotyczących całej Polonii.

Jest to — razem z artykułem IV na temat członkostwa — odpowiedź na zdanie tych, co myślą, mówią i piszą o KPA jako o jakiejś organizacji monolitycznej, łączącej w jeden organizm ileś tam tysięcy ludzi. Na takie scalenie nie zgodziłby się nigdy zazdrosne o niezależność organizacje bratniej pomocy.

Artykuł IV przewiduje, że członkami KPA mogą być *towarzystwa* bez względu na zapatrywania polityczne i religijne, z wyjątkiem tych które działają na szkodę Demokracji amerykańskiej i narodu polskiego. Nie ma tu więc mowy o „członkach indywidualnych”, chociaż artykuł VII mówi, że w zebraniach KPA mogą brać udział „uczeni, wybitni działacze świeccy i duchowni, osoby piastujące urzędy publiczne oraz wybitni przemysłowcy i handlowcy, których zarząd wykonawczy poleci” i to jako „pełnoprawni członkowie Kongresu”.

Z artykułów i paragrafów regulujących strukturę władz Kongresu dziwny wydaje się artykuł VIII mówiący o „Radzie Narodowej”. Bo trudno sobie wyobrazić, jak taka rada mogłaby zaistnieć i działać. Miała być „najwyższym ciałem kierowniczym i rządzącym”, co tym dziwniejsze, że nie miała istnieć obok czy ponad Zarządem Wykonawczym, skoro ten Zarząd miał być jej częścią składową. Obok tego Zarządu miało w niej zasiadać 10 przedstawicieli duchowieństwa, przedstawiciele organizacji bratniej pomocy (jeden na każde 25.000 członków), pięciu przedstawicieli prasy, 15 osób „znanych ogólnie i zasłużonych... a wybranych przez Zarząd Wykonawczy” i jeszcze kilka innych osób reprezentujących przemysł i Wydziały Stanowe Kongresu.

Z protokołu sejmiku odbytego w roku 1968 w Cleveland wynika, że to „najwyższe ciało” zostało zastąpione 22 „dyrektorami” wybieranymi na regularnych zjazdach na okres 4 lat.

Ustawy i Reguły przewidują utworzenie aż ośmiu stałych komisji: obrony spraw Polski, spraw religijnych, informacyjno-wydawniczych, Polonii Amerykańskiej, kulturalno-oświatowej, rekonstrukcji powojennej i finansowej. Ta ostatnia miała się zająć finansami Kongresu i budżetem. Z ostatniego paragrafu tego artykułu wynika, że dobór członków każdej komisji jest sprawą przewodniczącego, ale w „Protokole KPA” trudno się doszukać wzmianki o wyborze tych przewodniczących, tak samo

zresztą jak o wyborach do Rady Naczelnej. Może to zostało w nie ogłoszonych sprawozdaniach poszczególnych sekcji.

Dowiadujemy się jednak, że przeprowadzono wybory do Zarządu wykonawczego i że prezesem został Karol Rozmarek, wiceprezesami Honorata Wołowska, dr T. Starzyński, Maksymilian Węgrzynek, Franciszek Januszewski i Jan Mikuta. Stanowisko stałego sekretarza powierzono Janowi J. Olejniczakowi a skarbnikiem został Stanisław Gutowski.

Skład Zarządu przedyskutowano w komisji nominacyjnej i plenum przyjęło wybór przez aklamację. Procedura ta była zapewne wynikiem ograniczonego czasu przeznaczonego na obrady.

Czego KPA miał dokonać?

Wystarczy z uwagą przeczytać rezolucje i przemówienia a potem sprawozdania poszczególnych komitetów, żeby dojść do przekonania, że Zadania Kongresu pojmowano na dwa sposoby. Ze słów Rozmarka, z rezolucji i z memoriału przedłożonego władzom federalnym wynika, że KPA został powołany do akcji zmierzającej do obrony interesów narodu polskiego czyli do odpowiednich interwencji w Waszyngtonie. Tymczasem samo istnienie w czasie obrad Kongresu Sekcji: Kupieckiej, Prasowej i dla Spraw Inwalidów świadczy, że przynajmniej dodatkowym celem Kongresu były sprawy polonijne, wewnętrzne, a więc raczej praktyczne a nie tylko jakaś niezbyt wyraźnie określona akcja polityczna. Zapewne to miał na myśli Rozmarek mówiąc nie tylko o zaznaczeniu stanowiska Polonii względem Polski, ale i o „stworzeniu stałej organizacji Amerykanów polskiego pochodzenia”.

Budżet

Miało to być zadanie jednej z ośmiu stałych komisji. Na początek zebrano przed zjazdem i do końca obrad doraźne wpłaty w sumie 53.535 dolarów, a wydatki do tej chwili wyniosły tylko 3.542 dolary. Stały Kongres zaczynał więc gospodarkę z nieokreślonym na razie budżetem i prawie 50 tysiącami dolarów w kasie. Nie było to jednak dużo gdy się zważy, że trzeba było montować nową organizację i urządzać biura, a co ważniejsze — realizować plany wyznaczane we wnioskach poszczególnych komitetów.

Trudno powiedzieć, jakich wpływów pieniężnych spodziewał się Kongres przewidując, że organizacje dające początek tej nowej komórce polonijnej będą wpłacać określone sumy (10 dolarów od mniejszych towarzystw, 25, 100 — aż do 1.500 rocznie od największych, rocznie).

Przełomowy zjazd walny w roku 1968

Był on przełomowy przede wszystkim dlatego, że skończyły się wtedy 24-letnie rządy Rozmarka i jego zespołu. Rozmarek był przez 28 lat prezesem ZNP i wycofał się z tego stanowiska już w roku 1967.

Prezesem ZNP został wtedy Alojzy Mazewski, prawnik i człowiek z żyłką do biznesu i do pracy społecznej. Zjazd KPA — po zakulisowych naradach — zwrócił oczy na Mazewskiego, uważając widocznie, że najlepiej będzie jeżeli prezes największej organizacji bratniej pomocy (dobrze tam płatny) będzie mógł kierować działalnością KPA (honorowo).

Mazewski zapowiedział w inauguracyjnym przemówieniu, że będzie uważał się za „pierwszego wśród równych” i że zaprowadzi coś w rodzaju „rządów kolegiatnych”. Była to zapewne reakcja przeciw rządowi Rozmarka, które ówczesna prasa polonijna nazywała dyktaturą.

Z wypowiedzi późniejszych można by wysnuć wniosek, że nowy prezes niezbyt chętnie przyjął wybór — jego zdaniem „mariaż” ZNP z KPA nie jest rozwiązaniem idealnym. Prezes ZNP ma dość pracy na tym jednym fotelu, Kongresowi może poświęcić tylko część swego czasu. Wyraził się nawet, że prezesem KPA powinien zostać ktoś spoza organizacji bratniej pomocy.

Tak się jednak sprawy układały, że Mazewski został na stanowisku prezesa KPA aż do dni dzisiejszych.

Zjazd z roku 1968 nie był przełomowy pod innymi względami. Znowo sprawozdania z kilku komitetów wypełnione są tuzinami pięknych, górnolotnych wniosków, bez troski o bazy budżetowe. Narzekano tylko, że wiele wniosków z dawnych konwencji pozostało na papierze. Ze sprawozdania Karola Burke, kierownika biura w stolicy kraju, dowiedzieli się zebrani, że od pięciu lat pracował on sam jeden, zabrano mu sekretarkę, dla oszczędności. Biuro w Chicago — wspaniale urządzone jeśli wierzyć prasie — wydało przez ostatnie czterolecie blisko 8 tysięcy dolarów więcej niż biuro „stołeczne”. Rzecz ciekawa, że biuro w stolicy zajmowało się z konieczności nie tylko kontaktami z członkami Kongresu USA, ale całkiem przyziemnymi potrzebami Polaków, jakby jego przeznaczeniem była zwykła „opieka społeczna”.

Warto też odnotować, że w czasie obrad Komitetu Kultury delegat P. Kościół Narodowego, biskup Leon Grochowski, przypomniał kilkakrotnie, że na realizację planów wysuwanych przez wnioskodawców potrzeba pieniędzy i że te fundusze nie tak łatwo zdobywać.

Zjazd ten postanowił też, że walne zebrania delegatów będą się odbywać nie co cztery, lecz co dwa lata. I tak było w następnych latach, chociaż już w roku 1970 były przeciw temu protesty.

Mazewski zwołał dwie grupy „doradców” spoza dykcji Kongresu, jedną w Orchard Lake, drugą w Kolegium Związkowym.

Trudno bez specjalnych dociekań odpowiedzieć na pytanie, czy przyczyniły się one do uaktywnienia KPA. Sprawozdania prasowe były raczej bezkrytyczne, wyrażano zachwyty nad nowymi pomysłami, zebranie „intelektualistów” w Kolegium Związkowym wysunęło ich aż 32!

W roku 1974 odbyło się uroczyste posiedzenie dyrekcji na 30-lecie KPA w Buffalo. Z przemówienia prezesa dowiadujemy się, że działalność „wydziałów stanowych” nie była owocna, niektóre zbierały jakieś fundusze, ale do centrali nie odsyłały „ani centa”.

W roku 1976 odbył się zjazd walny w Filadelfii, kolebce amerykańskiej niepodległości. Zaszczylił je przemówieniem nawet prezydent Gerald Ford.

Niestety nie było to zebranie udane. Uczestników nie było nawet 400. Edytoriał w *N. Dzienniku* wyraził skargę, że tylko 11 parafii wysłało swoich delegatów. Zjazd postanowił, że walnych zebrań w przyszłości nie będzie, są zbyt kosztowne. Zlecono Dyrekcji opracowanie planów na przyszłość, przedłużono mandaty prezesowi i dyrektorom. Biuro KPA w stolicy kraju zostało — praktycznie biorąc — zlikwidowane z braku funduszy. Zarówno mieszkania jak i lokale biurowe stały się niestęchanie kosztowne w stolicy Stanów Zjednoczonych.



Na zakończenie wypada dodać kilka słów o warunkach natury ogólnej w jakich KPA istniał, zwłaszcza w ostatnim 20-leciu.

Był to okres głębokich, niby powolnych ale nieustannych i wielofalowych przemian zachodzących w społeczeństwie amerykańskim.

Na życiu całej Polonii odbyły się te przemiany przede wszystkim na skutek zmian urbanistycznych i przemieszczeń ludności. Ruinie uległy tradycyjne skupiska polskie, często potępiane jako „getta”. Zalała je częściowo ludność innych ras i narodowości. Wiele starych, opuszczonych domów zburzono, zabrano je miasto, place porastały chwastem zanim na nich zaczęto budować „biurowce”.

Odbiło się to fatalnie na starych parafiach takich miast jak Chicago, Detroit i Buffalo. Stojące tam jeszcze okazałe kościoły albo służy już ludności napływowej albo jako świątynie nawiedzane przez dawnych parafian z okazji większych uroczystości. Z parafiami ucierpiały szkoły parafialne oraz organizacje parafialne, afiliowane do większych organizacji bratniej pomocy.

Prasa, zwłaszcza dzienniki, natrafiła na nowe trudności, tracąc punkty kolportażu, a rosnące opłaty pocztowe oraz zgoda nieamerykańska obsługa utrudniły ich wysyłkę. Upadł w Buffalo *Dziennik dla Wszystkich*, w Cleveland *Wiadomości Codzienne*, w Chicago *Dziennik Chicagowski* i *Polonia*, w Nowym Jorku *Nowy Świat*, w Pensylvanii *Pittsburczanin*, a pozostałe pisma

tracą z roku na rok poważną liczbę odbiorców. Lukę po *Nowym Świecie* zapełnił *N. Dziennik*.

Pantoflowa poczta, sprawdzana dodatkowymi indagacjami, donosiła o kryzysach finansowych trapiących większe organizacje bratniej pomocy. Tak było 8 lat temu w ZPRK, potwierdza to ponownie *Naród Polski*, organ prasowy tej organizacji w ostatnich numerach, donosząc jednak, że następuje wyraźna poprawa. ZNP musiał przenieść swą kwaterę główną w Chicago do nowego gmachu w bezpieczniejszej dzielnicy i ponieść wysokie koszty na zakup kosztownych nowoczesnych urządzeń biurowych. Planowane to było również w ZPRK, ale nie starczyło funduszy; co jest tym smutniejsze, że nie udało się ani wznieść osobnego budynku ani przenieść zarówno centrali jak i Muzeum Polskiego z nieprzejmowej dzielnicy zalanej ludnością kolorową gdzieś na nowe miejsce. O taki nowy budynek musiał się postarać Związek Polek. To wszystko ograniczyło możliwości płatnicze wszystkich podobnych organizacji i oczywiście ucierpiało na tym — i to nie tylko finansowo — KPA.

Wzmoczenie życia organizacyjnego tam, gdzie się Polacy przenieśli w poszukiwaniu lepszych warunków życia i zarobków, może nastąpić dopiero, gdy się okaże, gdzie powstaną silniejsze liczebnie skupiska. Słysz się dużo o Florydzie a nawet o stanie Arizona. Czy jednak znajdują się na miejscu ludzie z talentami i ochotą do tworzenia nowych grup, gmin i osad bratnich organizacji lub jakichkolwiek organizacji gotowych popierać Kongres Polonii?

I czy Kongres ten zdobędzie popularność, której podstawą musi być rozpowszechnienie wiadomości o jego istnieniu i działalności? Trudno mówić „co by było, gdyby było”, mogłoby jednak być lepiej gdyby zapaleni wnioskodawcy z roku 1968 i ze zjazdu „intelektualistów” stworzyli przede wszystkim solidną bazę finansową dla Kongresu, choćby równocześnie zmniejszając zakres działalności.

Nie zdobyłem dokumentacji z roku 1979. Dyrekcja miała opracować plany na przyszłość. Z doniesień prasowych dowiedzieli się uważni czytelnicy, że prezesowi Mazewskiemu nadal zlecono prowadzenie działalności, czyli że praktycznie biorąc „on sam jest Kongresem”, jako że zdobył osobisty prestiż zwłaszcza w Waszyngtonie. I prezydent USA i członkowie Kongresu wiedzą, że jest on rzecznikiem Polonii i mogą się do niego zwracać ilekroć będą mieć coś do powiedzenia „Amerykanom polskiego pochodzenia”. Brał więc Mazewski udział w dwóch zebraniach, raz „etników” a drugi raz Polaków, w Białym Domu i w obchodach ku czci Kazimierza Pułaskiego w rocznicę jego śmierci w Savannah.



Tak więc KPA przygał w ostatnich latach poważnie. Przygał, ale jeszcze daje o sobie znać, przede wszystkim ruchliwsze są Wydziały stanowe — tak przynajmniej wynika z doniesień

prasowych. Na razie czytamy o imprezach urządzanych dla zdobycia dolarów, trudno powiedzieć, ile z tego idzie do kasy centralnej a ile na cele lokalne.

Prezes Mazewski podróżuje, bierze udział w zebraniach K. P. Kanadyjskiej, w uroczystościach rocznicowych Polonii w Anglii, w zjeździe Polonii Świata w Kanadzie, interweniuje w Watykanie, stara się znaleźć czas nawet na różne jubileusze okręgowych grup bratniej pomocy. Przez niego KPA zaznacza, że trwa na stanowisku jako reprezentacja całej społeczności zwanej Polonią Amerykańską.

Ks. Wojciech SOJKA, C.M.

Erie — Pa. — USA.

Wystawa Kultury Polskiej w Los Angeles

Po raz pierwszy nad Pacyfikiem Polonia amerykańska podjęła ambitny zamiar urządzenia z wielkim rozmachem Wystawy Kultury Polskiej dla Amerykanów. Otwarto ją w rozległej sali Muzeum Wiedzy i Przemysłu w Los Angeles, w grudniu 1979 roku. Czynna będzie do końca kwietnia 1980 roku. Rok czasu trwały przygotowania: zbieranie eksponatów, środków na wydatki, itp. W ulotce o Wystawie, wydanej po angielsku, czytamy: Wystawa ma na celu: „przedstawić amerykańskiej publiczności ludzi, których pochodzenie i osiągnięcia w okresie więcej niż 1000 lat historii Polski były powszechnie nieznane”. Dalej czytamy jakie działy Wystawa ma prezentować: „sztuka dawna i współczesna, historia i polityka, literatura, muzyka, teatr i film, wiedza i medycyna, antropologia, militaria, folklor, filatelistyka, religia, numizmatyka, sport i harcerstwo”.

Z pełnym podziwem dla rozmachu organizatorów wybrałem się do Los Angeles na zwiedzenie tej Wystawy. Zabrałem do auta rodaków, byśmy wspólnie podziwiali to wielkie osiągnięcie. U wejścia zapisujemy się do książki zwiedzających i prosimy o katalog Wystawy. Po dwóch miesiącach od otwarcia Wystawy katalogu „jeszcze nie ma”, jak również żadnych informatorów o Polsce.

Na salę wystawową prowadzi obszerny, długi hall. Na jednej ścianie wisi samotna podobizna Papieża Jana Pawła II (żadnych albumów ani publikacji o nim nie spotkaliśmy na Wystawie). Na drugiej ścianie jest kilka wywieszek zapisanych drobnym drukiem. Pierwsza, to lista nazwisk organizatorów Wystawy i tych,

co z domów poprzynosili eksponaty. Dalej kilka tablic z wykreślaniami i opisem wędrówek rasy indo-europejskiej, co ma pouczać Amerykanów o historii prasłowian. U wejścia na salę wystawową wita nas ekspozycja przedwojennych znaczków polskich, rozmieszczona na 4 stelażach. Za tym, na reprezentacyjnym podium, jako główna i jedyna wyróżniająca się optycznie atrakcją: trzy pary manekinów w strojach ludowych: para łowicka, góralska i krakowska. Kobiety w podkaszanych spódnicach, nie dlatego że to polska tradycja ludowa, tylko z racji, że panie, które wypożyczyły na Wystawę swoje spódniczki, wzrostem nie dorównywały wysmukłym manekinom.

Po ciekawym zbiorze filatelistycznym ciągnie się szereg rzadko roztawianych gablotek. Pierwsze dwie z książkami. Przeważnie tłumaczenia naszych klasyków na angielski, wydane w XIX wieku. Przez szkło widać tylko szarżę starych opraw. Trzecia gablotka zawiera kilka odbitych na powielaczu pism dystrydenckich (i kilka książek), chyba z Polski? Następna gablota zawiera dwie pasiaste bluzy z obozu w Oświęcimiu (kultura polska czy hitlerowska?). Następnie oglądamy gablotę z przedwojenną chorągwią harcerską i ubrankiem harcerzyka z tutejszej drużyny, a do tego parę małych zdjęć drużyny.

Kolejną jest gablota poświęcona sportowi polskiemu. Są tam pamiątki zebrane przez tutejszych Polonusów podczas Olimpiady w Meksyku, a więc: proporzec polskiej ekipy, pamiątkowe odznaki itp. drobiazgi, m.in. jest naszywka na marynarkę noszona przez polskich olimpijczyków w postaci orła białego na czerwonej tarczy, któremu ktoś dowcipny dolepił koronę, aby dokumentacja kultury polskiej była prawdziwsza.

Kilka dalszych gablotek ma „reprezentować” naukę i sztukę. Pierwsza z nich prezentuje wiedzę matematyczną za pomocą kilku książek matematyków polskich już nie żyjących, albo tych którzy wykładają na amerykańskich uniwersytetach. Czy w Polsce nie ma już dziś wybitnych uczonych w tej dyscyplinie? Jest też gablota poświęcona medycynie polskiej z przypadkowym doborem książek. Dalej gablotka mająca prezentować muzykę i wokalistykę polską za pomocą paru książek, albumu nut, kilku fotografii i dwóch płyt gramofonowych, wszystko amatorskiego doboru. Ten szereg gablotek kończą trzy z artystycznymi wyrobami ludowymi, głównie w drzewie, bez rejonizacji, bez żadnych objaśnień.

Ogólne wrażenie — pustawo i szaro. Objaśnienia pisane na maszynie trudne do odczytania dla przechodzącego widza. Jest niedziela 3-cia po południu, ruch jak w święta, tylko nie tam, gdzie mieści się polska Wystawa. Na sali polskiej doliczyłem się 15 osób. Chwilami bywa więcej, bo jest to sala przechodnia. Obok mieści się wystawa płatowców i komputerów.

Wracamy do ekspozycji. Pozostały nam do obejrzenia 4 ściany wielkiej sali. Na pierwszej od wejścia rozwieszono podobizny królów polskich. Są to stronicie wydarte ze znanego albumu pt. „Poczet Królów Polskich”. Dalej jest kilkadziesiąt małych, czar-

no-białych zdjęć i wycinków z tygodników, obrazujących polską martyrologię: zniszczenia miast, lata okupacji, łapani, wysiedlenia, deportacje, obozy koncentracyjne, wszystko, co może pragmatycznych Amerykanów zniechęcić do tak pechowego kraju. A oto na koniec fotografia, ze zdjęcia gazetowego, przedstawiająca Roosevelta, Stalina i Churchilla w Jafcie z dopiskiem objaśniającym, a tuż obok, już bez żadnego podpisu, kolorowe zdjęcie Kardynała Wyszyńskiego z Papieżem Janem Pawłem II. Co może z tego zrozumieć amerykański widz?

Druga ściana reprezentuje sport, naukę, teatr, film i muzykę. Wygląda to tak: ściana oblepiona jest setką czarno-białych zdjęć prezentujących zasłużonych dla kultury polskiej Polaków, jak opiewa ulotka rozdawana przy wejściu „powszechnie nieznanym” (!). Małe podobizny wielkości strony przeciętnej książki. Pod nimi podpisane są nazwiska, niekiedy bez objaśnień *who is who?* Ale jest podział na dyscypliny. W sekcji „Nauka” nie ma np. Kopernika, ale odnajdujemy go w dziale „Medycyna”. Brakuje Boya, bo on także był lekarzem. W sekcji „Muzyka” jest mała fotografia Ignacego Paderewskiego z przylepionym wycinkiem z gazety o naszym mistrzu. Aby było intrygująco, są puste miejsca oczekujące na fotografię, których nie ma, ale są już podpisane nazwiska.

Trzecia ściana poświęcona jest sztukom plastycznym. Jest tu dwóch W. Kossaków, jeden Chełmoński i Grottger. Obrazy te gęsto otacza malarstwo miejscowych polonijnych amatorów-hobbyistów zaprezentowane pod nazwą „malarstwa współczesnego”, a nad tym, bez żadnego objaśnienia, ciągnie się długi rząd pięknego polskiego plakatu artystycznego. Dwa ciekawe gobeliny Magdaleny Abakanowicz rozwieszono daleko od siebie, aby uniknąć zbyt silnych wrażeń artystycznych.

Od strony wyjścia dział „Militaria” reprezentuje zawieszona szabla ułańska z 1927 roku — jak mówi napis. Część czarnej ściany zajmują wycinanki z polskich tygodników, jak: widoki Warszawy, Krakowa, stronice poświęcone ludowemu wytwórstwu, parę małych reprodukcji i kilka polskich krajobrazowych plakatów z poobcinnymi tekstami w rodzaju „Visit Poland” czy „Winter in Poland”.

Kończą wystawę ciekawe artystycznie rzeźby w drzewie, dzieło polskiego artysty Dorka Rusina, którego prace chętnie wystawiają muzea amerykańskie. To jedno fachowo eksponowane.

Pora na konkluzję. Polonia kalifornijska miała wielką ochotę pokazać Amerykanom dorobek kultury polskiej. Ofiarne Polki zносиły co mogły ze swoich domów, aby Wystawę wzbogacić. Organizatorzy dobrze się napracowali. Mieli takich współpracowników, którzy im pomagali i takich, co im przeszkadzali swoimi egocentrycznymi pretensjami.

Jako główne mankamenty Wystawy wymieniałbym: a) brak koncepcji, b) chciano własnymi tylko siłami pokazać wszystko, całe tysiąclecie Polski, a wyszła z tego wystawa polonijnego zaścianka, c) brak zawodowego plastyka zdolnego urządzić salę

wystawową. Nikogo nie trzeba winić za dobre chęci. Całą Polonię trzeba jednak ostrzec przed podejmowaniem imprez kulturalnych na skalę przerastającą lokalne możliwości, bo to źle służy kulturze polskiej. Znam to również z terenu Chicago, gdzie w niektórych organizacjach powierza się działalność kulturalną osobom, które nie mają zielonego pojęcia, czym jest kultura polska. W Los Angeles nie jest tak źle. Tu więzi są mocniejsze, czego przykładem był zorganizowany na dobrym poziomie koncert muzyki Grażyny Bacewicz, poprzedzony ciekawym odczytem o jej twórczości, urządzony w sali koncertowej obok Wystawy Polskiej.

Przyjąłbym jako aksjomat, że żadne środowisko emigracyjne nie jest zdolne wyłącznie własnymi siłami zaprezentować swoim współobywatelom milenijny dorobek kultury polskiej, wystąpić z imprezą kulturalną na wielką skalę, z myślą wzbudzenia zainteresowania szerszego kręgu ludzi innych narodowości. W Ameryce chałupnicze poczynania nie są warte trudu. Bez pomocy ze strony np. Muzeum Narodowego czy Biblioteki Narodowej w Warszawie, uniwersytetów, jak np. Katolickiego w Lublinie czy Jagiellońskiego w Krakowie, bez udziału poważnych instytucji naukowo-muzealnych na obczyźnie nikt nie powinien podejmować się takiego zadania. Swoje zamiłowania do pracy społecznej lepiej skierować na coś pożytecznego a bardziej skromnego. Recenzję tej pisać nie dla krytyki tego co było, lecz dla przestrogi dla innych.

Edward PUACZ

STUDIUM SPRAW POLSKICH W LONDYNIE

W wyniku zebrania konstytucyjnego, które odbyło się w Londynie w dniu 1 lutego 1980, na terenie Wielkiej Brytanii rozpoczęła działalność nowo-powstała organizacja pod nazwą Studium Spraw Polskich (WB) — nazwa angielska: *Information Centre on Polish Affairs* (UK). Organizacja ta, w skład której weszli dziennikarze, wydawcy i naukowcy, ma — ogólnie biorąc — na celu pomoc wszelkimi dostępnymi środkami niezależnej kulturze i ośrodkom niezależnego działania politycznego w Polsce. Prace Studium koncentrować się będą w pierwszym rzędzie na obsłudze informacyjnej, a więc gromadzeniu, opracowywaniu zgodnie z dziennikarskimi wymogami, tłumaczeniu na język angielski i rozpowszechnianiu w środowisku brytyjskim wiadomości nadchodzących niemal co dzień z Kraju, na nawiązywaniu względnie rozszerzaniu kontaktów z prasą, ośrodkami politycznymi i społecznymi i wpływowymi osobistościami życia brytyjskiego, jak też w razie potrzeby kierowaniu względnie inspirowaniu listów do redakcji pism brytyjskich. Chodzi więc m.in. o poszerzenie i profesjonalizację obsługi i propagandy sprawy polskiej wśród obcych, co sprzyja popularyzowaniu działalności ruchów wolnościowych. Zdaniem inicjatorów akcji, wiele jest jeszcze do zrobienia w tej dziedzinie, niemało istnieje luk do wypełnienia przez ludzi kompetentnych i ofiarnych.

Aczkolwiek organizacja pod nazwą Studium nie zamierza prowadzić prac naukowo-badawczych, przyjęto tę nazwę z uwagi na bliską współpracę z Północno-Amerykańskim Studium Spraw Polskich mającym podobne cele oraz w miarę jego rozwoju z Europejskim Studium Spraw Polskich.

Zgodnie z przyjętym regulaminem tymczasowym (Statut zostanie uchwalony na następnym Walnym Zebraniu) Studium Spraw Polskich (WB) będzie współpracować z działającymi w Wielkiej Brytanii ośrodkami, jak Instytut Badania Zagadnień Krajowych i Fundusz Wolności Słowa, nie stanowiąc z uwagi na swe główne cele konkurencji dla tych zasłużonych placówek.

Na zebraniu w dniu 1 lutego br. wybrano Zarząd SSP (WB), Komisję Rewizyjną i Komisję Członkowską. Zarząd ukonstytuował się następująco: Prezes: Alexandra Stypulkowska, Wiceprezes: Jan Radomyski. Sekretarz pełniący również tymczasowo funkcję Skarbnika: Antoni Pospieszalski, Członkowie Zarządu: dr Stanisław Gomułka i Wiktor Moszczyński. Do Komisji Rewizyjnej weszli: Stanisław Wąsik — przewodniczący, Prof. Leszek Kołakowski i Jerzy Kulczycki — członkowie. Komisję członkowską wybrano w składzie: Zbigniew Janik i Franciszek Miszczak, przy czym przewodnictwem Komisji objął z urzędu wiceprezes Zarządu Jan Radomyski.

Zarząd Studium apeluje do wszystkich, którzy śledzą ruchy wolnościowe w Kraju, którzy pragną zdobyć jak najwięcej przyjaciół zagranicznych dla krajowej opozycji i jej odważnych działaczy i którzy są gotowi brać udział w pracach Studium Spraw Polskich (WB) — *Information Centre on Polish Affairs (UK)* lub dopomóc w jakikolwiek sposób, o porozumienie się z Sekretarzem, red. A. Pospieszalskim, 115 Reston Road, London N8 7GH, telefon: 340-9225.

„FRAGMENTS” ZAKOŃCZYŁY SWĄ 6-LETNIĄ DZIAŁALNOŚĆ

Z wielkim żalem zawiadamiam Czytelników *Kultury* i niektórych z nich, którzy byli prenumeratorami *Fragments*, że wydawane przez Correspondance Home Study of Languages *Fragments* Charles Joela z końcem 1979 roku zakończyły swą 6-letnią działalność. Ostatni numer (10-ty) tomu VI-go będzie wkrótce rozesłany do prenumeratorów.

Przyczyny: 1) inicjatywa jednego człowieka — praktycznie bez żadnego zaplecza finansowego — nie wytrzymała presji obecnych warunków ekonomicznych w USA; 2) ta inicjatywa nie znalazła poparcia finansowego i zrozumienia olbrzymiej rzeszy polskiej emigracyjnej inteligencji, zajętej „zbawianiem ojczyzny” wewnątrz polskiej diaspory, żyjącej ciągle na pożywe „*Polish joke*, Koperników, Pułaskich, polskiego Papieża” etc. i ciągle omalże ślepej na fakt, że cokolwiek (bez względu na polski polityczny odcień) z twórczości i publicystyki polskiej emigracji ukazuje się w językach społeczeństw, w których ta emigracja żyje, jest budowaniem zrozumienia dla Sprawy Polskiej w świecie.

Pragnę w tym miejscu podziękować tym kilku osobom, aktywnym i známym w życiu emigracji: p. Alicji Iwańskiej, p. Zbigniewowi Byrskiemu, p. Jerzemu Bonieckiemu (z dalekiej Australii), p. Halszce Vincenz, red. Jackowi Przygodzie, p. Jabłońskiemu z Union of Poles in America, a nade wszystko tym zwykłym prenumeratorom, którzy do końca trwali przy *Fragments*. A już specjalne dzięki należą się p. A. Jaskiewiczowi z Ann Arbor,

który (pisząc po angielsku) przesłał mi małą donację w uznaniu mojej *noble work!* oraz p. George Bajorowi z Longmeadow, Mass., który (również pisząc po angielsku) wyraża głęboki żal z powodu zakończenia mojej działalności, dodając, że nie ma ważniejszej publikacji do przekazania amerykańskiemu współobywatelowi jak ta, którą usiłowałem wydawać, i kończy, że jeżeli jest jakaś szansa na kontynuowanie mojej pracy, to będzie się starał pomóc mi w granicach 50-100 dolarów rocznie. Wymieniam te nazwiska, bo są to nazwiska ludzi, o których nie słyszy się na wielkich uroczystościach, zjazdach czy w wielkich instytucjach. Ponadto chciałbym wyrazić podziękowanie nieznanym mi z nazwisk ludziom, którzy spowodowali subskrypcje zagranicznych bibliotek, jak The British Library, Biblioteka w Göteborgu (Szwecja) i in. oraz tym rdzennym Amerykanom, dla których *Fragments* stały się ważną lekturą.

Pragnę jeszcze dodać, że *Fragments* jako zestaw 6-letniej pracy (60 numerów — około 100 przekładów różnych artykułów z *Kultury*) jest do nabycia w cenie \$ 40,00 włącznie z przesyłką pocztą zwykłą.

Charles JOEL
Redaktor *Fragments*

ZOŁNIERZ NIEZNANY

wyróżniony przez króla i społeczeństwo Norwegii,
wśród emigracji polskiej „nieoceniony za swe oddanie,
wszędzie gdzie Naród, Honor i Ojczyzna”

Ś + P
JÓZEF MOŚCICKI

prezes Stowarzyszenia Polskich Kombatantów
zmarł 2 lutego 1980 w Oslo.

CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI — RODACY.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Aleksander Sołżenicyn zatytułował swój pierwszy artykuł po interwencji sowieckiej w Afganistanie: „Komunizm — przez wszystkich widziany, a nierozumiany”. Wiele lat temu Churchill, mistrz efektownych sformułowań określił Związek Sowiecki jako „tajemnicę owiniętą w sekret i przykrytą zagadką”. A. Sołżenicyn opowiadania o „tajemnicach” i „sekreтах” odrzuca: „Zapytajcie guza rakowego dlaczego się rozwija? Po prostu — inaczej nie może. Tak i komunizm: nie może nie opanowywać nowych krajów wiedziony złym instynktem, a nie rozumem w dążeniu do opanowania całego świata”. Autor „Archipelagu GUŁag” kończy swój artykuł ponurą przepowiednią: „Pięć lat temu rząd amerykański zlekceważył moje ostrzeżenia. Wasi przywódcy mogą to zrobić i dzisiaj. Ale i one się spełnią”.

Minione dwa i pół miesiąca od okupacji Afganistanu potwierdzają najbardziej ponure przewidywania Sołżenicyna. Wydarzenia rozwijają się w trzech kierunkach: sowieckim, afgańskim i zachodnim. „Kierunek” sowiecki, to po pierwsze zwiększenie aktywności wojennej, połączonej z wypróbowaniem najnowszych broni, w ich liczbie — jak informują uciekinierzy — preparatów chemicznych, oraz wzmoczenie działalności propagandowo-dyplomatycznej. W sowieckiej prasie wydarzenia w Afganistanie zamieszczane są z reguły w rubryce „Wydarzenia w Iranie i w Afganistanie”. „Wydarzenia w Afganistanie” są przedstawiane jako „niewypowiedziana wojna przeciw Afganistanowi amerykańskich imperialistów i chińskich hegemonistów”. Minister Obrony ZSSR, marszałek D. F. Ustinow, który jest autorem tych słów, wyjaśnia że „powstanie problemu afgańskiego zostało spowodowane agresywną polityką światową USA”. Minister Obrony jest kategoryczny: „Nie potrzebujemy rozszerzenia granic państwowych. Lecz to co należy do narodu sowieckiego, i co zostało stworzone jego rękami, będzie przez nas obronione z całą stanowczością”.

A co należy do narodu sowieckiego? Współpracownik uzbek-

kiego Komitetu do Spraw Radia i Telewizji, Heliam Hudajbierdiew oświadczył, że „Uzbecy i Afgańczycy to jeden naród”. Zatem armia sowiecka miała pełne prawo „podać braterską rękę pomocy”. Nie pierwszy raz przyszło jej to robić.

11 marca bież. roku po raz pierwszy sowiecka prasa zamieściła fotografie żołnierzy sowieckich w Afganistanie. Widać na nich i broń, ale z artykułów towarzyszących fotografiom nie bardzo wiadomo do czego ona służy. *Prawda* informuje, że sowieccy żołnierze udzielają pomocy lekarskiej afgańskim włościanom, pomagają im w robotach polnych, remontują ochronki, organizują w fabrykach „czerwone kąciki przyjaźni afgańsko-sowieckiej”. *Czerwona Gwiazda* w artykule zatytułowanym „Niezawodni przyjaciele” informuje, że „wszyscy uczciwi Afgańczycy ze szczerą gościnnością i głęboką wdzięcznością spotkali sowieckich żołnierzy... Nawet ci, którzy początkowo naiwnie wierzyli kłamcom, z każdym dniem przekonywują się o dobrych zamiarach ludzi sowieckich”. *Izwestia* cytują wypowiedź anonimowego afgańskiego chłopca, który uważa, że „sowieccy żołnierze są prawie tak skromni jak nasze dziewczęta, lecz to prawdziwi wojownicy: odważni, silni, uświadomieni obrońcy słabych, karmią głodnych i dają ciepło cierpiącym z zimna”.

Afgański „kierunek”, to nieprzerwana walka Afgańczyków przeciwko okupantowi. 22 lutego br. po raz pierwszy przeciwko okupantowi wystąpili mieszkańcy Kabulu. Wystąpienie było na tyle silne — strąkowało całe miasto — że prasa sowiecka była zmuszona to odnotować. O wydarzeniach w Kabulu pisano jako o „kontrewolucyjnym wystąpieniu”, „spisku i bandyckiej działalności grupki sługusów imperializmu amerykańskiego, szowinizmu chińskiego i militarystycznych kręgów Pakistanu”. Wszystko zakończyło się spokojnie: „przedstawiciele afgańskich organów bezpieczeństwa” — któż może wątpić w ścisłość ich wypowiedzi! — oświadczyli, że „oprócz wypadków aresztowania elementów kontrrewolucyjnych na miejscu przestępstwa, albo na zasadzie nieodpartych dowodów i dokumentów, nie zostało zatrzymany ani jeden człowiek” (*Izwestia*, 5. 3. 1980).

Rozwój wypadków minionych dwóch i pół miesiąca świadczy o tym, że „zagadka sowiecka” nie istnieje. Należy raczej mówić o „zagadce zachodniej”.

24. 2. br. w Związku Sowieckim miały miejsce wybory do najwyższych rad republikańskich. W przededniu L. I. Breżniew wystąpił przed wyborcami i długo ich prosił, aby na niego głosowali. Wszystko poszło gładko i „blok komunistów i bezpartyjnych” wybrał — jak zwykle — Breżniewa na dalsze panowanie 99,9 % głosów¹. W przemówieniu swym Breżniew wspominał i o wydarzeniach w Afganistanie. Zauważył mimochodem, że gdyby ustała interwencja amerykańska w Afganistanie, Związek

1. Głosowało 176 milionów wyborców. Kim są te 176 tysięcy głosujących zawsze przeciw? Podejrzewam, że agentami KGB, którym za to płać.

Sowiecki „we właściwym czasie” wyprowadziłby swoje wojska. Leaderzy zachodni wpadli w stan podniecenia: znalazło się wyjście, wojska sowieckie opuszczą Afganistan, trzeba tylko obiecać „neutralność” Afganistanu. Attaché prasowy Breżniewa, Leonid Zamiatin, przestał wymyślać Carterowi i Brzezińskiemu najgorszymi słowami i pokojowo proponował: „Gdyby Stany Zjednoczone chciały pokoju w tym rejonie, to wystarczyłoby aby prezydent USA zrezygnował z wkraczania na terytorium Afganistanu, przerwał dostawy broni, zlikwidował bazy najemników, jednym słowem — zaprzestał wszelkich form interwencji...”. Kim jest L. Zamiatin? Drobnym urzędnikiem. Na rozmowy z Breżniewem zjawił się na Kremlu amerykański milioner, a może miliarder — Armand Hammer.

Wspominałem w moich przeglądach o tej zdumiewającej postaci, o tym człowieku, który współpracował z Leninem, Stalinem, Chruszczowem, który dzięki tej współpracy stworzył imperium przemysłowe. W połowie lat 70-tych Hammer podpisał ze Związkiem Sowieckim umowę wartości 20 miliardów dolarów. Na zasadzie tej umowy firma Hammera *Occidental Petroleum* dostarcza do ZSSR fosfaty. Rząd Cartera zdecydował zrobić wyjątek dla tych fosfatów i nie włączyć ich do towarów podlegających embargo.

4 marca br. *Izwestia* opublikowały wywiad, który Hammer po rozmowie z Breżniewem dał amerykańskiej telewizji. „Jestem przekonany, że Rosjanie pragną pokoju” — zaczął milioner, czy miliarder. Hammer „specjalnie podkreślił, że rozlegające się na Zachodzie twierdzenia o dążeniu Związku Sowieckiego do wtargnięcia do Iranu czy do Pakistanu, do opanowania pól naftowych Zatoki Perskiej, są *zupełnym absurdem*”. Hammer nie ma wątpliwości co do szczerości wypowiedzi Breżniewa i jego obietnic. „Stanowisko ZSSR było przedstawione na pierwszej stronie *Prawdy*”. Hammer nie ma wątpliwości i przekonuje Amerykanów, że jeśli obietnica była dana na stronicach *Prawdy*, to ZSSR nigdy jej nie naruszy.

Prasa sowiecka przedstawia Hammera jako „wybitnego działacza w sferach przemysłowych USA”. Natomiast George Kennana jako „wybitnego amerykańskiego działacza politycznego, byłego ambasadora w ZSSR”. George Frost Kennan jest rzeczywiście jednym z najstarszych amerykańskich sowietologów. Zaczął studiować problemy sowieckie 52 lata temu, kiedy jako 24-letni młody człowiek wstąpił do amerykańskiej służby dyplomatycznej. W latach 50-tych był jednym ze strategów amerykańskiej dyplomacji „powstrzymywania” (*containment*). Ale potem, zajmując się historią Rosji odkrył, że Związek Sowiecki to ta sama, ciągle niezmienną Rosja i dlatego „świat, a specjalnie USA, mogą dzisiaj nie bać się Związku Sowieckiego, jak w 1910 roku nie bały się Rosji”. Historiozoficzne odkrycia Kennana mogłyby być jego prywatną sprawą, gdyby nie miał on wpływu na amerykańską dyplomację. Obecnie jest jednym z najbardziej

gorliwych obrońców kolejnych ustępstw wobec ZSSR, który „nikomu nie zagraża”².

Lektura prasy sowieckiej może czasami przynosić niespodzianki, chociaż zdarza się to rzadko. Taką niespodzianką były *Izwestia* z 12 lutego br. Na 6-tej stronie zamieszczono „Wystąpienie George Kennana”, w którym b. ambasador w ZSSR (dziennikarze sowieccy nie wspominają, że Kennan był posłem w Moskwie niecały rok w 1952 i że został usunięty przez Stalina) podkreślił, że wprowadzenie ograniczonego rosyjskiego kontyngentu wojskowego do Afganistanu było przymusową decyzją rządu ZSSR, i że decyzja ta nie była łatwa”. Przeczytawszy to oświadczenie, w którym tak subtelnie wyrażone jest zrozumienie trudności towarzyszących decyzji wtargnięcia do kraju ościennego, zdziwiłem się, gdyż słowa te były mi znajome. Przeczytałem je na innej stronie tejże gazety: „... nasz kraj odpowiedział na wielokrotne prośby rządu afgańskiego³ i wprowadził do Afganistanu ograniczony kontyngent wojsk, aby pomóc władzy ludowej w zlikwidowaniu agresji. I ten, niełatwy dla nas krok...” itd. Na 2-giej stronie *Izwestia* zamieściły wystąpienie przedwyborcze znanego specjalisty w zakresie zagadnień ogólnych Ju. W. Andropowa. Ponieważ Kennan występował w telewizji amerykańskiej przed wystąpieniem Andropowa w mieście Gorki (przewodniczący KGB chciał widocznie, by Andriej Sacharow wysłuchał jego przemówienia), można przypuszczać, że Andropow powtórzył słowa Kennana; że b. amerykański poseł w Moskwie napisał tekst wystąpienia dla przewodniczącego KGB.

Wystąpienia Hammera, Kennana, Andropowa i Breżniewa zmieniły stosunek Zachodu do sowieckiej interwencji w Afganistanie. Zachód wysuwa projekty „neutralizacji” Afganistanu, stworzenia specjalnego korpusu ONZ (składającego się z żołnierzy przysłanych przez „postępowe, niezaangażowane kraje” jak np. Algieria). Zachód pociesza się, że ZSSR na długo ugrzęźnie w Afganistanie i przestanie niepokoić świat. 4 marca br. *Izwestia* znów cytują Kennana, który twierdzi że „ekscentryczny pogląd na motywy sowieckie istnieje w chwili obecnej wyłącznie w naszej własnej wyobraźni... Mr. Breżniew szereg razy, oficjalnie, negował takie zamiary (agresywne — A.K.) — publicznie i przekonywująco”.

Jeden z tych zamiarów Breżniew wyłożył w swym przedwyborczym wystąpieniu. Zdanie to przeszło niezauważone, gdyż zachodni działacze państwowi ogromnie ucieszyli się z drugiego zdania — o ewentualnym wyjściu z Afganistanu. Niezauważone

2. W niezmiernie ciekawym wywiadzie, udzielonym Brukselczykowi przez Dżilasa znajdującego komunizm bez porównania lepiej od Kennana, a historię Rosji nie gorzej, Dżilas kategorycznie odrzuca tendencję stawiania między nimi znaku równania (patrz *Kultura*, 3/390, 1980).

3. Pisma sowieckie różnie obliczają „wielokrotne prośby”: jedne piszą, że władze afgańskie prosiły czternaście razy o wojskową pomoc sowiecką, inne że osiemnaście razy.

zdanie brzmiało: „W Waszyngtonie lubią mówić o konieczności zabezpieczenia dostaw ropy do USA”. Jak wyjaśnili komentatorzy sowieccy, to zdanie Breżniewa zawiera ziarno nowej sowieckiej inicjatywy pokojowej. Milovan Đilas przewidywał: „Po wtargnięciu do Pragi nastąpiła propozycja spotkania w Helsinkach. Po wtargnięciu do Kabulu także stanie się coś w tym rodzaju”. Już jest nowa propozycja: niech europejska konferencja do spraw energetycznych rozpatrzy zagadnienie „bezpieczeństwa dróg dostaw ropy i równego handlowego dostępu wszystkim do źródeł naftowych Zatoki Perskiej”.

Koncepcja jest prosta: Związek Sowiecki chce mieć prawo kontroli nad dostawami ropy dla Europy Zachodniej, wbić klin między nią a Ameryką. Komentator TASS-a, Mikołaj Portugalow, przedstawiając propozycję Breżniewa cytował kanclerza Schmidta który oświadczył: „Jako ewentualny nabywca ropy z Bliskiego Wschodu ZSSR ma legalne prawo dostępu do tego źródła”.

Po dwóch i pół miesiącach „zagadka Zachodu” staje się coraz bardziej nieprzenikniona. Polityka państw zachodnich po interwencji sowieckiej w Afganistanie nastawiona jest na okazanie wszelkiej pomocy Moskwie, by mogła ona jak najszybciej rozwiązać „problem afgański”, aby jak najszybciej można było powrócić do polityki *détente*. Europa Zachodnia zarzuca Carterowi robienie Moskwie trudności; i sama robi wszystko, by jedyna konkretna decyzja prezydenta amerykańskiego — embargo na zboże — nie odniosła żadnego skutku. W USA „wpływowe koła gospodarcze” i „wpływowi działacze polityczni” podkreślają z naciskiem, że Carter jest zbyt ostry w stosunku do Moskwy.

Kolejne zwycięstwo sowieckiej polityki zagranicznej przyniosło kolejne pogorszenie warunków bytu obywateli sowieckich. W 1969 roku utarczki z Chińczykami na rzece Ussuri zostały wykorzystane dla rozpalenia nienawiści do Chińczyków: w całym kraju organizowano wiece, na których pracujący gniewnie piętnowali Chiny. Jewgienij Jewtuszenko napisał gniewny poemat o zabitym rosyjskim żołnierzu „Na czerwonym śniegu ussuryjskim”. Wiece protestacyjne są organizowane w ZSSR z najrozmaitszych przyczyn: przeciwko mordercom chińskim, przeciwko „izraelskiej soldatesce”, za wolność dla Namibii. Wieców w obronie Afganistanu nie było. Poeci nie opłakują sowieckich żołnierzy poległych w górach afgańskich. Wojna nie toczy się z Afganistanem, lecz z Ameryką. I dlatego jedyny wiersz poświęcony aktualnym wydarzeniom nazywa się „Obejdziemy się bez was”. Pismo *Ogoniok*, które zamieściło wiersz Olega Szestinskiego, jest wydawane w 2-milionowym nakładzie i cieszy się dużą popularnością. Poeta (?) wypowiada się jak żołnierz — prosto i otwarcie: Kongres jest w gniewie, ale będę mówił to, co myślę: myślicie, że sprzedam mego brata w Kabulu za bochenek teksańskiego chleba? Poeta (?) oskarża osobie Jamesa Cartera o to, że chce morzyć głodem naród sowiecki i grozi: „Módl się James Carter, módl się teraz, by twój tak ogromny kraj nie był pora-

żony sto razy silniejszym ciosem złego losu”. Lenin przeczytawszy utwory Majakowskiego zauważył: jeśli idzie o poezję, to nie wiem, ale politycznie są całkowicie słuszne. Utwór Olega Szestinskiego wykracza poza granice poezji, ale z politycznego punktu widzenia jest bez zarzutu: USA chce zamorzyć głodem ludzi sowieckich. Amerykanie winni są temu, że nie ma na rynku produktów. Winni są również, gdy są. *Moskowskaja Prawda* (15. 2. 1980) namawia Moskwiczów, aby nie robili zapasów, zapewniając: „Miasto nie cierpi na brak mąki, kiełbasy, makaronu, soli, zapalek, mydła, mleka, serów”. Produktów jest dość, tylko nie ma ich w sklepach (mowa jest o sklepach moskiewskich, 100 kilometrów od stolicy nawet nie znają już takich słów jak mąka, kiełbasa...). W sklepach nie ma towarów, gdyż pogłoski (!) rozpowszechniane (przez kogo?) przez wrogów powodują panikę i mieszkańcy Moskwy wykupują zbyt dużo towarów.

Zresztą czasami prasa sowiecka przyznaje, że są pewne braki. Np. brak mięsa. W lutym 1980 roku znaleziono rozwiązanie. Czarodziejski środek. Nikita Chruszczow wspomina w swoich pamiętnikach, że w sierpniu 1941 roku, kiedy wojska sowieckie cofały się na całym froncie, Stalin skarżył się: „Mówiono o rosyjskim sprycie, a gdzie on jest ten rosyjski spryt?”. Jak wykazała historia, towarzysz Stalin nie miał racji. Rosyjski spryt pokonał Niemców. A teraz pokona i Amerykanów i brak mięsa. 26 lutego br. TASS poinformował, że „wielbłądy przedstawiają obiecujące źródło produkcji mięsa. Nie potrzeba dla nich przygotowywać paszy”. Wielbłąd okazał się idealnym socjalistycznym zwierzęciem: obchodzi się prawie bez jedzenia, a jednocześnie każdy wielbłąd daje ponad 300 kg mięsa i tłuszczu, nie mówiąc o tym, że wielbłądy (wielbłądźce) można doić. Ich mleko posiada nadzwyczajne cechy lecznicze — leczy choroby żołądkowe i płucne.

Łatwo sobie wyobrazić jakim uderzeniem dla Cartera było odkrycie wielbłądźcego cudownego środka. Ale to bynajmniej nie wszystko. Rosyjski spryt — teraz trzeba już mówić o sowieckim sprycie — pokonuje wszelkie trudności. O jednym z takich zwycięstw mówi ten sam *Ogoniok*, który zamieścił utwór „Damy sobie radę”. Nie ma wątpliwości, że dadzą sobie radę. *Ogoniok* mówi o problemie okularów. Mimo wszystkich osiągnięć władzy sowieckiej, rok rocznie obywatelom sowieckim konieczne potrzeba 28 milionów oprawek do okularów — istnieją jeszcze sowieccy krótkowidze i dalekowidze. Przemysł dostarcza 20 milionów oprawek, przy tym znaczna ich część jest tak szkodliwa że nie sposób ich nosić. Mimo wszystko trzeba je wkładać na nos. I tu wyręcza „spryt sowiecki”. Na całym świecie okulary dobiera się do oczu, a w ZSSR na odwrót. Sowieccy ludzie kupują oprawki ze szklami, które nie są im potrzebne, tłuką te szkła a potem dopiero dobierają sobie odpowiednie.

Najlepszym przykładem „sowieckiego sprytu”, który stał się znany w ostatnich latach, jest wypadek z siewierskim zakładem remontu maszyn rolniczych. Wypadek świadczy o tym, że z Afga-

nistanem Związek Sowiecki w każdej chwili da sobie radę, a jeżeli teraz są trudności, to są to trudności przejściowe.

W 1979 roku *Prawda* uznała uruchomiony zakład za „cudo, za największy obiekt przemysłu rolnego, zaspakajający potrzeby wszystkich sowchozów i kołchozów północnego zachodu”. Zakład został uruchomiony niedaleko Leningradu. Ale gdy po roku *Prawda* wysłała tam swojego korespondenta, I. Szatunowskiego, aby przyjrzał się bliżej jego działalności, okazało się, że żadnego zakładu nie ma — nie tylko nie został uruchomiony, ale nawet nie rozpoczęto budowy. Zastępca przewodniczącego Państwowego Komitetu Technologii Rolnej, A. W. Prochorowicz, potrafił przez szereg lat — ma się rozumieć przy pomocy dużej ilości urzędników — stworzyć iluzję tej budowy, uruchomienia, funkcjonowania zakładu, którego w ogóle nie było. Jak informuje *Prawda*, A. W. Prochorowicz otrzymał za to „surową nagane”. Nawet nie usunięto go ze stanowiska. Opowiadają, że matematycy w Tallinie włożyli do komputera 60 decyzji władz dotyczących różnych zagadnień, decyzji uderzających dziwnością, ale nie wybijających się ponad inne, równie dziwne. Komputer odpowiedział: „Zamierzony alogizm”.

Może to właśnie jest ta cudowna siła, która porusza sowieckie supermocarstwo, zagrażające światu?

Adam KRUCZEK

13 marca 1980 r.

List do Redakcji

27 lutego 1980.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

W *Kulturze* (Nr 1/2, 1980) umieszczono artykuł P. Lidy „Polacy, Litwini, Białorusini”. Niektóre części tego artykułu wzbudzają moje zrozumienie i nawet żywe współczucie. Z niektórymi nie zgadzam się stanowczo. Co się tyczy sytuacji na Białorusi — na ogół brak mi informacji oraz rozeznanie (niestety ten piękny kraj wraz z Albanią należy do najbardziej tajemniczych w Europie). Tutaj chciałbym poruszyć tylko parę spraw dotyczących Litwy oraz Sejny.

1. Pisząc swego czasu o sytuacji w kraju sejneńskim (o czym wspomina Autor), nie opierałem się na pogłoskach. Byłem w Sejnach i Puńsku kilka lat temu; nawet znam niektóre tamtejsze osoby wymienione przez Autora z nazwiska. Więc chyba mogę sądzić o tych sprawach opierając się na własnych przemyśleniach i spostrzeżeniach.

2. Przed pierwszą wojną światową Sejny były znacznym centrum kultury i prasy litewskiej. Wie o tym każdy świadomy Litwin, tak samo zresztą jak każdy świadomy Polak wie o roli Wilna i Wileńszczyzny dla

kultury polskiej. Wystarczy powiedzieć, że w prokatedrze sejneńskiej jest pochowany biskup sejneński, jeden z najbardziej znanych litewskich poetów XIX wieku, Antanas Baranauskas (Antoni Baranowski). To tak jakby Słowacki był pochowany w Wilnie. Dopuszczenie języka litewskiego do prokatedry w Sejnach byłoby moim zdaniem pięknym i braterskim aktem rozładującym niepotrzebne napięcia i podkreślającym tradycję tego przecież dwujęzycznego i dwukulturowego zakątka dawnej Rzeczypospolitej.

3. Autor przytacza mniemanie, że „wprowadzenie dziś języka litewskiego do prokatedry w Sejnach, to jutro przyłączenie, oczywiście 'dobrowolne', 'Kraju sejneńskiego' do ZSSR”. Otóż uważam to mniemanie za naiwne. Jakoś nie słyszano dotychczas, żeby przyłączenie jakiegokolwiek kraju do ZSSR zaczynało się od pozwolenia modlenia się, do tego w języku narodowości, która Sowietów na ogół nie znosi. Byłby to pierwszy wypadek w dziejach. Oczywiście Sowiety są sprytni, ale chyba nie do tego stopnia. Co nie przeczy temu, że mogą po cichu wykorzystywać istniejące napięcie (tym prędzej należałoby to napięcie rozładować).

4. Sytuacja kulturalno-narodowa Litwinów w PRL nie jest nieporównywalnie lepsza od sytuacji Polaków na Litwie. Litewskie czasopismo *Aušra* wydawane w PRL nie odbiega pod względem poziomu od *Czerwonego Sztandaru* wydawanego w Wilnie; próbowano wydawać po litewsku coś lepszego, ale cenzura polska zlikwidowała te próby. Istnieje liceum litewskie w Puńsku, ale istnieją także liczne szkoły z polskim językiem wykładowym na Wileńszczyźnie (zresztą jak to, tak i tamte są na jednakowym, raczej przerażającym poziomie) itd.

5. Jeżeli są wypadki przymusowej litwinizacji Polaków na Litwie — zdarzają się rzadko. Istnieją (też nieczęste) wypadki dobrowolnej litwinizacji, która raczej nie jest na rękę władzom sowieckim.

6. Istnieje obecnie na Litwie tendencja „zlitewszczenia” niektórych postaci kulturalnych dawnej Rzeczypospolitej i nawet czasów późniejszych, jeżeli te postacie działały na terenach litewskich. W zasadzie jestem przeciwny temu i nieraz o tym pisałem. Jednak oczywiście zdarzają się tutaj przypadki pograniczne, trudne do zaklasyfikowania, zwłaszcza że nie można przykładać dzisiejszych pojęć do tych czasów. W każdym razie nie należałoby ani Polakom, ani Litwinom oburzać się z powodu różniacej się pisowni. Polacy zawsze będą używać nazwy „Wilno” zamiast „Vilnius” (sam to robię, gdy piszę po polsku), tak samo jak Litwin nigdy nie powie „Kraków”, tylko „Krokuva”. Są to sprawy tradycyjne, sięgające czasów średniowiecznych. To samo dotyczy pisowni wielu nazwisk. Zresztą Autor trochę „spolszcza” moje własne nazwisko, dwukrotnie pisząc go przez „w” nie istniejące w pisowni litewskiej. Oczywiście nie oburzam się z tego powodu.

Łączę wyrazy poważania i najlepsze życzenia,

Tomas VENCLOVA

Kronika niemiecka

Na zaproszenie Centralnej Rady Związków Zawodowych przebywała w Polsce delegacja Niemieckich Związków Zawodowych (DGB) z RFN. Związkowcy z RFN spotkali się m.in. z przewodniczącym CRZZ Władysławem

wem Kruczkim. W związku z wizytą Komitet Wolnych Związków Zawodowych w Katowicach wysłał następującą depeszę, zaadresowaną do ambasady RFN w Warszawie: „Przewodniczący Federacji Związków Zawodowych — Heinz Oskar Vetter. Drogi Kolego! Ponieważ przebywacie w Polsce uprzejmie Was zapraszamy, w drodze powrotnej, do odwiedzenia Komitetu Wolnych Związków Zawodowych w Katowicach. Pragniemy Was zapoznać z naszą działalnością związkową. Jesteśmy przekonani, że nie odrzucicie naszej prośby i będziemy mogli Was gościć w Katowicach. Przesyłamy Wam, Drogi Kolego, nasze związkowe pozdrowienia. Za Komitet Wolnych Związków Zawodowych w Katowicach: Bolesław Cygan, Jan Świtoń, Kazimierz Świtoń, Stanisław Tor”. Depesza pozostała bez odpowiedzi. ■ *Sztandar Młodych* skarża się, że kontakty *Federalnej Rady Młodzieży (Niemiec) (DBJR)* z *Federacją Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej (FSZMP)* nie przyniosły żadnych konkretnych rezultatów. *Sztandar Młodych* zarzuca *DBJR*, że zaprosiła do wzięcia udziału w tzw. pociągu pokuty do Polski *Niemiecką Młodzież w Europie*, „organizację nie mającą nic wspólnego z procesem normalizacji”, następnie — że *DBJR* „wyłącza z dialogu” organizacje komunistyczne, i że *Federalna Rada Młodzieży Niemiec* nie zajęła stanowiska „wobec brukselskiej decyzji NATO o wprowadzeniu do Europy Zachodniej rakiet średniego zasięgu”. Natomiast *DBJR* stoi na stanowisku, że decyzje *NATO* mają na celu zachowanie równowagi w stanie uzbrojenia, i nie są wymierzone przeciwko Polsce, lecz stanowią próbę obrony przed militarnym zagrożeniem ze strony ZSSR. ■ Herbert Hupka, poseł do *Bundestagu* z ramienia *CDU* oraz długoletni przewodniczący *Ziomkostwa Ślązaków*, protestował przeciwko nawiązywaniu przez miasta niemieckie partnerstwa z miastami polskimi: Hanoweru z Poznaniem i Norymbergi z Krakowem. ■ Zmarły w 1978 roku — ks. prałat Juliusz Janusz, naczelny kapelan *Kompanii Wartowniczych* przy *US Army* w Niemczech, pracował przez szereg lat nad wydaniem dzieła ks. bp. Adolfa P. Szelągka (1865-1950) pt. *Moralne odrodzenie świata*. Praca o charakterze filozoficzno-religijnym ukazała się obecnie w Mannheim po polsku, dzięki staraniom grona przyjaciół i najbliższych współpracowników ks. Juliusza Janusza. ■ W hamburskim tygodniku *Der Spiegel* zostały zamieszczone dwa listy nadesłane z Polski, w związku z artykułem pt. *Nadzieja w Bogu*, który w grudniu ub. roku ukazał się na łamach tego pisma (o masowej akcji aresztowań działaczy demokratycznej opozycji i sytuacji gospodarczej kraju). W artykule tym użyto rzekomo nazistowskiego zwrotu *Nacht-und-Nebel-Aktion* (akcja w mglistą noc). Autor pierwszego z listów, Jan Józef Lipski (*KSS „KOR”*), stwierdza że chociaż w walce z demokratyczną opozycją *MO* i *SB* stosują metody niezgodne z prawem, to jednak porównywanie ich z terrorem hitlerowskim jest niewłaściwe. Drugi list ogłoszony w *Der Spiegel* o podobnej treści („użycie określenia *Nacht-und-Nebel-Aktion*, jest nietaktowne; razi jeszcze bardziej jeśli się pojawia na łamach niemieckiego pisma”), podpisał: Ludwig Zimmerer (b. korespondent zachodnioniemieckich rozgłośni radiowych i *TV* w Polsce), prof. Czesław Bobrowski, Jadwiga Staniszkis, Joanna Szczepańska, Andrzej Krasinski i Jan Strzelecki. ■ We wrześniu ub. roku PRL przedłożyła w Bonn projekt programu o współpracy kulturalnej na lata 1980-1981. Strona zachodnioniemiecka nie wyraziła zgody na parafowanie dokumentu; sprzeciwiono się m.in. nawiązaniu bezpośrednich stosunków między *FSZMP* a wytypowaną przez PRL grupą 13 działających w RFN związków młodzieżowych (w większości lewicowych o orientacji promoskiewskiej). Pewien dyplomata z *Auswärtiges Amt*: „Oczywisty dyktat, za którym kryje się próba skanalizowania kontaktów młodzieżowych pod całkowitą kontrolą Warszawy; my chcemy wolnej wymiany młodzieży a PRL tylko przez partię sterowaną *FSZMP*”. Władze w Warszawie nie chcą również objąć programem o współpracy kulturalnej

Berlina Zachodniego. ■ Według oficjalnych danych sądy RFN rozpatrzyły dotychczas sprawy 85.802 osób podejrzanych o przestępstwa popełnione w okresie hitlerowskim. ■ Ok. 40 % turystów zachodnioniemieckich, którzy zarezerwowali miejsca w wycieczkach do Związku Sowieckiego w 1980 roku — wycofało swoje zgłoszenia w związku z okupacją Afganistanu. Rozbudowane na wielką skalę programy zachodnioniemieckich wycieczek do Związku Sowieckiego — główne biura organizujące te podróże mieszczą się we Frankfurcie nad Menem i w Heidelbergu — zagrożone są bankructwem. ■ W Monachium uległo poważnemu zniszczeniu (wybuch bomby zapalającej) przedstawicielstwo sowieckich linii lotniczych *Aeroflot*. Odpowiedzialność za dokonanie zamachu przyjęła na siebie anonimowa grupa nacjonalistów ukraińskich. Akt terrorystyczny spotkał się z surową krytyką przywódców emigrantów ukraińskich. ■ Nakładem *Wydawnictwa Instytutu Śląskiego* w Opolu ukazała się praca zbiorowa — *RFN 1969-1977: Szkice do bilansu polityki gabinetów socjalliberalnych*. Opole 1979, str. 220. Nakł. 1.000 egzemplarzy. ■ Peter Nasarski, Niemiec rodem z Łodzi, redaktor naczelny bońskiego pisma *Kulturpolitische Korrespondenz* przeszedł na emeryturę. Współautor głośnej pracy *Nachbar seit tausend Jahren (Sąsiedzi od tysiąca lat)* położył wielkie zasługi w dziele zbliżenia niemiecko-polskiego. Tłumaczył i publikował często w *KK* artykuły z *Kultury*. ■ W polskim wydawnictwie niecenzurowanym *Witryna Literatów i Krytyków* ukazały się *Elegie bukowskie* i inne wiersze Bertolta Brechta w wyborze i przekładzie Ryszarda Krynickiego. Poezję Brechta zilustrował Wojciech Wołyński. ■ W 1979 roku — 231 Niemcom z NRD udało się przedostać przez linię demarkacyjną do Republiki Federalnej; ok. 3 tys. dalszych uchodźców z NRD dotarło do RFN okólnymi drogami przez inne kraje. ■ Wydział zagranicznej *Socjalistycznej Partii Niemiec (SPD)* poinformował posłów do *Bundestagu* o okolicznościach aresztowania i procesie pokazowym wytoczonym przeciwko Edmundowi Zadrożyńskiemu. Sprawa Zadrożyńskiego jest badana przez parlamentarną *Komisję Obrony Praw Człowieka*. Zarząd potężnego Związku Zawodowego *Metalowców* (3 mln. członków), przy pomocy organizacji studenckich, podjął szeroką akcję pod hasłem *Wolność dla Zadrożyńskiego*. Odbłyły się dwie konferencje działaczy związkowych i studenckich w Düsseldorfie i Bochum, w których uczestniczył górnik z kopalni Gliwice — Władysław Sulecki (współzałożyciel *Wolnych Związków Zawodowych* w Katowicach i b. współredaktor niezależnego pisma *Robotnik*). Delegacja naukowców z uniwersytetów Nadrenii-Westfalii, nauczycieli, studentów i robotników złożyła pismo protestacyjne w ambasadzie PRL w Kolonii w sprawie prześladowania wolnych związkowców w Polsce. Ponad 140 meźów zaufania z zakładów samochodowych *Opla* w Bochum, huty *Gute Hoffnung* w Oberhausen i zachodniobierlińskiej służby publicznej — zwróciło się z petycjami o uwolnienie Zadrożyńskiego do ambasady PRL w Kolonii. Eugen Loderer, przewodniczący Związku Zawodowego *Metalowców* wystąpił w obronie Zadrożyńskiego na łamach pisma *Metal*. ■ Jednym z siedmiu laureatów *Nagrody im. J. G. von Herdera* został prof. Wiktor Zin za zasługi na polu ochrony zabytków. ■ W 1979 roku — 39 naukowców z Polski przebywało przez dłuższy czas w RFN, dzięki stypendium *Fundacji im. Alexandra von Humboldta*. ■ Z inicjatywy *Deutsches Polen-Institut* pod kierownictwem Karla Dedeciusa oraz *Niemieckiego Towarzystwa Korczakowskiego* z siedzibą w Giessen otwarta została w *foyer Domu im. Justusa Liebiga* w Darmstadt wystawa poświęcona życiu i twórczości Janusza Korczaka. ■ Dziennik *Frankfurter Allgemeine* donosi o poważnych trudnościach finansowych w jakich znalazły się rozgłośnie *Radio Free Europe* i *Liberty*. Z wypowiedzi generalnego dyrektora obu rozgłośni, Glenna Fergusona wynika, że rozważane są możliwości skrócenia nadawanych programów, o ile *RFE* i *RL* nie otrzymają dodatkowych funduszy jeszcze

w tym roku. ■ W znanym piśmie *Europa-Archiv* (nr 3/1980) ukazał się obszerny artykuł pióra prof. Georga W. Strobla pt. *Die wirtschaftliche und soziale Entwicklung Polens (Przemiany gospodarczo-społeczne w Polsce)*. Natomiast w miesięczniku *Osteuropa* (nr 2/1980) zamieszczono artykuł Harald Laeuena — *Innere Spannung, Resignation und Unruhe in Polen (Wewnętrzne napięcia, rezygnacja i niepokoje w Polsce)*. ■ Przewodniczący Rady Nadzorczej koncernu Kruppa — Bertold Beitz omawiał w Polsce sprawy związane z budową zakładów przeróbki chemicznej węgla. ■ Reinhold Lehmann, generalny sekretarz PAX-Christi, jest wyraźnie zaniepokojony postawą Episkopatu Polski; polscy biskupi przestali przyjeżdżać do Niemiec (prawdopodobnie nie przybędą do Berlina Zachodniego na tegoroczny *Katholikentag*), Niemcy nie są zapraszani do Polski; od 1978 roku Polacy mają „swojego” papieża; „mają pełne prawo do dumy, ale ten fakt nie może zasłaniać pola widzenia dla innych spraw: są Polacy, którzy od czasu tego doniosłego wydarzenia nie potrafią zejść z obłoków na ziemię; mentalność Polaków jest przesiąknięta mesjanizmem”... Ale takie są realia — ciągnie dalej Lehmann na łamach *Rheinischer Merkur/Christ und Welt* — i niemieccy biskupi muszą zdać sobie sprawę, że w Rzymie jest teraz Polak, któremu należy się „wierność i posłuszeństwo”, zwłaszcza kiedy jest wiadome, że Jan Paweł II-gi decyduje o polityce Episkopatu Polski. Mimo przeszkód różnej natury (sprawa weryfikacji podręczników, problem graniczny, kulejąca wymiana młodzieży), dialog musi być kontynuowany za wszelką cenę. Lehmann wyraża również nadzieję, że mimo obecnych trudności do Berlina Zachodniego przybędzie kardynał Macharski i wraz z nim liczna grupa katolików świeckich.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika białoruska

Jak podaje sowiecka prasa białoruska, w odległości 35 kilometrów od Mińska rozpoczęto budowę nowego lotniska „Mińsk-2”, które ma być otwarte w 1982 roku. Zaprojektowano budowę lotniska w Grodnie. Niedawno zostały zbudowane lotniska pasażerskie w Brześciu, Witebsku, Mozyrzu i zrekonstruowane w Homlu.

Według ostatniego spisu ludności, przeprowadzonego w styczniu 1979 roku, Białoruska SSR liczy 9 milionów 559 tysięcy mieszkańców. 55 % ludności mieszka w miastach. Mińsk z przedmieściami ma milion 276 tysięcy mieszkańców. Drugim co do wielkości miastem (383 tys.) jest Homel. Następnie idą Witebsk, Mohylów, Grodno, Bobrujsk, Brześć, Baranowicze, Orsza i Borysów.

Jak podaje Towarzystwo Badań Religii i Komunizmu, Sąd Najwyższy BSSR w Mińsku zaaprobował diagnozy Instytutu Psychiatrycznego im. Serbskiego w Moskwie dot. „choroby” aresztowanego w 1978 roku i dotychczas

znajdującego się w więzieniu psychiatrycznym filologa-slawisty Wiaczesława Zajcewa, współpracownika Akademii Nauk Białoruskiej SSR, za „fabrykowanie i rozpowszechnianie jawnie fałszywych oszczerczych materiałów, szkalujących sowieckie państwo i system społeczny”. Jedyną „winą” Wiaczesława Zajcewa było to, że twierdził iż głównym czynnikiem w historii ludzkości jest religia.

Jak podaje sowiecka statystyka, wywóz produkcji przemysłowej i rolniczej z Białorusi do innych republik sowieckich, głównie do Rosyjskiej, wyraża się następującymi cyframi: około 90 % obrabiarek metalu, motocykli, traktorów, samochodów ciężarowych, aparatów radiowych i telewizyjnych, zegarków; 75 % wyrobów przemysłu chemicznego. Białoruska SSR stanowi za ledwie 3,7 % ogólnej liczby ludności Związku Sowieckiego, a produkuje 43 % ogólnej ilości nawozów potasowych w ZSSR, 16 % traktorów i włókien chemicznych, 14 % obrabiarek, 22 % motocykli, 13,5 % zegarków ręcznych, 8,5 % aparatów radiowych i telewizyjnych, 11 % tkanin lnianych, 22 % włókien lnianych, 14 % ziemniaków, 7 % mleka i 6 % mięsa. Większa część produkcji jest wywożona do Rosji. Ziemniaki są ładowane w czasie zbiorów wprost z pól do wagonów towarowych i samochodów ciężarowych i wywożone do miast rosyjskich.

Członek Białoruskiego Instytutu Nauki i Sztuki w Nowym Jorku dr Vitaut Kipel w odczyście wygłoszonym w Sekcji regionalnego planowania ekonomicznego i zasobów w Waszyngtonie pt. „Pokłady soli i ropy naftowej na Białorusi i ich wpływ na ekonomikę republiki” analizując ich przyszłość poinformował na podstawie sowieckich danych statystycznych, że białoruskie sole potasowe stanowią około 18 % pokładów Związku Sowieckiego, a soli zwykłej — 20 %. W 1975 roku na Białorusi przekazano do eksploatacji około 200 pokładów ropy naftowej. Produkcja ropy wzrosła z 39 tysięcy w 1965 roku do 7-miu milionów 954 tysięcy w 1975 roku. Zasoby soli i ropy naftowej przyczyniły się do rozwoju przemysłu chemicznego na Białorusi. Prof. Gertruda Schroeder z uniwersytetu Virginia zaznaczyła, że w ciągu ostatniego dziesięciolecia zaczął raptownie wzrastać dochód brutto BSSR, co jednak nie oznacza polepszenia warunków życiowych ludności, bo jednocześnie powiększył się udział Białorusi w eksporcie.

Na specjalnej sesji naukowej, poświęconej 400-leciu Uniwersytetu Wileńskiego, która się odbyła w dniach 10-13 października 1979 roku w Yale University, Connecticut pod kierownictwem prof. Czesława Miłosza z Berkeley University, California, jednym z czterech referatów, wygłoszonych przez abiturientów Uniwersytetu Wileńskiego, był referat dr. Vitauta Tumaša, prezesa Białoruskiego Instytutu Nauki i Sztuki w Nowym Jorku, pt. „Uniwersytet Wileński w historii narodu białoruskiego”. Prelegent na wstępie swego referatu powiedział, że „Uniwersytet Wileński, założony w 1579 roku przez zakon Jezuitów, miał bezspornie wielki wpływ na religijne, kulturalne i polityczne życie ziem Białorusi, jak i całego Wielkiego Xięstwa Litewskiego”. Jezuitom, którzy liczyli na to, że przejmą w swoje ręce i podporządkują swym wpływom wychowanie młodego pokolenia w Wielkim Xięstwie Litewskim, w którym większość magnatów i szlachty białoruskiej stanowili wówczas protestanci (głównie kalwiniści), chodziło głównie o wychowanie młodzieży w duchu wiary katolickiej i przygotowanie kadr duchownych i świeckich do planowej akcji kontrreformacyjnej. Toteż

zakres nauczania na Uniwersytecie był mocno ograniczony. Zostały otwarte tylko 2 wydziały: teologiczny i filozoficzny. Właściwie była to wyższa szkoła teologiczna. Zbyt dużo czasu poświęcano nauczaniu łaciny, która była językiem wykładowym. Język białoruski, praktycznie wówczas bardzo ważny jako urzędowy język Wielkiego Księstwa Litewskiego, na początku istnienia Uniwersytetu był wykładany na specjalnym kursie „języka ruskiego”. Studentów uczono pisać i czytać pisane cyrylicą teksty — urywki z Ewangelii i katechizmu, których studenci musieli uczyć się na pamięć...

Uniwersytet wywierał wielki wpływ nie tylko na religijne poglądy studentów, lecz również na ich poczucie narodowe. Gospodarzami Uniwersytetu byli jezuici polscy, którzy od samego początku swej działalności byli propagatorami nie tylko katolicyzmu, lecz również polskiej mowy, kultury i polskiej ideologii wielkomocarstwowej. Obok łaciny językiem pomocniczym na Uniwersytecie i w kolegiach jezuickich na Białorusi był język polski. I sam katolicyzm był szerzony na ziemiach białoruskich jako „wiarą polską” w języku polskim przy pełnej ignorancji mowy narodu — białoruskiej, co prowadziło do polonizacji. Uniwersytet był potężnym czynnikiem polonizacyjnym.

Po skasowaniu Zakonu Jezuitów w 1773 roku program nauczania na Uniwersytecie, który został państwową Szkołą Główną Wielkiego Księstwa Litewskiego, był znacznie poszerzony: został otwarty wydział medycyny i powiększono liczbę ważniejszych dyscyplin.

Po rozbiorach Rzeczypospolitej i włączeniu wszystkich ziem białoruskich do Imperium Rosyjskiego Uniwersytet został w 1803 roku zreorganizowany i przemianowany na Wileński Uniwersytet Imperatorski. Wówczas to rodzi się zainteresowanie ludem białoruskim, jego mową, historią, obrzędami, twórczością. Członkowie organizacji studenckich Filomatów, Filaretów, Szubrawców — w ich liczbie przyjaciele Adama Mickiewicza: Tomasz Zan z Mińszczyzny, Antoni Edward Odyniec z Oszmiańszczyzny, Aleksander Chodko i Jan Czechot z Nowogródziny — zbierają i zapisują białoruskie pieśni ludowe, baśnie, legendy. Szczególnie wielkie zasługi w dziele zbierania i publikacji białoruskiej twórczości ludowej położył Jan Czechot, który opublikował sześć zbiorów białoruskich pieśni ludowych — cenne zapisy słownictwa mowy białoruskiej. Sam też pisał wiersze po białorusku. Mickiewicz znał i wysoko cenił zarówno białorską twórczość ludową, jak białorską mowę. W swoich późniejszych wykładach w Kolegium Francuskim w Paryżu mówił, że w porównaniu z mową rosyjską XVIII-go stulecia i mową ukraińską mowa białoruska jest „najbogatsza, najczystsza, była ona kiedyś językiem dworu i kancelarii książąt Litwy i wykazuje pierwszorzędne udoskonalenie”. Ponadto na Wileńskim Uniwersytecie Imperatorskim zwrócono uwagę na przeszłość narodu białoruskiego. Zostały opublikowane materiały historyczne i oryginalne prace profesorów Uniwersytetu J. Lelewela, T. Czackiego, zaś profesorowie J. Anaciewicz i I. Łabojka pomagali białoruskiemu archeologowi I. Hryhorowiczowi w zbieraniu materiałów do jego publikacji (w języku rosyjskim) „Bielorusskij archiw drevnich let” (Archiwum białoruskie dawnych lat). Szczególnie ważne znaczenie w dziedzinie historii Białorusi miały publikacje I. Daniłowicza tekstów Statutu Litewskiego 1529 roku, Kroniki Supraślskiej, rejestru treści około 2.500 aktów i źródeł historycznych. Prof. Michał Bobrowski, Białorusin, wybitny sławista i orientalista, kierownik studenckiego kółka filologicznego był autorem prac z dziedziny języka białoruskiego i historii białoruskich drukarni.

W okresie międzywojennym dostęp na Uniwersytet dla młodzieży białoruskiej z różnych przyczyn był wielce utrudniony. Jedną z głównych przyczyn była ciągła ciężka sytuacja ekonomiczna na terenach białoruskich, szczególnie wśród włościanstwa. Przy tym wszystkie białoruskie szkoły podstawowe

we i średnie (gimnazja) zostały przez polskie władze zlikwidowane. Ostało się jedynie gimnazjum białoruskie w Wilnie, które w ostatnich latach przed wojną istniało jako białoruska filia jednego z polskich gimnazjów (gimnazjum im. Juliusza Słowackiego — W.B.). Z ogólnej liczby 3.110 studentów w roku akademickim 1938/39 Białorusinów było zaledwie 85 osób (2,7 %). Jeszcze mniej było Litwinów — 28 osób (0,9 %). Podczas gdy Rosjan było aż 94 osoby (3 %). Dominowali Polacy i Żydzi. W programie nauczania nauki białorusoznawcze nie figurowały. Dopiero w 30-tych latach został wprowadzony lektorat języka białoruskiego, na który przeznaczono zaledwie 2 godziny tygodniowo. Uniwersytet nie wydał drukiem żadnej poważniejszej pracy z dziedziny języka białoruskiego czy innych dziedzin białorusoznawczych. Tylko wyjątkowo niektóre dysertacje były na tematy białoruskie, jak np. dysertacja doktorska (katedra polonistyki) Stanisława Stankiewicza o pierwiastkach białoruskich w polskiej poezji romantycznej i dysertacja magisterska Teodora Iliaszewicza pt. „Drukarnia Domu Mamoniczów”. Studenci białoruscy mieli swoją organizację — Białoruski Związek Studencki, który wydawał własne czasopismo „Studenckaja Dumka”. W latach trzydziestych istniała jakiś czas studencka korporacja białoruska „Skarynija”. Staraniem studentów białoruskich założone zostało przy Uniwersytecie Towarzystwo Przyjaciół Białorusoznawstwa.

Uniwersytet Wileński dzisiaj jest typową sowiecką wyższą uczelnią. Jest to w istocie uniwersytet rosyjski. Studentów Białorusinów jest mało. Rzadko i jedynie sporadycznie pojawiają się prace na tematy białorusoznawcze. Bodaj najważniejszą z nich jest praca A. K. Antonowicza o tekstach białoruskich napisanych pismem arabskim.

W roku 1979 w Paryżu w wydawnictwie UNESCO ukazała się w języku francuskim (przekład z białoruskiego) w serii „Wybitni działacze kultury słowiańskiej” ilustrowana monografia o białoruskim oświeceniowcu Franciszku Skarynie.

W 1978 roku została wydana w Moskwie w wydawnictwie Biblioteki Państwowej ZSSR im. Lenina bibliografia wydawnictw Franciszka Skaryny i prac o nim pt. „Naczalo knigopieczatanija w Bielorusii i Litwie. Żizn i diejatielnost' Franciska Skoriny. Opisanije izdanij i ukazatel' o literature. 1517-1977” (160 str.). Jest to już druga bibliografia skaryniany. Pierwsza została ułożona przez dr. Vitautę Tumaša i wydana drukiem w 1970 roku przez Białoruski Instytut Nauki i Sztuki w Nowym Jorku.

Akademik Andriej Sacharow wystąpił w obronie ponownie uwięzionego przez KGB białoruskiego dysydenta Michała Kukabaki. 21 czerwca wystosował apel w sprawie Kukabaki do robotniczych związków zawodowych poszczególnych krajów, prezesa amerykańskiego AFL-CIO Georga Meany i do Amnesty International.

„Kronika Kościoła Katolickiego” na Litwie w nrze 16, który trafił na Zachód w lipcu 1979, pisze o zniszczeniu kościołów katolickich na Białorusi: w Widzach, Woronowie, Bieniaconach i Nowogródku. Jak podaje „Kronika”, kościół Dominikański w Nowogródku stoi prawie całkiem zrujnowany, nie nadający się nawet na skład, który się w nim dotychczas znajdował. Drugi kościół w Nowogródku jest jeszcze czynny, ale wierni się obawiają, że ze śmiercią sędziwego proboszcza i ten kościół zostanie zamknięty.

Wołanie na puszczy

Bajki dla dorosłych

Warszawa, 15 lutego 1970.

Będąc jesienią roku 1973 w Ameryce, poznałem Jamesa Burnhama, autora sławnych książek „Rewolucja menedżerska”, „Walka o świat”, „Bierność czy wyzwolenie?”, w których bystro opisuje światowy imperializm komunistyczny i doradza środki przeciw niemu. Burnham był czołowym ideologiem amerykańskiej krucjaty antykomunistycznej za Trumana i Dulles, także w Polsce stalinowskiej książki jego, choć trudno dostępne (wydania *Kultury*) były symbolem nadziei: że Amerykanie coś zrozumieją i wreszcie zrobią.

Tymczasem w roku 1973 postarzały Burnham powiedział mi, bez goryczy, lecz wzruszając ramionami, że na jego poglądy „przeszła w Ameryce moda”. Moda przeszła, minęła, w sposób irracjonalny, jak to bywa z modą — pewno kiedyś wróci, na razie jej nie ma — tak mówił jeden z głównych ideologów antykomunizmu, znawca przedmiotu, bo nigdy trockista (też ciękawie zboczenie!).

Istotnie: podczas wojny była w Ameryce moda na Rosję, która to Rosja, przymuszona do tego przez Hitlera, krwawiła wówczas w zastępstwie Zachodu, budząc w Amerykanach platońskie wyrzuty sumienia. Wynagrodzona za swój wkład wojenny połową Europy, Rosja przebrała jednak miarkę, wobec czego budzić ją trwogę i niechęć, w okresie tzw. zimnej wojny. To z kolei mijając zaczęło (choć Rosja mało się raczej zmieniała) w latach siedemdziesiątych. Nową, prorosyjską modę szerzyć ją wówczas postępowo-kontestatorska młodzież, która, zachęcona fiaskiem amerykańskim w Wietnamie, upowszechniła teraz zachodni kompleks niższości wobec Rosjan. Kompleks ten można by w skrócie ująć następująco: my mamy bogactwo, ale Rosjanie mają ideologię, której nam brak, a więc MORALNIE stoją wyżej!

Że ideologia Rosjan, wynikająca kiedyś z tezy Marksa, iż należy uwłaszczyć proletariat, zaprzeczyła sama sobie, zakuwając tenże proletariat w nudną niewolę monopolistycznego, państwowego przemysłu, tego już nikt nie rozważał, poza archaicznym Burnhamem, na którego przeszła moda. Moda, pani zachodniego świata, niezależna od wszelkiej myśli, informacji, doświadczeń. Moda — luksus wolnych ludzi.

Lecz oto przyszła sprawa Afganistanu i prezydent Carter próbuje odkręcić modę, lansując inną. Najlepiej udaje mu się to... w Warszawie. Od razu pojawiły się wełniane, spiczaste czapeczki, „afganki”, produkowane przez jakąś spółdzielnię. W restauracjach poleca się danie „ruskie w kabulu”, wspomniano też o przedolimpijskim ogłoszeniu moskiewskiego biura podróży: „Odwiedzajcie Związek Radziecki, bo inaczej On was odwiedzi”. Osobiście opowiedziałem Amerykanom z ambasady pewną starą anegdotkę. Oto ludożercy pojмали grupę amerykańskich żołnierzy i, bezwolnych, prowadzili do kotła, celem ich ugotowania i zjedzenia. Już, już mieli oni do tego kotła wejść, gdy nagle jeden z oficerów zwrócił się do wodza ludożerców z pytaniem: — A może pan mnie jeszcze uderzy?! Ludożerca nie dał się prosić i uderzył go w głowę. Oficer wydobył wówczas pistolet i zastrzelił wszystkich ludożerców. — Czemuś tego nie zrobił wcześniej? — pytają koledzy. — Bo nie było agresji! — odpowiada dowódca.

Tak czy owak, Amerykanie próbują teraz odkręcić modę i zrehabilitować się za swe aberracje, tudzież wieloletnie całusy. Oczywiście Europa udaje, że im nie wierzy: rej wiodą w tym Francuzi, których największym zmartwieniem jest niezależność... od Amerykanów właśnie, wobec czego jeden przez drugiego przepychają się, aby jechać do Moskwy i znów całować się z towarzyszami. To ziarno posiewu De Gaulle'a jeszcze, który politykę neutralizmu i autofinlandyzacji ubrał w uroczą maseczkę suwerenności. Ale De Gaulle, według moich podejrzeń, był głębokim pesymistą co do Francuzów: wiedząc, że nie chcieli się bić z Niemcami, pewien był, że tym bardziej nie zechcą robić tego z Rosją, postanowił więc jak najdłużej oszczędzić im upokorzeń. Rozbił przy okazji Europę, ale co mu to szkodziło, skoro takową Amerykanie podzieliли sobie z Rosjanami, jego w dodatku do Jałty nie prosząc... Takie są źródła francuskiego neutralizmu, ale którzy człek z Zachodu pamięta dziś historię?

Co gorsza, nadwiślański pewien Francuz uwierzył także De Gaulle'owi, jakoby *Pax Americana* trwać miał wiecznie. Myślę tu o p. Janie Ulatowskim, którego dziwny list zamieściła *Kultura* (nr 1-2). Pan Ulatowski również za największego wroga Polski uważa Amerykanów, jako po wieki wieków najczulszych przyjaciół Rosji. Cóż więc nam poleca? Z tradycji, linię De Gaulle'a i... Lin-Piao, ze współczesności... Chomeiniego i... Wojtyłę. „Kiedy Kara Mustafa, wielki mistrz Krzyżaków...”. „Gdy Sobieski był sułtanem, stary Bismarck z byka spadł, nakarmiono osła

sianem...". Groch z kapustą — nader pożywne dla polityków danie...

Ale *revenons à nos moutons*. Teza zachodniej postępowej (jak paraliż) inteligencji, że Zachód ma bogactwo, za to Wschód ideologię, znalazła niespodziewane zastosowanie w przemówieniu Putramenta na VIII Zjeździe PZPR. Putrament powiedział, że literaci na Wschodzie są w dobrej sytuacji, bo, zbrojni w konkretną ideologię, mają o czym pisać, podczas gdy na Zachodzie żadnej ideologii nie ma, tylko mało pożywne dywagacje p. Brzezińskiego o społeczeństwie postindustrialnym w piśmie *Ameryka* (oj prawda, że mało pożywne, oj prawda!). Putrament ma rację, iż literaci, wyrzekający się pisania o tym, co widać wokół, mają w komunizmie dobrze, mogą sobie ideologicznie bujać w obłokach dowoli, kto ma talent, ten cudownie zrealizuje zadaną mu fantastykę. Ale, jak mi się zdawało, stary Marks konstruował swą utopię nie wyłącznie dla literatów, lecz także dla tzw. prostych ludzi, aby umożliwić im życie twórcze i godne. Tymczasem ci właśnie mają najgorzej: odebrano im wszelkie prawo do TWÓRCZOŚCI GOSPODARCZEJ i ZAWODOWEJ, państwowo-partyjny monopol osiódł ich skuteczniej niż jakikolwiek kapitalizm, determinując im życie i pracę raz na zawsze. A więc republika dla literatów, wsparta na helotach — ciekawy rezultat markowskiej utopii!

Zjazd Partii — o mój Boże! Przepowiedziałem jego przebieg, ale nawet ja nie przewidziałem, że król jest nagi aż tak bardzo. Chomeini zaklął swój naród w capa, opowiadając przeróżne bajki, aby uzyskać jego jednomyślność i dynamizm. Gierek próbuje zrobić to samo, ale, miast dynamizmu, osiąga rzecz osobliwą: zmasowaną marionetkowość. Ze zdumieniem obserwowało się na telewizyjnym ekranie Salę Kongresową w dniu otwarcia, gdzie 2.000 normalnych, dorosłych ludzi robi z siebie marionetki, mechanicznie wstając, siadając, klaszcząc, wznosząc okrzyki i starając się w sposób doskonały nie powiedzieć niczego, co miałyby jakkolwiek, najmniejszą bodaj realną treść. Czysta forma, powtarzana na wszelkie sposoby, bo i program telewizyjny unudniowo na te dni maksymalnie, przymilne twarze speakerów skręcają się w gorliwym skurczu żuchw, syjąc tym samym arsenałem podniosłych, pięknych, moralnych słów BEZ TRESCI. Orwell z Mrożkiem i Witkacym pod rękę! Czemu właściwie służy ten zdumiewający a kosztowny obrzęd? Utwierdzeniu władzy samej w sobie, umarionetkowieniu audytorium, okazaniu bezsilności opozycyjnych prześmiewców? (Przymknijto ich wszelako na dwa dni do ciupy). A może ma to zapobiec wjechaniu afgańskich czołgów do Warszawy? Byłoby to więc po prostu przedstawienie budujące dla Wielkiego Maga ze Wschodu?

Wielki Mag siedział w prezydium i klaskał gorliwie. Był to Michaił Susłow, Człowiek Radziecki O Ludzkim Obliczu. Starszy, przystojny jeszcze, szczupły pan o nerwowych ruchach i ostrym wejrzeniu, robi sympatyczne wrażenie — do chwili, póki

nie zacznie mówić. Ale kiedy zacznie — mój Boże! Amerykanie, krwiożerczy spiskowcy, napadli oto na Iran i Afganistan. Zmusił ich do tego kryzys ustroju „którego podstawę stanowi prywatna własność środków produkcji i wyzysk ludzi pracy”. Amerykanie rabują cały świat, mimo to żyją w nędzy i niewoli. Tylko Rosjanie żyją w wolności i dobrobycie, a Amerykanie zbroją się i marzą jedynie o wojnie, mimo, a może właśnie z powodu okropnej swej nędzy, bezrobocia, inflacji, spadku waluty i terroru wewnętrznego oraz zewnętrznego.

Nie wierzycie? Przeczytajcie w naszej prasie! Długo tak mówił Susłow, a raczej czytał, dźwięcznie, z zapalem, rzucając przenikliwe błyski zza okularów. Wielki Czarodziej ze Wschodu opowiada bajki dla dorosłych — a tłum słucha nieruchomy i bije przeciągłe brawa. Świat z baśni Andersena zrealizowany! Czy to jawa czy to sen?!

Po wszystkich otworzyłem sobie „Wolną Europę” i mało nie padłem z wrażenia, słysząc normalnych ludzi, normalnie rozmawiających, wystawiających się normalną polszczyzną. Podobno Redaktor Giedroyc krytykuje za coś tam „Wolną Europę” i jej kierownictwo. Niechby przyjechał do Warszawy i tu posłuchał — zrozumiałby wszystko!

Tak więc, dwa dni Zjazdu były drętwe, a potem nagle marionetki się ożywiły. Dziennikarze zagraniczni przysięgali, że na zjeździe zaczęła się krytyka! Z początku nie wierzyłem, bo w prasie i telewizji mało było tego widać, ale stopniowo rzecz zaczęła się klarować: ktoś dał hasło. Krytyka, rzecz prosta, nie dotyczyła istoty rzeczy i była delikatna, jak muśnięcie łabędzim puchem — ale była. I rosła. A za to na trybunie nie pojawił się jako mówca premier Jaroszewicz. Siedział na swoim miejscu i smutnie milczał, nasłuchując oklasków, którymi kwitowano słowa głębokiej (jak staw) krytyki: że przed sklepami ogony tudzież brakuje mleka. I oto nagle pojęli wszyscy: oto KOZIOŁEK OFIARNY!

W moim felietonie z numeru 1/2 br. pytałem KTO jest winien błędnym inwestycjom, zadłużeniu kraju, upadkowi rolnictwa, błędom bilansu energetycznego i transportowego? I oto odpowiadano mi: winien jest Jaroszewicz! Wszystkiemu absolutnie i tylko on jeden jedyny: inni o niczym widocznie nie wiedzieli, choć chwalono się kolegalnością decyzji. Jest winien i musi odejść, a że w dodatku nie lubiany, tym ci lepiej. Ofiary być muszą!

Instytucja kozłów ofiarnych znana jest w komunizmie powszechnie od epoki Stalina. Teraz zresztą czasy liberalne: dawniej koziołek był zarzynany, dziś poświęca się go żywcem, jeszcze w dodatku okadzając pochwałami. Podobno delikwent się bronił, chciał walczyć. Wielokrotnie obserwowałem to zjawisko: zdumienie komunisty, który musi odejść. Historia Partii nie uczy ich niczego, za każdym razem komediodramat odgrywa się na nowo. W oczach Jaroszewicza czytało się bolesne pytanie: „Jeśli

mnie nikt nie wybierał, to któż mnie teraz odwołuje?!". A za nim siedział Susłow... I wcale nie wyglądał na zdziwionego.

Tak, tak, bogowie łakną krwi, a lud nawet w komunizmie łaknie igrzysk. Przy okazji z Biura wypadło jeszcze paru: Kępa, Tejchma, Olszowski. Ten ostatni, bo uchodził za pretendenta i gadał z „DIP”-em, Tejchma — rzekomy liberał, Kępa — nawrócony moczarowiec. Kiedyś przepadł w niepamięci Moczar, potem Szlachcic, teraz znowu ci. Nie masz, nie masz i Cyrankiewicza i Starewicza i innych. Ubywa nam malowniczych postaci. Premierem ma podobno zostać p. Babiuch (pamiętacie moje prorocze „Czekając na Babiucha”?). A więc sami swoi, Słazacy, pobudują nam jeszcze sporo hut i kopalni, no bo cóż innego można by robić. A potem...

Tak więc, Zjazd zaczęty w scenerii Andersena (bajka o nagim królu), skończył się podniecająco. Rzecz to cenna a rzadka, trzeba się chronić przed nudą, dotąd jedyną rozrywkę w mym monotonnym życiu emeryta stanowiły amerykańskie kryminały w telewizji (podczas Zjazdu przezornie ich nie dano), oraz młodzieńcza opozycja ze swoimi gazetkami, którymi bałamucę się jak mogę. Ale to jest już chyba bez przyszłości — po Sacharowie. Patrząc na postacie pp. Werblana i Łukaszewicza w Biurze Politycznym nuciłem sobie starą polkę: „Siekiera, motyka, linka, supeł. Ależ ci nam dadzą w... kość"! A co, jeśli będziemy wywiezieni do Kielc? (oddać mózdzek na szmelc). A co, jeśli w Kielcach trafi się np. pokój z pluskwami?! Wiecie jaki jest jedyny sposób na pluskwy? Polubić je!

Można się jednak pocieszać geopolitycznie, że jesteśmy wszyscy po właściwej, bo wygrywającej stronie świata, o czym zapewnił nas Michał Susłow. Dlatego właśnie chcę się porozumieć z Rosjanami. Tylko że On nie zwrócił na mnie uwagi. Zresztą nie miał możliwości: nie wynaleziono jeszcze owego telewizora z Orwella, który obserwuje obserwujących, obserwowanych przez obserwatora z drugiej strony ekranu.

KISIEL

Kronika kulturalna

90-lecie Kazimierza Okulicza

Na początku bieżącego roku Kazimierz Okulicz kończy 90 lat. Pracę publicystyczną zaczął blisko trzy ćwierci wieku temu. Jego pierwszy artykuł ukazał się w 1905 roku w wychodzącym w Wilnie *Kurierze Litewskim*. W okresie niepodległości był początkowo redaktorem *Gazety Krajowej* w Wilnie, a potem *Kuriera Wileńskiego*.

Kazimierz Okulicz jest chyba ostatnim żyjącym przedstawicielem tego zespołu, który w pierwszych latach po odrodzeniu państwa polskiego usiłował realizować program polityki wschodniej Józefa Piłsudskiego. Okulicz jest więc kopalnią informacji o różnych, dziś już niemal zapomnianych rzeczach i wydarzeniach. Na przykład jest on chyba jedynym, który z bezpośrednich obserwacji może mówić o okolicznościach, które w październiku 1920 roku doprowadziły do tzw. „buntu” gen. Żeligowskiego oraz utworzenia przez niego niezależnej formacji państwowej w postaci tzw. Litwy Środkowej. Okulicz należał do tej grupy ludzi, wojskowych i cywilnych, którzy razem z Witoldem Abramowiczem, Bronisławem Krzyżanowskim, Aleksandrem Prystorem, Marianem Kościłkowskim, Marianem Świechowskim oraz Witoldem Staniewiczem stanowili bezpośredni sztab polityczny gen. Żeligowskiego.

Dziś mało kto sobie uświadamia, że celem „buntu” gen. Żeligowskiego nie było wcale oderwanie Wilna od Litwy, lecz raczej rozszerzenie państwa litewskiego przez przyłączenie Litwy południowej, to znaczy Białorusi, i znalezienie jakichś form powiązania tej całości z Polską bez naruszania samej zasady niepodległości Litwy. Ideałem tego „buntu” było stworzenie na terenie Litwy historycznej czegoś w rodzaju wschodnioeuropejskiej Szwajcarii, gdzie cztery miejscowe języki (polski, litewski, białoruski i żydowski) byłyby całkowicie równouprawnione. Gen. Żeligowski (z pochodzenia drobny szlachcic z Oszmiańszczyzny) swoje odezwy do ludności zajętych przez jego oddziały obszarów

wydał w tych właśnie czterech językach. Bronisław Taraszkiewicz, znany działacz białoruski i autor pierwszej gramatyki białoruskiej, który był przez pewien czas kierownikiem Departamentu Oświaty Litwy Środkowej, zaczął tworzyć na wielką skalę szkolnictwo białoruskie i zdążył założyć podczas trwania tej formacji państwowej około 130 szkół białoruskich.

Prawie jednocześnie z „buntem” gen. Żeligowskiego wybuchło w Słucku na tyłach armii sowieckiej powstanie białoruskie, które ogłosiło utworzenie niepodległego państwa białoruskiego i doprowadziło do utworzenia rządu białoruskiego. Dopiero skrupulatne studia archiwalne oraz wertowanie literatury pamiętnikarskiej mogą ustalić, czy były jakieś nici łączące akcję Żeligowskiego z rewoltą słucką. Powstanie zostało bezwzględnie stłumione przez armię czerwoną. W owych przełomowych latach po pierwszej wojnie światowej na całym terenie tzw. Ziemi Wschodnich ciągle zapalały się i gasły płomyki będące reminiscencją dawnego Imperium Litewskiego, które w przeszłości było w najważnym stopniu państwem białoruskim.

Politycznie Okulicz był przedstawicielem grupy tzw. „Demokratów Wileńskich”, czasami również nazywanych „Krajowcami”. Wszyscy wymienieni powyżej członkowie sztabu politycznego gen. Żeligowskiego byli w większym lub mniejszym stopniu związani z tą grupą. Jednym z wybitnych przedstawicieli tego zespołu był również Jan Piłsudski, o którym plotka wileńska szeptała, że był kanałem, wiążącym tę grupę z ówczesnym Naczelnikiem Państwa.

Nazywanie „demokratów wileńskich” „krajowcami” było o tyle nieścisłe, że stanowili oni tylko jeden z nurtów ruchu krajowego. W Wilnie istniała również grupa konserwatywnych krajowców, która uważała, że na terenie dawnego Wielkiego Xięstwa Litewskiego przywództwo polityczne winno należeć do wielkiej własności ziemskiej. Demokraci Wileńscy natomiast stali na stanowisku szeroko pomyślanej reformy rolnej, której projekt był dziełem Witolda Staniewicza, i uważali, że warstwą, która w projektowanej Wielkiej Litwie miała wysunąć się na czoło będzie mała własność rolna, tzn. to, co wówczas nazywało się włościanstwem. Jeżeli chodzi o konserwatywnych krajowców, czołowym publicystą tej grupy był Stanisław Mackiewicz. W pewnej chwili przejął on *Gazetę Krajową* i przemianował ją na *Słowo*. Propagował on wskrzeszenie monarchii, a Józefa Piłsudskiego uważał za jednego z kandydatów na tron Jagiellonów, pomimo że Piłsudski uchodził wówczas za socjalistę.

Poza tym istniał odłam ruchu krajowego, który spadkobierców tradycji Wielkiego Xięstwa Litewskiego widział raczej w Kownie, niż w Warszawie. Najwybitniejszą postacią tego odłamu był mec. Tadeusz Wróblewski, sławny obrońca w procesach politycznych w okresie carskiej Rosji i twórca wspaniałej biblioteki Wróblewskich, wywiezionej w 1939 roku przez okupantów sowieckich. Kierunek ten był reprezentowany przez dwutygod-

nik *Przegląd Wileński*, bardzo dobrze redagowany przez Ludwika Abramowicza. Kierunek ten nie uważał, że federacja z Polską jest koniecznym warunkiem wskrzeszenia Wielkiej Litwy, lecz zgadzał się, że kultura polska w tym wielojęzycznym państwie będzie nadal swoją rolę odgrywać. *Przegląd Wileński* miał sporo poparcia na prowincji, szczególnie wśród proboszczów mieszańskich parafii polsko-litewskich, chociaż wśród większości kapituły przeważały prądy skrajnego nacjonalizmu polskiego i robiono usiłowania, aby usunąć świątobliwego biskupa Matulewicza (Matulajtis), dawnego generała Zakonu Marianów, który był Litwinem z pochodzenia. Demokraci wileńscy stali twardo na stanowisku federacji z Polską i wierzyli, że Józef Piłsudski jest mężem stanu, który tę ideę wspólnej Rzeczypospolitej potrafi urzeczywistnić.

Demokraci wileńscy stanowili grupę inteligencką, która nie prowadziła żadnej akcji wśród mas ludowych. Wkrótce po zajęciu Wilna przez oddziały gen. Żeligowskiego przybył na teren Wileńszczyzny zespół działaczy z „Organizacji Młodzieży Narodowej”, będący odłamek spadkobierców dawnej „Ligi Narodowej”, którzy jeszcze przed Pierwszą Wojną światową nie poszli za Dmowskim lecz za Piłsudskim, jako przywódcą czynnej walki o niepodległość. Nie podzielali oni jednak wschodniego programu Piłsudskiego. Zespół ten (Tadeusz Janikowski, Władysław Kamiński, Małowski, Mydlarz, Bolesław Wścieklica i inni) zorganizował bardzo sprężystą akcję na rzecz natychmiastowej inkorporacji Ziemi Wileńskiej do Państwa Polskiego. Występowali oni pod pseudonimem „Rad Ludowych”. Plotka kawiarniana mówiła, że środki finansowe na tę akcję pochodziły ze śląskich funduszy plebiscytowych. „Rady Ludowe” wygrały wybory do Sejmu Wileńskiego, które miały miejsce w początku 1922 roku. Marszałek Piłsudski, który jako Naczelnik Państwa przyjechał, aby przejąć władzę nad ziemią Wileńską, w mowie wypowiedzianej podczas bankietu w kasynie oficerskim wezwał Wilnian, aby nie zapominali o tym, że te mury nie polskimi zostały wzniesione rękami.

Inkorporacja Wilna do Polski znamionowała załamanie się planów wschodnich Józefa Piłsudskiego podobnie jak nieco przedtem niepowodzenie wyprawy kijowskiej. Różnica pomiędzy obodem Dmowskiego a Józefem Piłsudskim polegała na tym, że Dmowski dążył do podzielenia Ukrainy i Białorusi pomiędzy Rosję a Polskę, podczas gdy Piłsudski, korzystając z wyjątkowej koniunktury historycznej, która wytworzyła się po Pierwszej Wojnie światowej, chciał odsunąć Rosję jak najdalej na wschód przez stworzenie niepodległej Ukrainy i Wielkiej Litwy. Gdyby po 1920 roku Ukraina uzyskała niepodległość, Stalin nie byłby w stanie rozwinąć akcji tworzenia przemysłu wojskowego na skalę, na którą ta akcja była potem prowadzona. W owych latach Europa nie chciała zrozumieć, że jej przyszłość i wolność zależały od tego czy powstanie niepodległa Ukraina, co doskonale rozumiał Piłsudski. W świetle tej szalonej groźby, która wisi

dziś nad światem, widać wyraźnie w jakim stopniu Piłsudski był człowiekiem o genialnej intuicji historycznej. Okulicz był jednym z tych niewielu co w owym czasie swoje pióro oraz talenty organizacyjne oddali na usługi tych planów Piłsudskiego.

Po likwidacji Litwy Środkowej Okulicz był jednym z założycieli, a potem przez szereg lat naczelnym redaktorem *Kuriera Wileńskiego*. Podczas premierostwa Bartla był przez pewien czas Dyrektorem Departamentu Wyznań w M.W.R.iO. w Warszawie, potem znowu wrócił do *Kuriera Wileńskiego*. Okulicz był w Warszawie jednym z założycieli „Instytutu Badania Spraw Narodowościowych”, którego kierownikiem naukowym został inny „demokrata wileński” i jego osobisty przyjaciel Marian Świechowski. W Wilnie był Okulicz jednym z założycieli Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej. Podczas wojny pracował w Radzie Głównej Opiekuńczej. W 1945 roku znalazł się we Włoszech w 2-gim Korpusie, którym dowodził gen. Anders, jego kolega z Politechniki Ryskiej. Po wojnie Okulicz był przez pewien czas Ministrem Sprawiedliwości w Rządzie Polskim w Londynie. W tym charakterze zgromadził materiały dotyczące tzw. afery Bergu, które potem Stanisław Mackiewicz opublikował w oddzielnej broszurze.

Wielką zasługą Okulicza jest zorganizowanie i przygotowanie do druku *Pamiętnika Wileńskiego*, wydanego przez Polską Fundację Kulturalną w 1972 roku, przedstawiającego życie kulturalne i polityczne kilku ostatnich pokoleń Litwy Historycznej. W wydawnictwie tym zamieszczone zostały prace dwudziestu współautorów. Centralne miejsce (str. 9-88) zajmuje praca samego redaktora pt. „Brzask, Dzień i Zmierzch na ziemiach Litwy Historycznej”. Praca daje na wysokim poziomie literackim zarys popowstaniowych dziejów Litwy Historycznej ze szczególnym uwzględnieniem przełomowych lat po pierwszej wojnie światowej. Podaje moc nazwisk i mało znanych faktów, np. pewne dane o takich ośrodkach myśli i inicjatywy jak „Szubrawcy” lub wolnomularstwo na ziemiach Wielkiego Xięstwa Litewskiego.

Kiedy w 1972 roku *Pamiętnik* ukazał się w druku, K. Okulicz miał już 82 lata. Od tego czasu drukował niewiele, obecnie ma trudności z pisaniem z powodu operacji oczu, której ostatnio musiał się poddać. Śledzi jednak uważnie przemiany w sytuacji międzynarodowej, ma własny wyrobiony pogląd na kierunek którym Polacy muszą kroczyć, aby odzyskać pozycję wolnego narodu.

Okulicz był zawsze sceptyczny wobec popularnych w naszym społeczeństwie nadziei na pomoc odległego Zachodu. Od czasu wojen napoleońskich aż do Drugiej Wojny Światowej Polacy żyli nadzieją na pomoc Francji. Beck zyskał sobie popularność w końcu swego urzędowania, bo potrafił doprowadzić do przymierza z Wielką Brytanią. Polski Rząd Emigracyjny we wrześniowej rezolucji Zjazdu Jedności z Walczącym Krajem roztacza świetlane nadzieje związane z przyjaźnią amerykańską. W Ameryce istotnie ludzie polskiego pochodzenia mogą swobodnie gło-

sić swoje idee, zajmować wysokie stanowiska i robić pieniądze. Lecz właśnie Ameryka jest odpowiedzialna za ustalenie w końcu ostatniej wojny sfer wpływów supermocarstw w Europie, przez co Polska i inne kraje Środkowo-Wschodniej Europy zostały oddane w niewolę sowiecką. Sowiety ze swej strony zobowiązały się wówczas wycofać po zakończeniu wojny swoje wojsko z Azerbejdżanu Perskiego. W obecnej sytuacji napięcia międzynarodowego problem dyplomacji amerykańskiej polega na tym, aby przekonać Związek Sowiecki, żeby się zaspokoił dalszym trawieniem Środkowo-Wschodniej Europy i nie pchał się znowu w kierunku Zatoki Perskiej. W Departamencie Stanu istnieje nawet rzekomo pogląd, który głosi że w interesie Ameryki leży aby Europa Środkowo-Wschodnia jak najprędzej zrosła się „organizacyjnie” ze Związkiem Sowieckim (tzw. doktryna Sonnenfeldta). Stąd też pochodzą ciągłe naciski, aby zlikwidować „Radio Free Europe”.

W tym niezmiernie niepomyślnym układzie stosunków międzynarodowych trudno jest stworzyć jakąś nową koncepcję polityki polskiej, gdy wszystkie dawne zbankrutowały. Można jednak myśleć o stworzeniu atmosfery psychicznej, z której by taka nowa koncepcja mogła się wyłonić w przyszłości. Świat się zmienia i zmieniają się ludzie. Niemcy, nasz wielki zachodni sąsiad oraz wróg w ostatniej wojnie, przeszły po wojnie przez duże przeobrażenia psychiczne; nowe pokolenia polskie również pod wieloma względami różnią się od dawnych. Ideą, którą Kazimierz Okulicz mocno popierał przez ostatnich kilkanaście lat, jest stworzenie w Europie Środkowej *Zony Przyjaźni*, obejmującej przede wszystkim Niemców, Polaków, Czechów i Słowaków. Atmosfera psychiczna jest czymś trudnym do skontrolowania. Może się więc rozszerzać, pomimo wszystkie granice dawne i nowe i pomimo wszystkie podziały na sfery wpływów ustalone przez supermocarstwa. Okulicz podkreśla swoje żywe zainteresowanie tą ideą przez swój udział w spotkaniach polsko-niemieckich, które w ciągu ostatnich kilkunastu lat prof. Rhode organizował w Lindenfels.

Postawa, którą w sprawie przyszłości stosunków polsko-niemieckich zajmuje obecnie Okulicz odpowiada całkowicie ideom, które na gruncie religijno-moralnym wyraziło Orędzie biskupów polskich do biskupów niemieckich w listopadzie 1965 roku. Orędzie to było przeniknięte troską o przyszłość całego tego rejonu Europy, z którym w zmaganiach i współdziałaniu wiązała nas tysiącletnia historia chrześcijaństwa w Polsce. Związek Sowiecki jest zainteresowany w ciągłym podtrzymywaniu nienawiści pomiędzy Niemcami i Polakami. Toteż to orędzie spotkało się w prasie reżymowej z wrogim przyjęciem. U wielu przywódców politycznych na emigracji wywołało ono pewną konsternację. Są to przeważnie ludzie, którzy rozumieją politykę zagraniczną emigracji jako powtarzanie w kółko haseł z dni własnej dawno minionej młodości. Okulicz, który ma poczucie zmieniającego się świata oraz poczucie tych nowych problemów, które wyras-

tają przed nami jako Polakami oraz jako obywatelami tej części Europy, z którą łączy nas tysiącletnia tradycja chrześcijaństwa, musi w tym środowisku londyńskiej emigracji czuć się nieraz nieco wyobcowanym.

Lecz za to jest bliższy temu, czym żyje elita młodej generacji Polaków w Kraju.

Wśród niezależnie myślącej części młodego pokolenia w Kraju — na tyle na ile można się zorientować z czytania wydawnictw poza cenzurą oraz zetknięć osobistych — istnieje dziś ogromne zainteresowanie tym czym naprawdę są Niemcy i jaką należy wobec nich zająć postawę. Okulicz, dziewięćdziesięcioletni starzec, jest wpatrzony w spowitą w mgłach przyszłość, jeżeli nie własną to własnego narodu oraz tych sąsiednich narodów, z którymi wiążą nas współdziałanie i walki, lecz nade wszystko wspólność tysiącletniej cywilizacji.

Stanisław SWIANIEWICZ

Fundacja Jurzykowskiego

POLONIA NOWOJORSKA: LUDZIE I WYDARZENIA

Na wstępie opowiem epizod, który obrazowo wprowadza w temat. Działo się to w pierwszych dniach lutego br., w wieczór rozdania nagród Fundacji Jurzykowskiego.

Scenografia: pałacyk na 66 ulicy między alejami Park i Madison, w którym mieści się Polski Instytut Naukowy. Kilku-piętrowa, stuletnia nieruchomość w stylu paryskich *petit-hôtel* jest własnością Fundacji Jurzykowskiego i Instytut znalazł tam dach na zasadzie honorowego lokatora.

Wieczór pod „znakiem Jurzykowskiego” jest największą galą polonijną. Obchodzoną rokrocznie od szesnastu lat, czyli od „premiery”, od pierwszego rozdania nagród, kiedy wśród laureatów znajdowali się: Kazimierz Wierzyński, Sławomir Mrożek, Gustaw Herling-Grudziński, Stanisław Pigoń, Zbigniew Herbert, Paweł Hostowiec, Maria Ossowska, Roman Palester i Krystyna Sadowska.

Zaden *happening* polonijny nie posiada takiego ładunku snobistycznej atrakcji. Jest zarówno polskim Noblem i Oskarem. Można nie przyjść na odczyt o Wittlinie, Wierzyńskim, Gombrowiczu czy Miłoszu, na akademię upamiętniającą założenie uniwer-

sytetu wileńskiego. Wieczór Jurzykowskiego — mówiąc językiem reklamy produktów Cartiera jest *le must*, czyli obowiązkiem towarzyskim. Trzeba się pokazać i zaproszenia wysyłane przez panią Halinę Janiszewską są z niecierpliwością oczekiwane.

Scenografia, rekwizyty, bufet — uciekają się ponownie do terminologii z dziedziny mody: są *hors ligne*.

Na „szeregowych” imprezach Instytutu Naukowego bywa skromnie, ale po pańsku. Popija się białe wino kalifornijskie, zagryzając piernikiem polonijnego wypieku, albo keksem przyniesionym z miasta przez panią Teodozję, siostrę profesora Błaszczyka, który stoi na czele sekcji literackiej. Na Jurzykowskim — inny świat. Wśród gości krząta się służba i dworzanie, strzelają butelki szampana, a na kanapkach czerni się gruboziarnisty kawior. Na tym jednak nie kończą się atrakcje wieczoru. Wzrastają w zależności od stopnia wtajemniczenia, to znaczy od znajomości „konstelacji” jakie działały wokół Alfreda i Mileny Jurzykowskich za ich życia. Krzyżujące się na podobieństwo ogni sztucznych sygnały i podteksty są czytelne dla starej gwardii emigracji wojennej. Mniej dla innych, choć niektórzy znają szyfr.

Takiego „Argentyńczyka” jak ja zaskakuje fakt, że jeden z laureatów wita się demonstracyjnie chłodno ze swoim stryjem, bo nie znam *background*’u czyli prehistorii. A tymczasem, jak się przy szampanie trochę później dowiedziałem, byłem świadkiem dalszego ciągu epilogu głośnego kiedyś procesu cywilnego, który podzielił na wojujące ze sobą obozy sympatyczną i mądrą rodzinę.

Stara gwardia zwykła się stawiać w komplecie. Raz do roku wyżywa się polonijnie przez kilka godzin upływających pod znakiem nostalgicznego poszukiwania utraconego czasu. Przede wszystkim zjawia się by spotkać przyjaciół i znajomych, od których odcięta jest geografia, komunikacją i metafizyką wielkiej metropolii, rzucającymi kłody pod nogi życia towarzyskiego kiedy przekroczyło się 60 lat.

Mam już na dziennikarskim rozkładzie dziesięć czy jedenaście takich galowych uroczystości, ale ze starej gwardii znam tylko najbardziej widoczne postacie. Do nich zaliczam dwie siostry Lilpop z Alei Róż, jeszcze ciągle warszawskie jak most Poniatowskiego, „świętą osobę” p. Halinę Rodzińską i jej siostrę Felicję Kranc, z którą zawsze jak ją spotykam rozmowa schodzi na nasz ulubiony temat: Józef Czapski. Obie udzielają się częściej od innych i odkrywają rolę pomostu między starą gwardią i następnymi falami emigracji i powiem nawet że ich dobroć bywa często nadużywana przez „spadochroniarzy” z kraju. Takim samym wyjątkiem są wdowy po Kazimierzu Wierzyńskim, Józefie Wittlinie, Zdzisławie Czermańskim i Aleksandrze Jancie.

Mile dla ucha brzmi lwowskie bałakanie kiedy profesor Stanisław Ulam przekomarza się witając się ze swoim kolegą z Uniwersytetu Jana Kazimierza, profesorem Markiem Kacem. Obaj wyszli ze słynnej lwowskiej szkoły matematycznej. Ulam (starszy brat Adama z Harvardu) autor książki biograficznej *Adventures of a Mathematician* uważany jest za jednego z ojców bomby wodowej, profesor Marek Kac wykłada na nowojorskim superuniwersytecie Rockefellera, gdzie studenci rekrutują się z pełnoprawnych naukowców.

Osobnym rozdziałem na tych galowych zebraniach są profesorowie. Instytut Piłsudskiego reprezentują prof. Wacław Jędrzejewicz i Wiesław Domaniewski, który wprawdzie nie jest profesorem, ale ma zasób wiadomości nie mniejszy od nich. Oprócz tego umie szarżować jak szwoleżer. Dotarł kiedyś bezpośrednio do Jurzykowskiego zdobywając donację dla Polskiej Biblioteki w Paryżu czym naraził się na wieczną niechęć Rudolfa Rathausa, który uważał że tego rodzaju sprawy powinny być załatwiane przez niego.

Profesorska rodzina Grossów stawiała się w osobach dyrektora Instytutu Naukowego Feliksa i Zygmunta. Z pierwszym kojarzy mi się zawsze jego rozmowa z Janem Pawłem II o kremówkach w legendarnej kawiarni na rynku w Wadowicach. Był to pierwszy temat w którym się dogadali kiedy ówczesny metropolita krakowski odwiedził Instytut Naukowy w 1976 roku. A kiedy słyszę krakowską przyspiewkę i „bede” profesora Zygmunta Grossa zamykam oczy i czuję się przeniesiony na Planty. Tam, naprzeciw starej redakcji Ikaca, gdzie na jeziorze pływał czarny łabędź. Moje ulubione miejsce, które odwiedzam zawsze przed zaśnieciem.

Zjawili się *in persona* trzej laureaci: profesor Stefan Schenker, syn Alfreda Schenkera, który był współnikiem nowojorskim podczas i po wojnie Alfreda Jurzykowskiego, zanim ten nie wyruszył na zwycięski podbój Brazylii, oraz z kraju: biochemiczka Irena Chmielewska i fizyk Iwo Białynicki-Birula, o którym moja żona zapewniała mnie, że musi pochodzić z Kresów, bo znała w Baranowiczach rodzinę o tym bardzo rzadkim nazwisku. Podziwiałem pełen wigoru wygląd prof. Chmielewskiej. Któż nie chciałby wyglądać tak młodo w wieku 82 lat. Okazuje się jednak, że chochlik drukarski dodał jej sporo lat w życiorysie opublikowanym w programie uroczystości.

Panuje atmosfera bąbelkująca euforią. Na ogół wszyscy są dla siebie przyjemni i szczodrzy w komplementy, bo to należy do retrospektywnego czaru „Nocy Jurzykowskiego”. Szczęśliwy los posadził mnie obok mecenasa Ludwika Seidenmana i jego żony, przez co nie czuję się taki zagubiony.

W moim audio-zasięgu głównym tematem rozmów jest drugi tom pamiętników Artura Rubinsteina pt. *My Many Years* dedykowanych *To Annabelle, my devoted friend and companion, with my love and gratitude*. Głosy, które mnie dochodzą są zgodne, że „Artur na progu setki zwariował, a Nela jest bardzo biedna”. Nela to pani Arturowa Rubinstein, Aniela Młynarska, której pierwszym mężem był wybitny pedagog pianista Mieczysław Munz.

Sama uroczystość trwa krótko. Przemawia prezes Fundacji Alexis Coudert, a następnie przedstawia laureatów nowy przewodniczący rady doradczej, prof. Jerzy Krzywicki, który rok, czy dwa lata temu uratował nas przed laurem Jurzykowskiego dla grafomana Antoniego Gronowicza, który, wiem to od profesora Edwarda Czerwińskiego, zaproponował podczas pobytu w Polsce napisanie książki o pierwszym sekretarzu.

Gronowicz, podobnie jak osoba która forsowała jego kandydaturę w radzie doradczej, domagali się — w różnych okolicznościach — dokładnego wyliczenia na co idą i jak są przekazywane fundusze zbierane w Nowym Jorku na KOR, co miało zupełnie niedwuznaczną intencję.

Znamienne są obecności, ale jeszcze bardziej nieobecności. Nie ma córek Alfreda Jurzykowskiego: Jolanty i Mileny Krysiny.

Po uroczystości rozpoczął się generalny szturm na bufet i polowanie na prominentów. Pruję w kierunku profesora Wojciecha Juszczaka, świeżo upieczonego prezesa Fundacji Kościuszkowskiej. Wydłużona sylwetka przypomina trochę Monsieur Hulot. Wygląda na więcej niż swoje 32 lata. Postarza się brodą. Sprawia ujmujące wrażenie, które uwydatnia prostym nieprezowskim sposobem bycia. Czuje się do niego z miejsca sympatię wiedząc jakie ciężkie zadanie czeka go po 10 latach profesora Eugeniusza Kusielewicz. Bez ceregieli zgadza się na wywiad. Będzie czekał na mój telefon, umawiamy się. Chwilę później wyłania się elegancka sylwetka Alexisa Coudert. „Pukam” w tej samej sprawie. On też zapewnia, że chętnie ze mną porozmawia o Fundacji. Zapisuje mi na programie Chmielewską i Białynickim-Birulą.

Natomiast fiasco z profesorami Chmielewską i Białynickim-Birulą. Nigdy nie udzielają wywiadów, twierdzą stanowczo. Pani Chmielewska robi minę jak gdyby po raz pierwszy w życiu dowiedziała się że istnieje coś takiego jak prasowe *interview*. Wiemy o co chodzi. PRL pozwala inkasować nagrodę w wysokości 5.000 dolarów, ale zakazuje rozmawiać z nami. A konsul generalny Ciaś nad tym czuwa.

Kuję żelazo póki gorące, po szampanie. Poniedziałek zaczyna od telefonów.

Sekretarka Couderta brzmi bardzo miło. Łączy się ze swoim szefem i po chwili wyznacza mi spotkanie na dzień następny. Wprawiony w dobry humor takim gładkim startem łączę się z Fundacją Kościuszkowską. Tam sprawa nie tak prosta jak w firmie braci Coudert. Coudert Brothers, wielkie międzynarodowe konsorcjum adwokatów.

U Coudertów sprawność i *savoir faire*, w Fundacji — telefoniczny labirynt biurokratyczny. W końcu docieram elektronicznie do sekretarki prezesa p. Helen Mayek. Konwersacja z mieszcą po angielsku. Legitymuję się przyrzeczeniem doktora Juszczaaka przyjąć mnie w jak najszybszym terminie. Z miejsca na mnie wsiada: „Nie ma jak najszybciej”. Istnieje agenda. Wyznacza mi *appointment* za trzy tygodnie. Protestuję mówiąc, że nie chodzi w moim wypadku o stypendium, ale o wywiad prasowy. Pani Helen Mayek wzmacnia decybele swego mezzo sopranu. Wcześniej nie można. Proszę by nie podnosiła głosu. Ale rozmowa kończy się moją kapitulacją. Stawia mnie wobec dylematu: za trzy tygodnie, albo w ogóle nie. Czyli: *take it or leave it*.

Te dwa telefoniczne dialogi, z Coudert Brothers i Fundacją rozniecają we mnie refleksje o charakterze porównawczym. Prezes jednej z największych nowojorskich firm adwokackich, stojący na czele kilku plutonów prawników, którego każda minuta kosztuje na pewno kilkaset dolarów, ma czas, by mnie natychmiast przyjąć. A w Fundacji spławienie według klasycznych wzorów dania lekcji petentowi, by nabrał szacunku do instytucji.

Jedna z moich koleżanek z redakcji *Nowego Dziennika* miała podobne doświadczenie telefoniczne. Jej zdaniem jest to styl żywcem zapożyczony od biurokracji PRL. Być może jest to cena, którą przychodzi zapłacić w transakcji wymiany kulturalnej.

Do rozmowy z p. Alexis Coudertem przygotowałem się jak do egzaminu. Dwoma nurtami zrobiłem *research*. Chciałem się jak najwięcej dowiedzieć o osobie Alfreda Jurzykowskiego i jego żonie Milenie i jego doradcy w sprawach Fundacji, Rudolffie Rathausie.

Jednocześnie zbierałem opinie o samej Fundacji, to co o niej myślał rodacy, przekonując się, że jest tematem kontrowersyjnym bo ściąga na swoją głowę całą gamę pretensji.

Odtworzenie sylwetki Jurzykowskiego nie jest sprawą prostą. Mogłem się ograniczyć do laurki stawiając mu pomnik jako światłemu mecenasowi, którym kieruje troska o jedność polskiej kultury, patriotcie i człowiekowi wielkiej szczodrości, pionierowi przemysłu samochodowego w Brazylii. Ale takie portretowanie mnie nie tentuje.

W miarę jak zgłębiałem temat coraz bardziej intrygowała mnie jego wieloodcieniowa indywidualność. Miał jak Światowid kilka obliczy. Można by o nim napisać bardzo ciekawą książkę. O nim i innych polskich „kondotierach”, którzy w latach powojennych doszli na półkuli zachodniej do wielkich fortun.

Jak Roehr w Stanach Zjednoczonych, Kiciński w Argentynie, Berenbaum w Urugwaju, Neuding w Brazylii.

Z nich wszystkich Jurzykowski był najciekawszą postacią. Nie był człowiekiem łatwym. Podwładni drżeli przed nim. Był wymagający w stosunku do siebie i innych. Narzucał dyscyplinę wojskową. Przy jego stole w restauracji w zakładach Mercedes Benza w Brazylii żaden z jego dyrektorów nie odważył się zacząć *lunch'u* dopóki nie zjawił się Alfred Jurzykowski. Prawie salutowali w podskokach. I to nie tylko Polacy, ale Brazylijczycy i Niemcy też. Bywał srogi i szorstki ze swoimi podwładnymi, nawet z tymi, których zaliczał do najbliższego kręgu swoich przyjaciół. Był tym co w Ameryce Łacińskiej nazywa się *caudillo* albo *capitan*, a w USA: *leader of people*. Ale jego charyzma była „cetkowana”.

Miał oryginalny zmysł humoru. Płynnie władał żydowskim i zwykł był ambarasować swoich przyjaciół, nie przyznających się do niearyjskiej babki, zaczynając mówić do nich nagle — tak by wszyscy słyszeli — *yidish*. To stwarzało wokół niego atmosferę urazy, którą Jurzykowski udobruchował szczodrością. Znał na wylot słabości ludzkie i wiedział jak je obrócić na swoją korzyść. Pod każdym względem był człowiekiem nieprzeciętnym. Nie było w nim nic z Wokulskiego. Najwięcej z postaci Dołęgi-Mostowicza, który najlepiej wyczuwał „podnoszącą się do lotu” klasę polskich „entrepreneurów”, bo się o nich ocierał w ostatnich latach przedwojennej Warszawy. Zgłębiając temat Jurzykowskiego przekonywałem się do jakiego stopnia krucha i zawodna jest pamięć ludzka. Moi rozmówcy pamiętają go, ale każdy inaczej.

Według jednej wersji był kiedyś zawodowym oficerem, nawet adiutantem generała Kazimierza Sosnkowskiego, który rzekomo miał mu nawet ułatwić w latach 50-tych *business* w Brazylii, otwierając kontakt do jakiegoś bardzo wpływowego generała tej republiki południowo-amerykańskiej.

Podobno przed wojną działał w przemyśle na Śląsku (z którego pochodził), dokładnie mówiąc we Wspólnocie Interesów. Był też podobno przedstawicielem w latach trzydziestych Mercedes Benza i dlatego ta koneksja „zagrała” właśnie na terenie Brazylii. Przekonywano mnie też, że był czynny w wielkim przedsiębiorstwie Robinsona eksportującym przed wojną polskie bekony do Wielkiej Brytanii i USA. Być może wszyscy mają

rację, bo roznosiła go energia i działał na kilku frontach jednocześnie.

Widziałem Jurzykowskiego raz jeden, w październiku 1963 roku. Lecieliśmy tym samym Varigiem z Nowego Jorku do Rio de Janeiro. Mój sąsiad, dziennikarz amerykański *New York Times'a*, Rossiter, wskazał mi go.

Stwierdziłem wówczas, że był bardzo podobny do mego znajomego z Argentyny Karola Wickenhagena, o którym mówiono że wygląda jak junkier pruski.

Pani Milena Jurzykowska była przeciwnieństwem swojego męża z którym nie miała łatwego życia. Była jego sekretarką z którą ożenił się przed wojną. Wiemy jak ludzie kalibru Jurzykowskiego traktują sekretarki-żony. Córka zamożnych aptekarzy z Bielska (według wiarygodnej wersji) pochodziła z zasymilowanej rodziny żydowskiej. Była osobą ciepłą, szczodłą i wielkiego serca. Nie zapomniała o nikim w swoim testamencie. Słynnej przed wojną gwiazdzie teatrów warszawskich zapisała 25 tysięcy dolarów.

Bielsko Biała było jednocześnie kosmopolityczne i małomiateczkowe i pani Milena do końca życia pozostała w tradycjach swojego rodzinnego miasta. Jej zasługi dla Fundacji są olbrzymie. W okresie rozgardiaszu finansowego po śmierci Alfreda Jurzykowskiego trzymała Fundację na pełnych obrotach zastrzykami pieniędzy. To ona ufundowała katedrę polonistyki na Uniwersytecie w Harvardzie donacją jednego miliona dolarów.

Moje próby nakreślenia sylwetki pani Mileny przypominały trochę rokowania ze „studentami” okupującymi ambasadę amerykańską w Teheranie. W zaleźności z kim rozmawiałem była Czeszką, Niemką, Tatarką a nawet Karaimką.

Nie żartuję. Wszyscy zgodnie podkreślali, że była kobietą mądrą, ujmującej prostoty i zdrowego rozsądku, która umiała „przejrzeć” ludzi. Ale córka aptekarza nie była stworzona emocjonalnie na żonę „kondotiera”, choć w momencie krytycznym stanęła odważnie na wysokości zadania.

Powyższe wskazuje po raz któryś do jakiego stopnia szwankuje zapis Polaków o naszych prominentach i jak nie można polegać na pamięci nawet naocznych świadków. Jest to jeszcze jeden argument na korzyść redaktora *Kultury* niezmięczenie nawołującego do zapisywania na papierze, a nie w naszym „banku pamięciowym”, zanim nie będzie za późno.

Ideą stworzenia Fundacji „zapylił” Alfreda Jurzykowskiego Rudolf Rathaus. O nim wiemy, że był b. dyplomatą, przedwojennym wicekonsulem w Chicago i Liberii, gdzie go „schował” Drymmer kiedy w prasie endeckiej rozpoczęła się nagonka na „zażydzenie” MSZ-etu pod Józefem Beckiem. W otoczeniu Ju-

rzykowskiego, który był jednocześnie światły i przykry, Rathaus odgrywał rolę conceptualisty od spraw sztuki, kultury i *public relations* swego dobroczyńcy. Działał jako ogniwo łączące Jurzykowskiego pływającego w świecie *big business'u*, ze sprawami polskimi. Będąc conceptualistą zapalał go pomysł, idea, ale samo wykonanie go nudziło.

Umiął przekonać Jurzykowskiego do idei powołania do życia fundacji noszącej jego nazwisko, będącej na wieczną rzecz państwu zapisem do kultury polskiej. Ale ponieważ szczegóły go nie interesowały, bo żył w innym świecie, nie umiał dopilnować by w statutach fundacji znalazł się paragraf zabezpieczający jej polski charakter, nagrody dla Polaków. Odszedł wkrótce po Jurzykowskim, który zmarł w 1966 roku. Ostatnie lata, kiedy walczył z nieubłaganą chorobą, był już cieniem dawnego *bon vivant*, który czarował Polonię nowojorską. Można o nim powiedzieć, że był conceptualistą kiedy można było ich policzyć na palcach obu rąk. Był to wówczas, za jego czasów, styl życia. Teraz stał się zawodem. Lepiej płatnym niż za czasów Rathausa.

Alfred Jurzykowski znalazł się w USA w pierwszych latach wojennych. Do spółki z Alfredem Schenkerem, bratem mecenas Oskara Schenkera, odtworzyli dawniej słynne torciki czekoladowe Pischingera, które okazały się bardzo dobrym interesem. Ale fortunę zrobili na plantacji krzewów kakaowych w Republice Dominikańskiej sprzedając ją z olbrzymim zyskiem. Ta transakcja doprowadziła do kolizji Jurzykowskiego z amerykańskim urzędem podatkowym co skłoniło go do szukania nowych interesów poza Stanami Zjednoczonymi.

Do ekstraklasy multimilionerów Alfred Jurzykowski zaawansował dzięki Mercedes Benzowi. Należy przypomnieć, że lata pięćdziesiąte były na Zachodzie, od Berlina aż po Alaskę i Ziemię Ognistą, okresem powstawania wielkich fortun. Drugowojenne „trzęsienie ziemi” oraz zimnowojenne koniunktury sypnęły jak z rogu obfitości szansami szybkiego dorobienia się ludziom przedsiębiorczym i z koneksjami. Kilkunastu Polaków umiało się dostać do tego „ekspresu”. Mercedes Benz w zaraniu niemieckiego cudu gospodarczego to nie to, co teraz w latach 80-tych. Przemysł NRF'u był wówczas kopciuszkiem na rynkach światowych z reputacją zaszarganą hitleryzmem, z trudną do wywabienia czarną plamą rekrutowania robotników w krajach podbitych *blitz'em*.

W kampanii zdobywania nowych rynków zagranicznych przemysłowcy niemieccy nie mogli się pokazać bez bardziej atrakcyjnej fasady. Takie okoliczności zaistniały, kiedy Mercedes Benz przewidując olbrzymi potencjał Brazylii postanowił ustanowić tam przyczółek, w pierwszej fazie montownię.

Nie można się dziwić Alfredowi Jurzykowskiemu, że wsko-
czył na ten *business*. Brazylia miała idealny klimat i scenografię.
W żadnym kraju wojenna i powojenna emigracja polska nie
doszła tak szybko do wielkich pieniędzy i wpływów jak właśnie
w Brazylii. Można by o tym napisać książkę. Niewątpliwie
rekonesans do Rio de Janeiro i Sao Paulo, gdzie prosperowało
pół przedwojennej Łodzi, musiał przekonać Jurzykowskiego, że
to jest to, że nie wolno mu przepuścić takiej okazji.

Montownia rozwinęła się w fabrykę, której akcje nabyła
niemiecka Mercedes Benz w trakcie wielkiej transakcji na kilka-
dziesiąt milionów przedinflacyjnych dolarów. Wówczas to Ru-
dolf Rathaus w obliczu tej lawiny „zielonych” zaszczepił w umy-
śle swojego przyjaciela i władcy ideę fundacji. Nie widziałem
jego memorandum w tej sprawie, ale wyobrażam sobie, że mówiło
ono o spłacie długu wdzięczności wobec Polski i Brazylii (Jurzy-
kowski zrzekł się obywatelstwa USA i stał się Brazylijczykiem),
o prestiżu międzynarodowym jaki posiadanie fundacji przysparza
i otwiera widoki na nowe wielkie interesy. Jurzykowski zaapro-
bował ten projekt i polecił Rathausowi i swemu doradcy praw-
nemu Alexis Coudertowi rozpracowanie statutu Fundacji. Ten
ostatni z kolei przekazał to swoim współpracownikom specjalizu-
jącym się w tej dziedzinie i sprawa już pozostała w ich rękach.

Czy Fundacja jest tym co sobie wyśnił Rudolf Rathaus i
uskrzydlił donacją Jurzykowski (a p. Milena pomogła utrzymać
w powietrzu kiedy zabrakło „paliwa”)? Różni ludzie różnie na
to patrzą. Nie zawsze obiektywnie. Najostrzej krytykują ci, któ-
rzy w swoim życiu nie dali pięciu dolarów na cele polonijne.

Obiekcja, którą najczęściej słyszałem odnosiła się do przyzna-
wania nagród na zasadzie „biologii” czyli w charakterze pomocy
finansowej dla potrzebujących takiego zastrzyku. W ślad za tą
ironią idzie argument, że bardziej takiej pomocy potrzebuje mło-
dy zmagający się z życiem artysta. Że większość nagrodzonych,
uczonych amerykańskich pochodzenia polskiego, są w *tax bracket*
na takim poziomie zarobkowym, że nagroda pięciu tysięcy dola-
rów nie przynosi im żadnych korzyści materialnych bo muszą ją
oddać w podatkach.

Jeśli przyjmiemy, że laur otrzymuje się za osiągnięcia a nie
jako bodziec, argument ten upada. Dyskusja na ten temat nie
mieści mi się w ramach tego artykułu. Nie wyklucza to natural-
nie ustanowienia czegoś w rodzaju „nagród zachęty” dla nowych
talentów. Postronni krytycy mają zawsze lepszego kandydata od
laureata. To już jest uniwersalne, dzieje się tak z Noblem, Puli-
tzerem, Prix Goncourt. Kto na przykład mi wytłumaczy dlaczego
Jorge Luis Borges jeszcze nie otrzymał lauru Nobla, a trafił on
na głowę poety greckiego znanego jedynie elicie?

Moja obiekcja dotyczy dyskryminacji dziennikarzy. Jest rze-
czą nie do przebaczenia, że Juliusz Mieroszewski zmarł nie
nagrodzony Jurzykowskim. Podobno dlatego został pominięty,
że nagroda dla dziennikarza upolityczniłaby Fundację?

Ale co w tym złego? Dlaczego nie? Jeśli się nagradza uczo-
nych z PRL, którzy obawiają się udzielić wywiadu, to dlaczego
nie nagradzać ludzi zdolnych i gotowych wypowiadać głośno
swoje przekonania i dźwigających na swoich barkach główny
ciężar „polskiej roboty” na uchodźstwie. Ale powyższe moje
obiekcje, które tylko zarysowuję, są w pewnym sensie *beyond*
the point, nieważkie wobec zimnych reali, w obliczu najwięk-
szej groźby, że Fundacja skapitalizowana 10-cioma milionami do-
larów ofiarowanymi przez Polaka może pewnego dnia zdecydo-
wać, że kończy program nagradzania Polaków i nic na to nie
będzie można zrobić.

To miało być głównym tematem mojej rozmowy z Alexis
Coudertem. Kilka słów o nim. Jak samo nazwisko wskazuje
jest pochodzenia francuskiego. Firma adwokacka Coudert Bro-
thers została założona w Nowym Jorku w 1854 przez trzech
synów Charles Couderta, który uciekł z więzienia, gdzie odsia-
dywał wyrok za polityczną konspirację.

W adwokaturze, gdzie antecedencje genealogiczne odgrywają
olbrzymią rolę, bo patyna przysparza prestiżu, firma na której
czele stoi Alexis Coudert zajmuje czołowe miejsce. Mieści się
na 13 piętrze w manhatańskim wieżowcu Pan Am i o jej pozycji
międzynarodowej świadczy trzypiętrowa filia na Polach Elizej-
skich w Paryżu, gdzie reprezentuje ich tak świetne nazwisko jak
Paul Clemenceau, prawnuk „tygrysa”.

Przyjemnie się rozmawia z Coudertem. To co mówi daje do
myślenia. Nie ma w jego prozie tego co Hiszpanie nazywają
frases hechas, gotowe zdania. Zachował sylwetkę francuskiego
patrycjusza i bardzo galijską, bardzo „stary świat” filozoficzną
wrozumiałość i perspektywę na wydarzenia i ludzi. Dla niego
nie ma spraw „ostatecznych”. Może jest w tym deformacja
zawodowa. Wszystkie sprawy ziemskie są *negotiable*, otwarte na
„negocjacje”. Nie statystuje w Fundacji. Cechuje go ciekawość
— *inquiétude d'esprit* — która każe mu się zajmować sprawami
Fundacji *beyond the call of duty*, poza ścisłymi wymaganiami
funkcji prezesa.

Przyjął mnie w swoim gabinecie z wybicciem godziny na
rendez-vous. Zacząłem pytaniem z tych tak zwanych zasadniczych.
Jak sobie wyobraża działalność Fundacji w latach osiemdziesią-
tych, których próg właśnie przekroczyliśmy.

Coudert rozjaśnia się swoim bardzo charakterystycznym
uśmiechem, na który składa się sceptycyzm i melancholia. Mówi

powoli nie dlatego, że waży każde słowo, bo nie szuka ich, ale dlatego że taki jest jego styl. — *Nigdy nie byłem skory do przepowiadania przyszłości. Nie jestem zwolennikiem planowania na daleką metę. Nie wiem jak odpowiedzieć. To jest zagadnienie nad którym bardzo medytuję.*

Przyszłość takiej instytucji jak Fundacja zależy od tych, którzy nią kierują i w tej chwili (w uśmiechu przeważa melancholia) wszyscy członkowie zarządu z wyjątkiem dwóch córek Alfreda Jurzykowskiego są osobami posuniętymi w latach i po pewnym czasie już ich nie będzie. Tak, że za jakieś trzy do pięciu lat obie panny (*girls*) będą rządziły Fundacją, a co one będą chciały z niej zrobić, trudno mi w tej chwili przewidzieć.

Jak widzimy Alexis Coudert nie zrobił uniku. Mówi z filozoficzną szczerością o problemie, który wraca za każdym razem w lutym kiedy Fundacja ogłasza laureatów. Córki Alfreda Jurzykowskiego, Milena Krystyna i Jolanta — według pesymistów — demonstracyjnie świecą nieobecnością na dorocznych uroczystościach nadawania nagród. Na jedenaście lat raz je widziałem. Cała sala zapięta na ostatni guzik, a one w *blue džinsach*. Żeby utrzyć nam polskiego nosa. *Vox populi* twierdzi że nie interesują się sprawami polskimi. Mają inne *inquietudes*. Raczej przeznaczająby fundusze na cele praktyczne, domowoamerykańskie jak szkoły w gettach murzyńskich, lub Trzeciego Świata — na przykład program karmienia osesków w Ugandzie lub Gwinei Ekwatorialnej.

Coudert mówi o tym z intonacją melancholii człowieka, który jest „z powrotem” i „widział”. Nie uważa, że jest to problem zamknięty, nieodwracalny. Ale w tej chwili tak wygląda. Należy do fenomenów znanych w Stanach Zjednoczonych. Zgodnie z tym fenomenem, pierwsze pokolenie wyrosłe już na ziemi amerykańskiej odwraca się od kraju swoich rodziców. Im bardziej rodzice się gniewają, tym bardziej dzieci się odwracają. Dzieje się to nie tylko wśród Polaków, ale też wśród Włochów, Greków, Hiszpanów.

Ale Alexis Coudert widzi światło na końcu tunelu. Oповіда mi o młodym prawniku polskiego pochodzenia pracującym w jego firmie, w którym nagle rozbudziły się polskie geny. Podchodząc do okna, z którego widać Manhattan w całej swej wielkomiejskiej świetności, mówi że nie należy sprawy przesądzać z góry, być na zapas pesymistycznym. Ale jednocześnie przyznaje, że w tej chwili dla obu córek Alfreda Jurzykowskiego kultura polska, jej dorobek i ludzie, jest sprawą obojętną i jak do niej podejść kiedy jego nie będzie *around* trudno mu przewidzieć.

Chcę wiedzieć czy teoretycznie jest rzeczą możliwą, że pewnego dnia Polski Instytut Naukowy otrzyma nakaz eksmisji

z pałacyku na 66 ulicy, bo znajdzie się lokator bardziej odpowiadający zainteresowaniom zarządu.

Alexis Coudert przyznaje, że teoretycznie jest to absolutnie możliwe, ale nie wierzy by do tego doszło.

W tym punkcie naszej rozmowy formułuję pytanie, które często słyszałem w żalach rodaków zaniepokojonych przyszłością Fundacji. Pytam się Couderta dlaczego nie wprowadzi do zarządu Fundacji kogoś z młodszego pokolenia polskiego na odsiecz jemu i dwu polskim członkom tego ciała, pani Karin Falenckiej i doktorowi Pyce, który był lekarzem Alfreda Jurzykowskiego.

Mój rozmówca odpowiada mi, że myślał o tym niejednokrotnie ale tego nie zrobił, bo według jego obliczeń nie udałooby mu się. Nie może liczyć na wystarczającą ilość głosów. Z taką propozycją znalazłby się w mniejszości. W takiej sytuacji wskazane jest postępować ostrożnie, próbować to co jest możliwe, a nie to co jest niemożliwe.

Alexis Coudert tego nie mówi, ale wiem, że kluczowy głos w siedmioosobowym zarządzie ma wiceprezes i skarbnik, dr Walter A. L. Thompson, a ten podziela zainteresowania Jolanty i Mileny Krystyny.

Czy jest jeszcze jakiś szczegół potrzebny mi do uzupełnienia panoramy?

Jak to się stało, że polskość nie została wpisana do statutu Fundacji?

W relacji Alexis Couderta brzmi to prosto i logicznie. Rudolf Rathaus był conceptualistą, a Alfred Jurzykowski nie wiedział dobrze czego chciał, zadanie więc powierzyli adwokatowi, którzy sformułowali statut według fundacyjnego szymła zakreślając szeroko prawne ramy.

Zegnamy się do „następnorocznego Jurzykowskiego”.

Zdzisław B A U

Książki

Wprowadzenie w teokrację

Kilka tygodni temu znajomy Irańczyk przywiózł mi z Teheranu książeczkę ayatullaha Chomejniego pt. *Hokumat-e eslami* („Muzułmański system rządzenia”), a ponieważ tak się składa, że umiem po persku, przeczytałem ją dość dokładnie z zamiarem omówienia jej w *Kulturze*. Nie jest to dzieło fascynujące samo przez się, ale daje dość dobry obraz umysłowości jej autora i — jak przypuszczam — sporej części radykalnego kleru szyickiego w Iranie. Ta ponad 180-stronicowa broszura jest zbiorem wykładów-kazań Chomejniego z okresu jego emigracji (jako datę publikacji na stronie tytułowej podano rok 1971, ale mój egzemplarz jest wyraźnie świeżym przedrukiem z któregoś z nielegalnych wydań sprzed rewolucji); audytorium, do którego były skierowane, to młodsze pokolenie irańskich duchownych; tematem całości jest teologiczny wywód, uzasadniający prawo i wręcz obowiązek przejęcia władzy politycznej przez *faqih*ów, tzn. znawców muzułmańskiego prawa religijnego, opartego na Koranie i *hadith*ach, czyli przekazanych przez tradycję wypowiedziach Proroka i szyickich imamów.

Dla zrozumienia książeczki Chomejniego i jej kontekstu społecznego konieczna jest pewna znajomość podziałów wyznaniowych w Islamie i niektórych faktów z historii Persji. Ponieważ do niedawna były to sprawy mało ciekawe dla szerokiej publiczności, nie od rzeczy będzie przypomnienie ich tutaj, z konieczności w wielkim skrócie.

„Islam” jest arabskim słowem, oznaczającym dosłownie: „podanie się (woli bożej)”. Określenia „Islam” używa się na oznaczenie religii, opartej na objawionym ustami proroka Muhammada Koranie. Za początek Islamu przyjmuje się rok 622 po Chr., kiedy to nie uznany w swej rodzinnej Mekce prorok przeniósł się wraz z grupką wyznawców do Medyny — po tym „wyjściu” (*hidżra*) liczba wyznawców zaczęła szybko rosnąć, Islam drogą perswazji i przemocy w ciągu kilku lat ogarnął

wszystkich Arabów, a w następnych dziesięcioleciach — poprzez podboje — objął nieomal połowę naówczas znanego świata. Islam w sensie muzułmańskim nie oznacza niestosowania przemocy, chodzi tu raczej o określony „ład społeczny” i to na nasz obecny gust ład dość totalitarny. Islam od samych swych początków był teokracją i Prorok, a później jego następcy (to właśnie oznacza arabskie słowo *khalifa* — „kalif”) uważani byli za władców zarówno duchownych jak i świeckich. Z muzułmańskiego punktu widzenia podział taki nie ma zresztą sensu, ponieważ w zasadzie wszystko w życiu podlega nakazom (*ihkam*) religii.

Takie też stanowisko, wywodzące się prosto z VII-go wieku, zajmuje w omawianej tu książeczce Chomejni; na str. 8 i 9 czytamy:

„... Bóg Najdobrotliwszy i Najwyższy za pośrednictwem miłościwego Proroka — niechaj go Allah błogosławi — zesłał (na świat) prawa, których zakres wprawia człowieka w zdumienie. (Bóg) dał prawa i właściwy sposób postępowania we wszystkich sprawach. Ustanowił prawo dla człowieka od chwili, zanim jeszcze zawiąże się jako embrion aż poza moment, kiedy złoży go do grobu. I tak jak istnieje prawo określające obowiązki religijne jednostki, tak samo istnieją prawa i reguły postępowania w sprawach gospodarczych i politycznych. Prawa Islamu są prawem obowiązującym w każdym czasie, doskonałym i powszechnym. Książki, które w ciągu dziejów napisano na poszczególne tematy z najrozmaitszych dziedzin prawa, poczynając od nakazów w dziedzinie sądownictwa, handlu, zakresu kar i roszczeń aż po warunki zawierania pokoju i wypowiedzania wojny i międzynarodowe prawa zbiorowe i indywidualne — wszystko to jest jedynie ułamkiem nakazów i reguł Islamu. Nie ma takiej dziedziny życia, dla której Islam nie posiadałby reguły i nakazu.

Rzeczywistość jest nieco odmienna od tego pasażu, w którym jedna tylko rzecz jest wyraźna: zakres apetytu na władzę tych, którzy owym Prawem dysponują. W istocie bowiem same jego podstawy są dość nikłe: na ok. 6.000 fraz, jakie liczy Koran, tylko 200 ma charakter ściśle prawny; reszta tego poetycko-apokaliptycznego utworu składa się z ogólnikowych wezwań do posłuszeństwa Bogu i aluzji do legend biblijnych. Czego nie ma w Koranie, (teoretycznie) uzupełniają *hadith*y o wątpliwej autentyczności, a za to mało ustępujące Koranowi co do mglistości. W tej sytuacji rzeczywistym źródłem nakazów, zakazów i konkretnych zastosowań Islamu są interpretatorzy-fachowcy, czyli ludzie niezbyt precyzyjnie określani jako kler muzułmański. W zasadzie w Islamie nie ma kapłanów, a jedyną zwierzchnią funkcją religijną jest przewodniczenie modlitwie, co teoretycznie może robić dowolny wierny. W praktyce jednak wcześniej już powstała warstwa specjalistów od teologii, która stała się pośrednikiem pomiędzy postulowanym ideałem religijnym a życiem praktycznym. Bardzo wcześniej też wyłoniły się różnice interpretacyjne, które dały początek wielości szkół czy wręcz herezji muzułmańskich, choć tu granica jest mniej ostra niż np. w

chrześcijaństwie z uwagi na mniejszą ilość skodyfikowanych dogmatów. Można by zaryzykować twierdzenie, że Islam zawdzięcza swą siłę właśnie swej mglistości i niedookreśloności teologicznej, połączonej z prostotą rytuału na co dzień: to połączenie pozwoliło na masowy nabór wyznawców, a zarazem zapobiegło wytworzeniu się zbyt daleko sięgających różnic w doktrynie. Różnice takie jednak istnieją i najpoważniejszą z nich jest podział na Islam sunnicki i szyicki.

Podział ten sięga samych początków Islamu i pierwotnie związany był z kwestią sukcesji politycznej, ale w późniejszych wiekach uległ daleko idącej sublimacji teologicznej. Po śmierci Muhammada w 632 roku panowało kolejno czterech jego bliskich współpracowników i przyjaciół; z tej racji ich tytułu do władzy nie kwestionowano. Sytuacja zmieniła się jednak już za panowania czwartego z nich, Alego, który był poza wszystkim zięciem Proroka — w związku z rozszerzaniem się Islamu ośrodków władzy politycznej przybyło i pojawili się pretendenci do władzy. Po śmierci Alego w 661 roku (został zamordowany) faktyczna władza dostała się w ręce muzułmańskiego *strongman'a* Muawiji, który przeniósł stolicę z Medyny do Damaszku i założył dynastię (Ommajadów); grupa stronników (po arabsku: *szii'a*) Alego i jego synów, Hassana i Hussejna, przegrała politycznie. Próba „marszu na Damaszek” Hussejna skończyła się dla niego i towarzyszących mu ludzi fatalnie: otoczeni pod Kerbelą w Iraku przez wojska Jazida (następcy Muawiji) zostali wybici niemal do nogi; działo się to 10 października 680 roku, w dniu muzułmańskiego święta *aszura* — rocznica tego wydarzenia (obliczana według księżycowego kalendarza muzułmańskiego, a więc wędrująca po całym roku słonecznym) obchodzona jest do dziś przez szyitów w sposób przypominający obchody związane z Wielkim Tygodniem i śmiercią Chrystusa; tradycyjny teatr perski polega właśnie na odgrywaniu scen z męczeństwa Hussejna i przypomina chrześcijańskie misteria pasyjne.

Przegrana polityczna stała się początkiem ideologii. Szyitów można przyrównać do trockistów: stali się w mniemaniu własnym i wielu niezadowolonych z rzeczywistego biegu rzeczy w Islamie nosicielami „prawdziwej wiary”, kwestionującymi legitymizm władzy kalifów i ortodoksję wyznawców oficjalnej interpretacji doktryny, zwanej *sunna* („prawo, tradycja; to, co legalne i przyjęte”). Znalazło to wyraz nawet w ich teologii: stworzyli doktrynę imamatu (arabskie *imam* znaczy „przywódca, kierownik duchowy”), to jest mistycznej, prosto od Boga pochodzącej władzy duchowej, kwalifikującej jej nosiciela na absolutnego władcę i prawodawcę, a przenoszącej się jak gdyby genetycznie. Pierwszym imamem był naturalnie Muhammad, następnym Ali, później Hassan, Hussejn i jego potomkowie, których imiona, szczegóły biograficzne i wypowiedzi przechowuje tradycja; dwunasty imam (również Muhammad) nie pozostawił potomstwa, a sam w niejasnych okolicznościach zaginął w podziemiach meczetu w Samarra w Iraku w 878 roku; według szyitów uznających tę kolej-

ność imamatu (istnieje też odłam, przyjmujący tylko siedmiu imamów) ostatni imam nie zginął, tylko „odszedł w ukrycie” i pojawi się jako *mahdi* tuż przed końcem świata dla zaprowadzenia krótkiego ale definitywnego Królestwa Bożego na ziemi. Okres *ghaybat* — „ukrycia” — jest swojego rodzaju rozproszeniem autorytetu Islamu: kalifowie po Alim byli w oczach szyitów zawsze samozwańcami, a od czasu zniesienia oficjalnie przez Kemal Paszę kalifatu w 1925 roku tym bardziej nie ma mowy o żadnej „głowie” muzułmańskiej zbiorowości.

Ten właśnie punkt interesuje szczególnie Chomejnigo. Jego książka, która i dziś może być uznana za jego *credo*, oparta jest na następującym rozumowaniu: Islam jest prawem, ale prawo to nie tylko litera, lecz przede wszystkim realizacja, wcielanie w życie; dopóki istnieli na ziemi imamowie, ich rzeczą i obowiązkiem było wcielanie Islamu w życie, obecnie jednak ten uciążliwy przywilej (nasz ayatullah wielokrotnie zastrzega się, że nie chodzi tu o władzę jako taką, lecz o środek do realizacji Prawa) przypadł wykształconym w prawie i „sprawiedliwym” (wróć jeszcze do tego pojęcia) teologom. W praktyce oznacza to szczyty hierarchii szyickiej, do której należą *ayat-ul-lah'owie*. (W tej chwili istnieje ok. tysiąc szyickich duchownych, którym przysługuje ten teologiczno-grzecznościowy tytuł (dosłownie „znak Allaha”), sugerujący, że jego nosiciel jest pełnoprawnym interpretatorem bożych intencji). W terminach politycznych i w sytuacji perskiej chodzi tu w istocie o rewindykację pozycji kleru, jaką miał on w Persji do początków XX-go wieku i nawet dłużej i która została drastycznie zredukowana przez Reżę Chana (szaha od 1925 roku).

Persja (oficjalnie przemianowana w 1935 roku na „Iran” dla podkreślenia ciągłości historycznej i narodowej, sięgającej jeszcze imperium Achemenidów w starożytności — pociągnięcie takie trochę, jakby zmienić nazwę „Deutschland” na „Germania”) nie zawsze była szyicka; od podboju przez Arabów w VII-mym wieku aż do czasów dobrze po Tamerlanie była przeważająco sunnicka, choć na jej terenie znajdowały się tu i ówdzie grupy i sekty szyitów (*nota bene* sławni Assassyni byli sektą szyicką); jedna z takich grup zapoczątkowała dynastię (Safawidów) w początku XVI-go wieku i od tego czasu szyityzm stał się rodzajem religii państwowej (włącznie z okresowym prześladowaniem sunnitów). Safawidzi panowali do początków XVIII wieku, tak że szyityzm miał czas zapuścić mocne korzenie, obejmując też duże dziedziny życia praktycznego (szkolnictwo, sądownictwo, fundacje religijne, procedura cywilna); rola kleru przypomina w tym okresie funkcje Kościoła w średniowiecznej Europie. Stan ten utrwał się jeszcze w burzliwym wieku XVIII-tym (inwazja Afganów, panowanie Nadir Szaha — rodzaj perskiego Napoleona — i chaos walk o władzę pod koniec stulecia), kiedy to organizacja „kościelna” Islamu stanowiła w Persji jedyny trwalszy i jako tako funkcjonujący element życia publicznego. Ten stan rzeczy przejęła panująca przez cały wiek XIX turkmeńska z pochodzenia

dynastia Kadżarów. Persja pod ich rządami to *mutatis mutandis* Polska w okresie saskim: upadek gospodarczy i polityczny, korupcja, nepotyzm, słabość militarna i rosnąca zależność od obcych mocarstw (w perskim wypadku Rosji i Anglii); *mutandum*, które tu jeszcze należy uwzględnić i które pogarszało sytuację, to brak tradycji demokratycznej (choćby ograniczonej do jednej warstwy) i absolutny system rządów. W tej sytuacji duchowieństwo zachowywało swój status siły rządzącej w sprawach codziennych i na co dzień, ale też dzięki temu — w miarę rosnącej polaryzacji na skorumpowane warstwy najwyższe i dwór z jednej strony, a resztę narodu z drugiej — czuło się bardziej związane z większością, dzieląc z nią uczucia (urazonej dumy narodowej i wynikającej stąd ksenofobii) i aspiracje (ograniczenia nominalnie absolutnej władzy szaha, odbudowy państwa i wydobycia się z niżu cywilizacyjnego). Aspiracje te wyrażało wówczas jedno słowo: *maszrute* (konstytucja) i duchowieństwo odegrało w jej uzyskaniu (w 1907 roku, po dłuższym okresie wrzenia, strajków i manifestacji) podobną rolę — oparcia i częściowego organizatora — jak później przy obaleniu Mohammeda Pahlavi. Konstytucja i *madżles* (parlament) niewiele poprawiły rzeczywistą sytuację kraju, który był w czasie pierwszej wojny światowej praktycznie okupowany przez Rosjan i Anglików, a po ich wycofaniu się popadł w anarchię, zakończoną w 1921 roku wojskowym zamachem Rezy Chana — dowódcy zafundowanej niegdyś Persji przez Rosję brygady kozackiej, w owym czasie jedynej sprawnej jednostki wojskowej w tym kraju. Reza, który początkowo objął tylko ministerstwo spraw wojskowych, wprowadził *de facto* dyktaturę od początku, a reszta — kolejno: wyjazd kadżarskiego szaha do Paryża, zniesienie monarchii, kilkumiesięczna republika i „uchwała” (jednogłośnie oczywiście) parlamentu, czyniąca go szahem — to już była prosta konsekwencja. Reza Szah był jednym z wariantów powtarzającego się wówczas w wielu krajach (Turcja, Włochy, Polska) wzoru: nacjonalizm *plus* „twarda ręka”. Nie tu miejsce, by oceniać jego sylwetkę (w skrócie: gdzieś między Atatürkiem a Mussolinim, z lekką przymieszką Hitlera), ale dla muzułmańskich duchownych był to bicz boży. Reza zdawał sobie sprawę, że kombinacja Islamu i cywilizacji zachodniej jest prawie nie do pomyślenia, a zdecydował się na wzór zachodni. Nie był tak radykalny, jak Kemal, ale sprawił, że Islam zaczął tracić grunt pod nogami: zaczęto wprowadzać ustawodawstwo cywilne, popierano laicyzację, zakazano kobietom noszenia czadorów itp. Za panowania syna Rezy, Mohammeda (Reza został zmuszony do abdykacji przez Aliantów w 1941 z uwagi na jego wyraźnie proniemieckie stanowisko) politykę tę prowadzono nadal, z nieco mniejszą drastycznością, proporcjonalnie do ogólnego osłabienia tonusu dyktatorskiego tych rządów (Mohammad po Reza Szahu to jak Chruszczow po Stalinie). W ciągu ostatnich 10-20 lat sytuacja sprzed upadku dynastii kadżarskiej zaczęła się powtarzać: wyizolowany dwór i skorumpowana *wierchuszka* z jednej strony, niezadowolona ludność *plus* bardzo tym

razem sfrustrowany kler z drugiej. Niezadowolenie ludności miało powody materialne (niedołężna polityka rolna, nierównomierność inwestycji, inflacja i ostre kontrasty wywołane bonanżą naftową), polityczne (dyktatura, penetracja policyjna, pseudopartie i pseudo-parlament) i psychologiczne (szybki wzrost aspiracji „mocarstwowych” przy poczuciu, że się jest i długo będzie Trzecim Światem). Na tle tego wszystkiego „powrót do korzeni”, czyli wyidealizowanej, patriarchalnej zbiorowości muzułmańskiej zaczął wydawać się nęcący nawet warstwowo wykształconym, nie mówiąc już o tradycyjnie konserwatywnej klasie średniej: kupcach i rzemieślnikach, tworzących „bazar”, czyli grzybnię ekonomiczną miast perskich. Duchowieństwo szyckie reprezentowało dla wszystkich tych ludzi alternatywę: system wypróbowany już w przeszłości, własny, z tradycją, którą można przeciwstawiać aroganckiej zagranicy, a także dający szlachetne pozory mniej szlachetnym uczuciom: strachowi przed nowym, zazdrości i ksenofobii. I tu wracamy do książki Chomejniego.

W istocie proponuje ona niezawołowaną niczym dyktaturę, w której prawa i nakazy Islamu egzekwowane będą „sprawiedliwie”, tzn. bezwzględnie. Passus na stronie 95-96 nie pozostawia co do tego żadnej wątpliwości: „[Czwarty kalif] Ali, po obcięciu dwum złodziejom rąk, litował się nad nimi, opatrzył i wsparł jałmużną... To jest sens sprawiedliwości. ... Gdy Prorok — niechaj go Allah błogostawi! — mówił 'zajmijcie taką-a-taką miejscowość', albo 'spalcie taki-a-taki dom', albo 'wytnijcie w pień taki-a-taki szcep, bo ludzie ci są wrogami pokoju i Islamu' — wydawał sprawiedliwe rozkazy. Gdyby ich nie wydał, byłoby to niesprawiedliwością, gdyż byłoby szkodliwe dla Islamu, muzułmanów i rodzaju ludzkiego. ... Kto sprawuje władzę nad muzułmanami i ogółem ludzkim musi brać pod uwagę dobro ogółu i abstrahować od wypadków indywidualnych i własnych uczuć. ... dlatego to Islam wytepił wielu, dla dobra ogółu i ludzkości, bo byli szkodliwi i trujący...”

To na użytek wewnętrzny. Fala egzekucji w ubiegłym roku wykazała, że nie były to czcze słowa. I znalazły zwolenników. Na użytek zewnętrzny (i dla wytłumaczenia wszystkich klęsk i niepowodzeń) tekst ma bardziej nowoczesne słowo: *estemargari* (imperializm). Zdaniem ayatullaha od przeszło 300 lat istnieje rodzaj spisku imperialistycznego, który dla zapewnienia uczestnikom konspiracji korzyści materialnych i politycznych zajmuje się przede wszystkim zwalczaniem Islamu, a szczególnie jego aspiracji politycznych. Tak jak cudzoziemcy zrobili dokładne mapy wszystkich zasobów Iranu (celem ich zrabowania) „tak samo dokonali oceny naszych zasobów duchowych i doszli do wniosku, że tylko Islam stoi na przeszkodzie (tym planom)” (str. 170). Ich głównymi agentami są Żydzi (którzy „na terenach gdzie mają wpływ wprowadzili zmiany w drukowanych tekstach Koranu” [str. 153]), orientaliści (hm) i misjonarze (którzy próbują pozyskać młodzież „nie żeby ją nawrócić [na swą wiarę], lecz żeby ją zdeprawować i uczynić z niej ateistów — to

imperialistom wystarczy", tamże). Remedium? Rządy *faqihów*, oczywiście.

Uderzającą w książce rzeczą — poza prymitywizmem światopoglądowym i wyraźnie demagogiczną argumentacją — jest tonacja lewicowo-antyzachodnia. Związek Sowiecki w kontekście negatywnym wymieniony jest tylko raz i to *en passant* (razem z Anglią i Ameryką); gdy mowa o Rosji, to z podkreśleniem „carskiej”; o komunizmie ani słowa. Strach? „Wrogowie naszych wrogów są naszymi przyjaciółmi”? Chęć niedrażnienia perskich lewicowców? Zapewne wszystko to razem — ale w rezultacie ta książka sprzed dziewięciu lat dziwnie zbiega się z dzisiejszą sytuacją, kiedy to Bogu ducha winien personel ambasady amerykańskiej w Teheranie siedzi już czwarty miesiąc pod strażą „studentów”, a tymczasem towarzysze sowieccy spokojnie polewają muzułmańskich Afganów iperytem i napalmem, nie wywołując tym jakiegoś szczególnego oburzenia „sprawiedliwego imama”. Podobno — wobec coraz większego chaosu gospodarczego i ogólnego w Iranie — coraz częściej tam rozlegają się zrezygnowane słowa: *szah raft, imam amad* — „Odszedł szah, przyszedł imam”. Obawiać się można, że poprzekadło to ma dalszy ciąg: *wa szaurawi negah darad* — „a Związek Sowiecki czuwa”.

M. BROŃSKI

Zamordowana książka

Oswoił się z egzekucjami książek dokonywanymi przez cenzurę w systemie totalitarnym. W Polsce Ludowej gilotyna cenzorskiego noża spada tak często, że uśmiercanie manuskryptów stało się zjawiskiem powszednim. Ale czy słyszał kto o cenzurze w Stanach Zjednoczonych? O schowaniu w magazynie całego nakładu przez samego wydawcę?

W Ameryce cenzurę zastępuje tzw. *consensus of opinion*, co można przetłumaczyć jako nacisk opinii przyjętej powszechnie i milcząco jako pogląd obowiązujący. Pewien publicysta amerykański polsko-żydowskiego pochodzenia, ciesząc się tu nie małym powodzeniem, zwinął przed dwoma laty manatki i wrócił do Europy. Twierdził, że chce pisać tak jak myśli a nie tak jak się tego domaga redaktor, który idzie za panującą w danej chwili modą polityczną.

Już od dłuższego czasu Polska i Polacy mają w USA zdecydowanie złą prasę. *Consensus of opinion* jest przeciwko nam.

Za przykład posłużyć mogą losy książki prof. Juliana Kulskiego *Dying, we live. The personal chronicle of a young freedom fighter in Warsaw (1939-1945)*, wydanej przez jedną z czołowych firm wydawniczych Holt, Rinehart and Winston w Nowym Jorku. Ta sama firma wydała również w ub. roku głośny *best-seller Sophie's choice*.

Julian Kulski jest synem prezydenta miasta Warszawy w latach okupacji i siostrzeńcem Norberta Barlickiego, znanego działacza PPS, zamężonego w Oświęcimiu. Miał lat dziesięć i pół, gdy w dniu 24 sierpnia 1939 roku zaczął prowadzić dziecinny dzienniczek. Jako trzynastoletni chłopiec został zaprzysiężony w ZWZ i skończył podziemną podchorążówkę. W 1943 roku był aresztowany przez gestapo, przesiedział się na Pawiaku i na Szucha. W Powstaniu walczył w dziewiętej kompanii na Żoliborzu. Książkę podżyrowuje wstęp jego ówczesnego dowódcy „Szeligi” — M. S. Morawskiego. Po Powstaniu dostał się do niewoli, a z obozu jenieckiego trafił do Anglii. W chwili zakończenia wojny miał lat szesnaście. Pod wpływem przeżyć wojennych, oderwania od kraju i rodziny popadł w depresję. Lekarz zalecił jako terapię przelanie wszystkich przeżyć na papier, odłożenie rękopisu na samo dno szuflady i uwolnienie się tym sposobem od przeszłości. Kanwą tych wspomnień pisanych bezpośrednio po wojnie stały się codzienne zapiski prowadzone z krótkimi przerwami przez pięć lat wojny. W ten sposób powstała osobista kronika wojny, okupacji i Powstania, nie przeznaczona do publikacji. Autor zapomniał o niej, wylądował w Stanach Zjednoczonych, o własnych siłach skończył studia, wszedł w środowisko amerykańskie, ożenił się z Amerykanką ormiańskiego pochodzenia, został architektem, doradcą ONZ i profesorem na uniwersytecie w Waszyngtonie.

Jak twierdzi Kulski w epilogu do książki, pod wpływem wizyty w kraju, spotkań z pozostałymi przy życiu kolegami i pielgrzymki na groby tych, którzy zginęli nagle odżyło w nim wszystko o czym usiłował zapomnieć. Po powrocie do Stanów wydobył z szuflady powojenny rękopis i zdecydował się wydać go po angielsku. Przed oddaniem książki wydawcy — dawną wersję uzupełnił i zmienił. W ten sposób doszło do wydania książki, która powstała w trzech etapach, zachowując formę dziennika pisanego przez młodego chłopca. Wspomnień Kulskiego nie da się więc porównać z dziennikiem Anny Frank, który jest autentycznym odbiciem przeżyć dziecka. Wprowadzenie do dziennika licznych cytat, jak choćby wyjątku z przemówienia Starzyńskiego, które nie mogło być znane dziesięcioletniemu chłopcu, dało być może pełniejszy obraz wojennej rzeczywistości, ale odebrało dziennikowi autentyczność. Pozostała jednak wspaniale wydana polska kronika wojny i okupacji, która przez pryzmat osobistych przeżyć ukazuje czytelnikowi amerykańskiemu w sposób przejmujący, bo w słowach i w formie niezwykle prostej, polski dramat ostatniej wojny. Książka ilustrowana jest 168 zdjęciami, często nieznanymi, a wstrząsającymi

w swej wymowie. Liczne szkice i plany ułatwiają czytelnikowi śledzenie za opisywanymi wydarzeniami.

Bardzo dużo miejsca poświęcił Kulski martyrologii Żydów. Spora ilość ilustracji oddaje życie i walkę w getcie oraz okrucieństwa dokonywane przez okupanta na Żydach. Jest to zrozumiałe, zważywszy, że ojciec autora z tytułu swoich funkcji prezydenta Warszawy pozostawał w nieustannym kontakcie z dr Czerniakowem i nie tylko śledził tragedię getta warszawskiego, ale usiłował pomagać przekazując informacje i ostrzeżenia przed planami i zarządzeniami okupanta.

Książka Kulskiego, odpowiednio rozreklamowana przez wydawcę, który włożył w nią, jak twierdzi autor, kilkadziesiąt tysięcy dolarów, mogła stać się dla przeciętnego czytelnika amerykańskiego źródłem wiedzy o polskich losach wojennych. Mogła, ale się nie stała. Dlaczego?

Zanim się książka w Ameryce znajdzie na półkach księgarskich, ukazuje się zazwyczaj w tygodniku wydawców i księgarzy *The Publisher* krótka zapowiadająca recenzja, która wywiera poważny wpływ na zamówienia księgarzy. Dwudziestokilkowerszowa recenzja książki Kulskiego zawierała następujące cztery zdania, które przesądziły o jej losach.

„Obserwacje (Kulskiego) i oburzenie, z jakim pisze o prześladowaniu Żydów są mało wiarogodne, zważywszy, że Kulskiego, Aryjczyka (gentile), nie dziwi milczenie Kościoła, że nie zastanawia się on nad powiązaniem swego ojca, który przez cały czas był burmistrzem Warszawy. Pamięć Kulskiego jest niepokojąco selektywna. Jego opowiadanie o Powstaniu Warszawskim i jego własnym udziale w walkach porusza czytelnika. Pomija on jednak ponury temat polskiego antysemityzmu”.

Książka Kulskiego ukazała się w trzy tygodnie po tej recenzji. Ukazała się wprawdzie, lecz dla czytelników jest niewidoczna. Nie było ani jednej recenzji, ani jednego ogłoszenia. Poza artykułem o samym autorze w *Washington Post*, który Kulski zawdzięcza swoim osobistym stosunkom, nie pojawiła się o kronice *Dying, we live* żadna wzmianka. Nie było konferencji prasowej, na której wydawcy amerykańscy wprowadzają zazwyczaj każdą nową książkę na rynek. Książki *Dying, we live* nie ma w oknach wystawowych ani na półkach, gdzie pokazuje się nowości wydawnicze. Prawie cały nakład pozostał w magazynach. Wydawca, który równocześnie reprezentuje prawa autorskie, nie podjął jakichkolwiek starań o wydanie książki w Anglii i w językach obcych. W trzech większych księgarniach Nowego Jorku książki Kulskiego nie było, w czwartej była, ale schowana. Wydobyto ją dosłownie spod ludy.

Redaktor *The Publisher* odmówił ogłoszenia jakichkolwiek sprostowań. Aby zdać sobie w pełni sprawę z bezmiarów krzywdy, wyrządzonej pamięci ojca autora, wypada przypomnieć kim był zmarły przed trzema laty Juliusz Kulski. Legionista, żołnierz

Józefa Piłsudskiego, ranny w bitwie pod Kostiuchnówką. Interbowany w Benjaminowie w czasie tzw. kryzysu przysięgowego. Uczestnik wojny 1920 roku. Odznaczony Krzyżem *Virtuti Militari* i trzykrotnie Krzyżem *Walecznych*. Członek polskiej Komisji Repatriacyjnej w Moskwie, której przewodniczył Stefan Starzyński. Od chwili objęcia przez Starzyńskiego stanowiska prezydenta miasta Warszawy — jego najbliższy współpracownik i zastępca. W czasie kampanii wrześniowej organizator i dowódca obrony cywilnej stolicy. Po aresztowaniu Starzyńskiego przejmuje jego obowiązki i wszystkie związane z nimi niebezpieczeństwa. Kilkakrotnie staje się zakładnikiem w rękach Niemców. Jako Komisaryczny Prezydent miasta podlega formalnie pełnomocnikowi Szefa Dystryktu Leistowi, ale podporządkowuje się z miejsca cywilnym i wojskowym władzom Podziemia i sprawuje swoje funkcje za ich aprobatą. Utrzymuje przez cały czas okupacji najściślejszy kontakt i współpracę z Delegaturą Rządu. Z ramienia Komendy ZWZ utrzymuje z nim łączność płk Emil Kumor. Za położone w tych latach zasługi Kulski odznaczony zostaje Krzyżem *Walecznych* po raz czwarty. Mecenase Stanisław Siła-Nowicki, przemawiając nad grobem wojennego prezydenta Warszawy, w tych słowach podsumował ten rozdział jego życia:

Nie umniejszając w niczym dzieła życia wielkiego prezydenta Stefana Starzyńskiego, trzeba powiedzieć nad trumną jego następcy, że często trudniej jest dla ojczyzny żyć niż dla ojczyzny umierać. Dzieło życia Juliana Kulskiego w tych prawie pięciu latach jest zdumiewające. Kto zna tamte czasy, wie, czym był zarząd miejski m. st. Warszawy w mrocznym okresie okupacji. Wie, jaką siłę i jakie oparcie, jaką moc czerpała z tej organizacji miejskiej cała konspiracja polskiego ruchu oporu.

Losy książki prof. Juliana Kulskiego jr. są pouczającą lekcją. Stoimy wobec problemu, którego nie należy upraszczać. Książka padła ofiarą nastrojów i uprzedzeń, które noszą wszystkie socjologiczne cechy antysemityzmu z tą tylko różnicą, że kompleks nienawiści obraca się tym razem nie przeciw Żydom lecz przeciw Polakom. W istocie swej zjawisko sprowadza się do tego samego. Antysemityzm w Polsce i gdzie indziej nie jest niczym innym jak stosowaniem odpowiedzialności zbiorowej. Postępowanie czy ujemne właściwości charakteru jednostki obciążają cały naród. Nie należy wypierać się tego, że w tej sytuacji znajdowała się mniejszość żydowska w Polsce. Antysemityzm, który był w Polsce faktem niezaprzeczalnym, uderza w nas dziś rykoszetem. Fakty ocalenia kilkuset tysięcy Żydów przez Polaków, którzy gotowi byli poświęcić w obronie istoty ludzkiej życie nie tylko własne ale i najbliższych, nie podlegają generalizacji i nie są zapisywane na dobro społeczeństwa polskiego. Uznaje się tylko zasługę indywidualną. Uogólniane są natomiast fakty szantażu i wydawania Żydów w ręce gestapo przez nie liczne elementy przestępcze. Przywoitsi piszą o tym w tekście, a w odnośniku drobnym drukiem dodają, że były także wypadki

ratowania Żydów. Inni ten drugi dominujący aspekt w ogóle pomijają. Żadne społeczeństwo nie składa się z samych bohaterów, gotowych do poświęcenia życia dla bliźniego. Większość zwykłych śmiertelników, ulegając ludzkiemu instynktowi samozachowawczemu, była sterroryzowana nie tylko w Polsce ale we wszystkich krajach okupowanych. Jednakże tylko wobec Polaków podnosi się zarzut obojętności, bierności czy neutralności.

Zestawiając antysemityzm i antypolonizm nie można pominąć pewnej zasadniczej różnicy. Przeciwno antysemityzmowi występowali odważnie sami Polacy, demokratyczna i postępową część inteligencji. W obliczu kampanii antypolskiej potępiającej w czambuł cały naród polski nie zabierają głosu polscy Żydzi. Nawet ci, którzy poczuwają się do związku z polskością, nie wyłączając tych, którzy zawdzięczają Polakom życie. Jedynymi chyba tylko znanymi wyjątkami są Dr Józef Lichten, niestrudzony apostoł pojednania, i rabin Izaak Levin, profesor historii na uniwersytecie Yeshive w Nowym Jorku, który w artykułach i odczytach podkreśla rolę i zabiegi rządu polskiego w Londynie w próbach obrony Żydów i poruszenia obojętnej opinii publicznej na Zachodzie.

W każdym *county* na terenie Stanów Zjednoczonych jest co najmniej jedna biblioteka publiczna, w ośrodkach miejskich więcej. Podobno na terenie USA jest około trzystu tysięcy bibliotek. W każdej znaleźć można całą literaturę dotyczącą *holocaustu*, w przeważnej mierze przedstawiającą stosunek społeczeństwa do zagłady trzech milionów Żydów w świetle krzywdzącym i jednostronnym. Nie brak pozycji zniesławiających, opartych na fałszowaniu nie tylko faktów ale i dokumentów. Na tej lekturze, stawiającej często znak równania między hitlerowcami a narodem polskim, opiera się wiedza przeciętnego czytelnika amerykańskiego o Polsce. W czytelnicy i bibliotekach przeznaczonych dla szerokiej publiczności nie ma ani znakomitej książki W. Bartoszewskiego *Righteous Among Nations*, ani angielskiego wydania pracy K. Iranka-Osmeckiego *Kto ratuje jedno życie*. Jest to niestety przejaw nieudolności z naszej strony. Każda biblioteka ma obowiązek sprowadzenia książki, jeśli zażąda tego kilku czytelników. Droga zorganizowanej akcji można by także przełamać bojkot książki J. E. Kulskiego. Świetna praca J. Zawodnego *Nothing But Honor* również nie trafiła do tychczas do bibliotek.

Nienawiści nie da się zalać nienawiścią. Tym bardziej, że w tym starciu jesteśmy stroną o wiele słabszą. Wystrzegajmy się więc uogólnień. I po tamtej stronie są ludzie dobrej woli. Problem można rozwiązać tylko w drodze cierpliwego dialogu. Nie będzie on możliwy, jeśli będziemy wypierali się antysemityzmu, albo gorzej — kontynuowali go, dając upust emocjom, nawet zrozumiałym. CAŁEJ prawdy nie da się obronić, jeśli ukrywa się jej CZĘŚĆ. Można o prawdę skutecznie walczyć, jeśli nie będziemy wypierali się tego, co było grzechem.

Więcej niż polemika

Pod pseudonimem Petro Tereszczuk ukrywa się czołowy publicysta grupy nacjonalistycznej „banderowców”, specjalizujący się w ukraińskich problemach historycznych i w stosunkach polsko-ukraińskich. Ostatnia jego publikacja* to ostra rozprawa polemiczna z Antonim B. Szczesniakiem i Wiesławem Z. Szotą, autorami „Drogi do nikąd”. Ta obszerna praca historyczna ukazała się w 1973 roku nakładem Wydawnictwa MON w serii prac historyczno-wojskowych. Obaj autorzy ogłosili również szereg mniejszych opracowań na temat działań i walki ukraińskich formacji wojskowych na obszarach Polski. „Droga do nikąd” jest najbardziej szczegółowym opisem walk z UPA (Ukraińską Powstańczą Armią) w okresie 1945-1947 roku oraz dalszej akcji wojskowo-policyjnej władz PRL, która doprowadziła do zlikwidowania wszystkich jej komórek bojowych.

„Droga do nikąd” zawiera dziesiątki zdjęć, mapy topograficzne, rozkazy, plany operacyjne itp. Autorzy nie mogli przystąpić do przedstawienia okresu działań zbrojnych i obustronnych akcji terrorystycznych bez nakreślenia tła historyczno-politycznego, to jest zwięzłego omówienia stosunków polsko-ukraińskich w okresie międzywojennego 20-lecia. Ta część jest nie tylko zdecydowanie fałszywa, ale do tego słaba i pełna wręcz zawstydzających błędów. Ale nie o tej książce będzie mowa, a o broszurze polemicznej Tereszczuka. Nim jednak do tego przystąpimy podkreślamy, że przy wszystkich błędach „Droga do nikąd” jest pozycją ważną i trudno zrozumieć co spowodowało jej wycofanie z rynku księgarskiego wkrótce po ukazaniu się. Chyba nieścisle są przypuszczenia pewnych kół ukraińskich, że stało się to z powodu... heroizmu ukraińskich powstańców.

Tereszczuk uważa, iż Szczesniak i Szota są falsyfikatorami. Jego zdaniem stale posługują się fałszywymi danymi i na ich podstawie kreślą jeszcze bardziej zafałszowany obraz. W twierdzeniach tych obok prawdy jest sporo przesady, irytacji. Znęcanie się nad książką Tereszczuk rozpoczyna od wstępu, wskazując, iż jest niepodpisany i zastanawia się kto go napisał. Ale te rozważania są zbędne, gdyż nie ma potrzeby podpisywania wstępu do własnej książki. Zapewne Tereszczuka może razić transkrypcja nazwisk ukraińskich, które polscy autorzy oparli na transkrypcji rosyjskiej, ale to znów nie jest wielkim przestępstwem. Dalej zarzuca im, iż fałszywie rozszyfrowali pewne pseudonimy, pomieszczeni różne osoby, co jego zdaniem dowodzi igno-

* Petro Tereszczuk, *Rozdumy nad odnieniu knyzykoju — Dywowyżnyj „rebus” polskich falsyfikatoriw*; nakładem Tow. koł. wojakiw UPA — Toronto-New York, 1979, str. 134.

rancji. Mnóstwo pseudonimów podziemia (wystarczy porównać z Polakami) pozostaje nierozszyfrowanych względnie przypisanych innym osobom, gdyż po prostu nie sposób dotychczas bezspornie ustalić wielu szczegółów.

Tereszczuk kpi z autorów, wskazując na niezgodności z tak dla nich miarodajnymi i obowiązującymi źródłami jak Encyklopedia Ukraińska, wydana w Kijowie, czy z opracowaniami kilku sowieckich autorów. Ironizuje na temat twierdzenia Szczesniaka i Szoty, że bismarckowskie Niemcy „stworzyły” ukraiński ruch narodowy, że od początku był nacjonalistyczny. Tereszczuk cytuje źródła sowieckie i polskie, aby wykazać bezpodstawność tych twierdzeń, a jednocześnie poucza autorów, iż życie polityczne Ukraińców nie było i nie jest jednolite, że na długo przed nacjonalistami działały inne stronnictwa.

Zarzut falsyfikacji Tereszczuk popiera licznymi przykładami, konfrontując wywody Szczesniaka i Szoty z danymi innych autorów, w tym polskich i m.in. kilkakrotnie cytuje Ryszarda Torzeckiego. Uważa, że autorzy „Drogi do nikąd” nie wykorzystali wszystkich dostępnych im źródeł i zbyt niewolniczo oparli się na oficjalnych źródłach polskich i niektórych sowieckich. Jest wręcz niezrozumiałe — wywodzi Tereszczuk — że autorzy tak wielkiej pracy dopuścili się takiej ilości podstawowych błędów, jak np. w datach różnych poczynań politycznych, organizacyjnych i wojskowych, w personaliach czołowych działaczy; jeszcze gorzej, gdy w jednym miejscu wymieniają kilka osób, jako wybitne w partyzantce i uśmiercają je, a w innym znów powołują się na ich zeznania. Zagadkę tę Tereszczuk rozwiązuje w oparciu o sowiecką publikację i stwierdza, że byli oni po prostu sowieckimi agentami i że jeszcze dotąd żyją.

Najbardziej jaskrawymi przykładami całkowicie mylnych — albo celowo zmyślonych — informacji są — zdaniem Tereszczuka — następujące: dr Jurij Poljański, który pozostawał we Lwowie aż do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej i podczas pierwszej okupacji rosyjskiej Lwowa pracował naukowo jako geolog — w „Drodze do nikąd” występuje jako kierownik policji ukraińskiej w Krakowie w 1940 roku w Ukraińskim Centralnym Komitecie; dr Dmytro Lewickij, poseł na Sejm R.P., prezes UNDO, aresztowany we Lwowie przez NKWD i wywieziony w głąb ZSSR, zmarły w Bucharze w polskim przytułku dla starców w roku 1942 — przez autorów „Drogi do nikąd” mianowany został przewodniczącym Ukraińskiego Komitetu Narodowego w 1942 r. w Krakowie. Podobnych błędów — nieco mniejszego kalibru — przytacza mnóstwo.

Tereszczuk zdecydowanie występuje przeciwko wywodom Szczesniaka i Szoty odnośnie współpracy UPA z Niemcami, powołując się na świadectwo działaczy i dowódców tej formacji oraz przytaczając nazwiska dwóch osób skazanych przez Sąd Wojskowy na karę śmierci za nawiązanie łączności z Niemcami. Twierdzi też, że istniał rozkaz dowództwa UPA zabraniający atakowania ludności polskiej, a wzajemne rzezie były bolesnymi i

godnymi pożałowania ślepych aktami zemsty. Zdaniem jego podejmowano próby uzgodnienia platformy politycznej i działań zbrojnych z polskim podziemiem, ale nie dało to wyniku.

Tereszczuk nie omieszkął dodać, że Szczesniak i Szota zaznaczyli, że nie mieli dostępu do tajnych materiałów archiwów sowieckich, co świadczy że jako Polacy nie zasługiwali na zaufanie „starszego brata”.

Polemika Tereszczuka świadczy, iż ukraińscy nacjonaści, dawni uczestnicy partyzantki UPA, przywiązują do pracy „Droga do nikąd” dużą wagę. Jest to pierwsza i najobszerniejsza monografia historyczno-wojskowa o działaniach UPA, która ukazała się w języku polskim. Inne prace z tej dziedziny są fragmentaryczne. Natomiast literatura na ten temat w języku ukraińskim jest bądź wspomnieniowa, bądź wycinkowa, jednostronna i hagiograficzna. Szczesniak i Szota nie mogli wprawdzie wykorzystać wszystkich materiałów sowieckich, ale mieli do dyspozycji grubo więcej materiału niż autorzy ukraińscy, przebywający na emigracji. Niewątpliwie popełnili sporo błędów, na które m.in. wskazuje Tereszczuk, ale chcieli dać obraz całości. Nie udało im się to z powodu fałszywych założeń i przesłanek politycznych.

Benedykt HEYDENKORN

POLONIA 78

Materiały wielkiej konferencji polonijnej „Polonia 78 — Polonia Jutra”, która odbyła się w dniach 25-28 maja 1978 roku w Toronto, zostały opublikowane w opracowaniu pp. Marii i Stanisława Brodzkich*, którzy zresztą odegrali czołową rolę w ich przygotowaniu.

Na obszerny tom składają się sprawozdania z przebiegu obrad, zarówno plenarnych jak i poszczególnych komisji, teksty referatów, wszystkich przemówień powitalnych oraz nadesłanych pism i depech od różnych osobistości z Polski i innych krajów. Uwzględniono też przebieg dyskusji w różnych komisjach, przyjęte wnioski, uchwały itp. Dalej zostały zamieszczone sprawozdania ze wszystkich imprez, które odbyły się w związku z tą konferencją w ramach „Tygodnia Polskiego w Toronto”, sprawozdania finansowe, zestawienie wyników spontanicznej zbiórki na potrzeby Rady Polonii, imienny spis uczestników konferencji. Doskonałym uzupełnieniem są ilustracje i fotografie z przebiegu konferencji.

P. Maria Brodzka była sekretarzem generalnym konferencji, a p. Stanisław Brodzki — wiceprzewodniczącym komisji organizacyjnej, a wobec tego że obowiązek przygotowania konferencji spoczywał na Polonii Kanadyjskiej, rola autorów zwiększyła się znacznie.

Tak dokładnie opracowany tom „Polonia 78” daje pełny obraz konferencji „Polonia 78 — Polonia Jutra”, ujawnia całą akcję przygotowawczą i stronę finansową. Publikacja ta ma znaczenie przede wszystkim dokumentarne, ale jednocześnie pozwala poznać tendencje występujące w środowiskach polonijnych w różnych krajach.

B. H.

* Wyd. Kongres Polonii Kanadyjskiej, Toronto, 1979, str. 327.

Nadesłane nowości wydawnicze

WOJTYŁA (Karol, bp, arcybp, kardynał). *Aby Chrystus się nami posługiwał*. Teksty drukowane w *Tygodniku Powszechnym* i miesięczniku *Znak* przygotowała do druku Józefa Hennelewa. Str. 491 i 1 nlb. (Wyd. Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak”, Kraków, 1979; cena zł. 130).

Jan Paweł II — pierwszy rok pontyfikatu. Praca zbiorowa Polaków-parafian zamieszkających w Zatoce św. Franciszka w Kalifornii. Str. 123 i 1 nlb. (Wydanie okazyjne przez Boży Siew staraniem Rady Parafialnej Polskiej Misji św. Wojciecha w San Francisco, 1979).

W pielgrzymce do ojczyzny — Jan Paweł II w Polsce 2 czerwca - 10 czerwca 1979. Teksty wprowadzające: Janusz St. Pasierb; redakcja: Zenon Modzelewski SAC, Józef Sadzik SAC, Danuta Szumska; opracowanie graficzne: Witold Urbanowicz SAC. Str. 251 i 5 nlb. (Wyd. „Nasza Rodzina”, Paryż, 1979).

RAINA (Peter). *Stefan Kardynał Wyszyński Prymas Polski*. Tom I. Str. 578 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1979).

BRECHT (Bertolt). *Elegie bukowski i inne wiersze*. Wybór i przekład Ryszard Krynicki, ilustracje Wojciech Wołyński. Wydanie 2 poprawione. Str. 73 i 5 nlb. (powielacz). Wyd. poza cenzurą przez Witrynkę Literatów i Krytyków, Poznań, 1979).

UTRATA (Emil). *VIII-my Zjazd PZPR — Dlaczego bilans 10-lecia?* Str. 48. (Wyd. Komitet Główny P.P.S. w Niemczech, Monachium, 1979).

BUKOWIŃSKI (Władysław, ks.). *Wspomnienia z Kazachstanu*. Do druku przygotował Piotr Jegliński. (Wyd. Biblioteka Spotkań, 1979).

SULECKI (Władysław). *Praca i życie robotnika w PRL*. Trzecie przesłuchanie im. Sacharowa. Str. 18 i 2 nlb. (Wyd. Komitetu Solidarności z Wolnymi Związkowcami w Polsce, Augsburg, 1979).

ŚMIGIEL (Kazimierz, ks.). *Kościół Katolicki w tzw. Okręgu Warty 1939-45*. Str. 216 i 2 nlb. (Wyd. Katolicki Uniwersytet Lubelski, Rozprawa habilitacyjna — Wydział Teologiczny, Lublin, 1979; cena zł. 120).

KALINOWSKI (Józef — O. Rafał od św. Józefa OCD). *Listy*. Tom I, cz. I 1856-1872, str. 443 i 1 nlb.; tom I, cz. II 1873-1877, str. 377 i 1 nlb. Seria: Materiały źródłowe do dziejów Kościoła w Polsce tom 8 i 9. Wydał Czesław Gil OCD. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Instytut Geografii Historycznej Kościoła w Polsce, Lublin, 1978; cena cz. I/II zł. 420).

KŁOCZKOWSKI (Jan Andrzej OP). *Człowiek — Bogiem człowieka*. Filozoficzny kontekst rozumienia religii w „Istocie chrześcijaństwa” Ludwika Feuerbacha. Str. 191 i 1 nlb. (Wyd. Katolicki Uniwersytet Lubelski, rozprawa doktorska — Wydział Filozofii Chrześcijańskiej, Lublin, 1979; cena zł. 150).

MADAJCZYK (Czesław). *Kultura europejska a faszyzm*. Szkice. Str. 265 i 1 nlb. (Wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, wydawnictwo PAN — seria Wszelchnicy PAN „Najnowsze osiągnięcia nauki”, Wrocław - Warszawa - Kraków, 1979; cena zł. 55).

LINDSAY (Vachel). *Wiersze wybrane*. Wydanie rozszerzone. Przełożył z angielskiego i opracował Robert Stiller. Str. 188 i 8 nlb. (Wyd. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1979; cena zł. 35).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

29-2-80

Nowe wydawnictwa niecenzurowane: w Poznaniu powstało wydawnictwo pod nazwą „Witryna Literatów i Krytyków” — ukazały się dotąd trzy pozycje: „100 wierszy” E. E. Cummingsa w wyborze i przekładzie Stanisława Barańczaka, „Elegie bukowski i inne wiersze” Bertolta Brechta w wyborze i przekładzie Ryszarda Krynickiego oraz wiersze Lecha Dymarskiego pt. „Za zgodą autora”. W Łodzi ukazał się pierwszy numer kwartalnika społeczno-politycznego *Aspekt*, wydawanego przez członków Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela — Andrzeja Mazura i Andrzeja Ostoję-Owsińskiego. W ub. roku powstało pismo Chrześcijańskiej Wspólnoty Ludzi Pracy — *Krzyż Nowohucki*. Pismo to wydają Franciszek Grabezyk, Adam Maceński i Jan Leszek. Powstały również *Wiadomości Tarnowskie* redagowane przez W. M. Jeża i Zbigniewa Stanucha.

2-3-80

Zmarł w Warszawie, w wieku 86 lat, Jarosław Iwaszkiewicz, poeta, powieściopisarz, dramaturg, eseista i tłumacz. Był redaktorem naczelnym miesięcznika *Twórczość* i przez szereg lat prezesem Związku Literatów Polskich.

ZACHÓD — EMIGRACJA

23-1-80

Zmarł w Melun (Francja), w wieku 60 lat, Władysław Przemysław Szaława, znany architekt. Był związany z Brygadą Świętokrzyską, wydał o niej album wspomnień pt. „W marszu i boju”. Był energicznym działaczem społecznym, m.in. zajmował się umieszczaniem 1.500 byłych wojskowych we Francji w przemyśle Siderurgie Française. Prowadził również czynną akcję wśród studentów polskich we Francji.

7-2-80

Staraniem Stowarzyszenia Studentów i Klubu Inżynierów Polskich w Paryżu odbył się w gmachu YMCA wieczór autorski Barbary Bogusławskiej i Majki Kublik.

16-2-80

W Wiedniu powstała stała Rada Koordynacyjna Polskich Organizacji Niepodległościowych w Austrii. Każdorazowy przewodniczący Rady jest jednocześnie delegatem z Austrii do Rady Koordynacyjnej Polonii Wolnego Świata w Toronto. Przewodniczącym Rady został wybrany p. Andrzej Balko, a jego zastępcą p. Witold Poszytek.

18-2-80

Nakładem „Institut de Musique Médiévale” w Bazylei ukazały się pierwsze 4 tomy wydania „Dzieł Wszystkich („Opere Complete”) Tarquinio Meruli (1590-1665), włoskiego kompozytora związanego z Polską działalnością na dworze Zygmunta III Wazy. Redaktorem i wydawcą tej serii przewidzianej na 18-cie tomów jest dr Adam Sutkowski, polski muzykolog mieszkający na Zachodzie. Wydawnictwo obejmuje transkrypcje utworów na współczesną notację muzyczną oraz komentarze historyczne w językach: włoskim, francuskim, polskim, niemieckim i angielskim.

28-2-80

W związku z wyznaczeniem p. Kazimierza Sabbata następcą Prezydenta R.P. Związek Socjalistów Polskich na Obczyźnie oraz Polskie Stronnictwo Ludowe (PSL) wycofały swoich przedstawicieli i członków z udziału w pracach Rady Narodowej i instytucji związanych z Rządem R.P. na Obczyźnie. ■ Papież nadał wysokie odznaczenie kościelne działaczom katolickim na emigracji: Józef Płoski otrzymał Krzyż Komandorski Orderu św. Sylwestra, Cecylia Wołkowińska — Pro Ecclesia et Pontifice, a Andrzej Szczaniecki — Gwiazdę Komandorii św. Sylwestra.

1-3-80

Polski Uniwersytet na Obczyźnie (PUNO) zorganizował kursy nauczania języka litewskiego i ukraińskiego. Wpisowe wynosi £3.00, a opłata za semestr — £7.50. Informacje i zapisy (osobiście, listownie lub telefonicznie) przyjmowane są we środy w godzinach 17-19 na 238/246 King Street, London W6 0RF, tel. (01) 741 19 40. ■ Stałym przedstawicielem PRL przy UNESCO został mianowany Ignacy Gajewski. Był on do niedawna dyrektorem wydawnictw Iskry i Nasza Księgarnia. Znany w latach 1976-78 ze szczególnie gorliwego i brutalnego wcielania w życie *czarnych list* pisarzy polskich. ■ W artykule o sytuacji gospodarczej w Polsce *Economist* podaje, że w okresie 1981-85 będzie zrobiony wysiłek opłaty długów dewizowych obliczanych na sumę od 18 do 19 miliardów dolarów. Ale w tym roku Polska będzie musiała pożyczyć prawie 7 miliardów dolarów na bieżące spłaty i opłaty procentowe. Jest nadzieja że pożyczki na Zachodzie staną się nieco łatwiejsze dzięki wiadomości o sowieckiej pożyczce dewizowej dla Polski w wysokości miliarda dolarów. ■ Amerykańskie wydawnictwo *Bantam Books* ustanowiło rekord szybkości w produkcji książki. Od chwili otrzymania manuskryptu do ukończenia książki upłynęło 46 godzin. Rekordowo szybko wydaną książką jest „dziennikarskie upamiętnienie” zwycięstwa amerykańskiej drużyny hokejowej na Olimpiadzie zimowej. Książka w tanim wydaniu zawiera 96 stron tekstu i 64 stron fotografii, kosztuje dwa i pół dolara, ma nakład 275.000 egzemplarzy. ■ Sprawa Anny Walendowicz (pisanie prasa angielska) musiała Gierkowi przypomnieć rewoltę na Wyrbrzeżu w grudniu 1970. W stoczni gdańskiej wybuchł strajk w związku ze zwolnieniem Anny Walendowicz z pracy. Anna Walendowicz należała do organizatorów akcji w roku 1970, w ciągu minionych dziesięciu lat była systematycznie szykanowana, ale na zwolnienie jej z pracy zdecydowano się dopiero w styczniu br. Wybuchł strajk, w Gdańsku zjawił się błyskawicznie specjalny wysłannik z Warszawy: robotnicy odmówili powrotu do pracy, żądając formalnej gwarancji na piśmie, że ich towarzysza zostanie z powrotem przyjęta. Dość mamy zapewnień i przyrzeczeń na gębę, oświadczył rzecznik strajkujących.

3-3-80

Rząd emigracyjny w Londynie wyznaczył płk. Aleksandra Kajkowskiego na stanowisko delegata Rządu R.P. na Stany Zjednoczone, a Krzysztofa Skowrońskiego na stanowisko drugiego delegata Rządu R.P. w Brazylii. ■ Prowadzony przez Ernsta R. Boreira i Halszkę Vincenz-Poniatowską Hilfskomitee für die verfolgten Arbeiter in Polen, celem rozszerzenia działalności przemianowany na Schweiz. Hilfskomitee für die Verfolgten in Polen, rozpoczął nową zbiórkę pieniędzy tak wśród Polaków, jak i Szwajcarów. ■ Kiermasz Książki Polskiej SPK w Szwajcarii rozprowadza nowy nakład swojej niemieckiej ulotki „Zensur der Kirche in der Volksrepublik Polen”.

6-3-80

Stefan Frankiewicz z zespołu redakcji *Więzi* został zastępcą redaktora wydania polskiego *Osservatore Romano* ks. Adama Bonieckiego.

7-3-80

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyło się zebranie Komitetu Funduszu im. Adama Mickiewicza, który ma na celu zapewnienie trwałych podstaw dla działalności Biblioteki Polskiej. Prof. E. Zaleski podał do wiadomości treść listu i błogosławieństwa papieskiego dla tej akcji. Papież dołączył do swojego listu dość poważną sumę pieniężną. Z działalności Biblioteki Polskiej w Paryżu: 29. 2. br. odbył się w Bibliotece odczyt Adama Sutkowskiego na temat ostatniego 40-lecia twórczości polskich kompozytorów za granicą; 21. 3. br. odbył się wieczór autorski Tadeusza Polanowskiego, znanego satyryka; 25. 3. br. prof. Jerzy Kalinowski wygłosił w Centre d'Etudes Slaves odczyt pt. „Karol Wojtyła face à Max Scheler”.

13-3-80

Fundacja Lanckorońskich przyznała nagrodę naukową w wysokości £500.00 Bohdanowi O. Jeżewskiemu z Londynu w uznaniu jego prac dla historii emigracji. ■ Otrzymaliśmy wiadomość że Radio Pekin poszukuje dwóch polskich dziennikarzy mieszkających w krajach zachodnich, którzy od zaraz mogą być zatrudnieni na stanowiskach redaktorów w programie polskim. Radio pekińskie gwarantuje wieloletnie kontrakty z wysokim uposażeniem w dewizach zachodnich. Zatrudnieni nie będą jednak mogli zaoszczędzonych pieniędzy wywozić za granicę, natomiast otrzymają zezwolenie na wywóz antyków nabytych za dewizy. Kazimierz Mijał, który do niedawna kierował programem polskim nadawanym z Tirany a ostatnio z Pekinu został definitywnie odsunięty na boczny tor, tzn. przeniesiony na emeryturę.

19-3-80

Pax Romana (*Mouvement International des Intellectuels Catholiques*) zorganizował w Genewie 3-dniowe spotkanie na temat Praw Człowieka.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W Polskim Instytucie Naukowym w Nowym Jorku odbył się wieczór poezji Czesława Miłosza. Słowo wstępne wygłosiła Ewa Czarnecka, recytowali pp. Ewa Czarnecka, Helena Szmunesówna i Lech Michalski. ■ Komitet 100-lecia Związku Narodowego Polskiego zorganizował w Filadelfii 3-dniowe obchody — 15-17 luty br. — tej rocznicy. ■ Przed paru laty powstało w Stanach Zjednoczonych pismo *Mr Cogito*, wydawane przez Pacific University, Forest Grove. Pismo to nawiązuje do twórczości Zbigniewa Herberta. Ostatnio *Mr. Cogito Press* wydał tomik wierszy Stanisława Barańczaka pt. „Where did I wake up?” w tłumaczeniu Franka Kujawińskiego, który był lektorem w Instytucie Angielskim Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. ■ 12 lutego br. amerykańska telewizja nadała na kanale 9, na obszar Kalifornii, rozmowę z organizatorem Wystawy 1000-lecia Kultury Polskiej otwartej w Muzeum Nauki i Przemysłu w Los Angeles. Amerykańskim widzom pokazano 3 eksponaty z tej Wystawy: krakowskiego Lajkonika, przedwojenną szablę kawalerską i mały polski kilimek ludowy. Kierownik Wystawy inż. M. Bielski zademonstrował na stole jak porusza się na kółkach lajkonik — osobliwy dowód polskiej kultury (!), po czym objaśnił Amerykanów, że podobnymi szablami Polacy atakowali czołgi hitlerowskie w 1939 roku, co speakerka z amerykańskiej

telewizji przyjęła ze zdziwieniem, w którym nie brakowało nuty współczucia. O polskich kilimach powiedziała kilka słów Pani Zygmunt. W związku z tą niefortunną audycją w TV organizatorzy wystawy otrzymali sporo zażaleń ze strony tutejszej Polonii. ■ Tegoroczną *Neustadt International Prize for Literature* w wysokości 10.000 dolarów otrzymał wybitny pisarz czeski Josef Skvorecky, wykładający na uniwersytecie w Toronto (przypominamy że poprzednim laureatem tej nagrody był Czesław Miłosz). Skvorecky jest pisarzem bardzo płodnym, autorem wielu powieści i nowel, tłumaczem literatury amerykańskiej. Z Pragi wyjechał w roku 1969, w kraju jest naturalnie zakazany. Założył w Kanadzie wydawnictwo *68 Publishers*, które ma już w swoim katalogu osiemdziesiąt tomów po czesku, autorów zarówno emigracyjnych jak krajowych (tępionych przez władze). ■ George Kennan, b. amerykański ambasador amerykański w Moskwie i w Belgradzie, niegdyś projektodawca polityki *containment*, oświadczył przed komisją spraw zagranicznych Senatu, że jego zdaniem administracja Cartera przesadziła wskazując w sowieckiej inwazji Afganistanu groźbę dla Pakistanu i pól naftowych nad Zatoką Perską. Za dużo, według niego, było hałasu o Afganistan; za mało natomiast zrobiono w sprawie zakładników amerykańskich w Teheranie. Należało uchwalić stan wojny z Iranem, internować obywateli irańskich w Ameryce i zaproponować wymianę internowanych na zakładników. ■ Nakładem amerykańskiego Departamentu Stanu ukazał się Siódmy Półroczny Raport *Implementation of Helsinki Accord* za okres 1 czerwca - 30 listopada 1979. Analiza wykonywania Helsinek przeprowadzona w nim jest według trzech „koszyków”. We wszystkich trzech występują aspekty polskie. W pierwszym mowa o „znacznej działalności w obronie praw człowieka”, wobec której władze PRL zachowują nadal postawę „względnie tolerancyjną”; mowa dalej o powstaniu KPN, o wydaniu przez KOR „Karty Praw Robotniczych”, o głodówce na znak solidarności z sądzonymi w Pradze działaczami Karty 77, o demonstracji 11 listopada, o aresztowaniach Adama Wojciechowskiego i Edmunda Zadrozynskiego. W drugim wyliczone są akty współpracy polsko-amerykańskiej w dziedzinach ekonomii, nauki, technologii i ochrony przyrody. W trzecim wreszcie odnotowuje się z niepokojem pogorszoną z winy PRL sytuację na odcinku łączenia rodzin.

KRONIKA KANADYJSKA

Pierwszy światowy zjazd b. żołnierzy 3 Dywizji Strzelców Karpackich połączony z dwutygodniowym urlopem odbędzie się w Kanadzie w dniach od 31 maja do 14 czerwca br. ■ W końcu ub. roku Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie zorganizował Tydzień Kultury Polskiej w Toronto. ■ Konserwatywny rząd federalny premiera Joe Clarka upadł w połowie grudnia ub. roku po 6 miesiącach władzy. Wybory przeprowadzone 8 lutego 1979 roku przyniosły zwycięstwo liberałom, którzy w nowej Izbie Gmin będą dysponować absolutną większością. Podobnie jak w poprzedniej, w nowej Izbie będzie zasiadać tylko jeden poseł deklarujący pochodzenie polskie a mianowicie Jesse Flis, liberał, syn imigrantów polskich, urodzony na farmie w Saskatchewan. Ukończył on wydział pedagogiczny University of Toronto, był dyrektorem szkoły powszechnej a ostatnio kierownikiem wydziału szkolnictwa specjalnego, dla dzieci trudnych oraz spóźnionych w rozwoju. Flis bierze czynny udział w życiu polonijnym, należał do Grona Młodzieży Związku Polaków w Kanadzie, później do Związku gdzie był członkiem władz naczelnych. Przez szereg lat był przewodniczącym Fundacji im. Władysława Reymonta. ■ Podczas gdy grupa polska ma jednego posła, grupa ukraińska — ośmiu: 6-ciu konserwatystów i dwóch socjalistów (Nowa Partia Demokratyczna). W tej grupie

znajdują się pos. Korezyński i b. min. Mazankowski, pochodzenia polsko-ukraińskiego, a brak jest b. min. Paproskiego, podobnego pochodzenia. Kandydatem konserwatywnym w okręgu Toronto - High Park - Parkdale — w którym kandydował Jesse Flis — był Andrew Witer, pochodzenia ukraińskiego. W poprzednich wyborach, tj. w maju ub. roku, ubiegał się o ten mandat Jurij Szymko, który zdobył go w wyborach uzupełniających dla konserwatystów po mianowaniu pos. S. Haidasza do Senatu. ■ Komuniści obu prowincji wystawili kandydatów w kilkudziesięciu okręgach i wszędzie przepadli z kretesem. W okręgach metropolii Toronto marksiści-leniniści (chińska odmiana) zebrali ogółem 1.693 głosy podczas gdy ortodoksyjni — 1.261. Wódz komunistów, Wiliam Kasztan, kandydował w okręgu Trinity i zdobył największą ilość głosów a mianowicie 189. W innych okręgach kandydaci komuniści nie uzyskiwali głosów, podobnie zresztą jak kandydaci chińskiej odmiany. ■ Kampania wyborcza doprowadziła do zmiany na stanowisku redaktora naczelnego *Głosu Polskiego*. W piśmie tym ukazało się całostronicowe ogłoszenie wyborcze kandydata konserwatywnego w okręgu High Park - Parkdale, będące gwałtownym atakiem na liberałów, b. prem. Trudeau, jego politykę itp. Był to paszkwil. Dyrekcja Prasowa zażądała od p. Wojciecha Figiela opublikowania oświadczenia — przeproszenia czytelników za ów paszkwil. Red. Figiel jednak odmówił i ustąpił z zajmowanego stanowiska. Miejsce jego zajął Wiesław Kazberuk, od połowy 1977 roku członek redakcji *Związkowca*, który poprzednio pracował w *Głosie Polskim*. ■ Począwszy od stycznia 1979 roku 15 marynarzy polskich opuściło swoje statki w porcie Vancouver, wnosząc o prawo azylu. Jak dotychczas dwaj azyl uzyskali, jednemu odmówiono, jeden nie wniósł żadnego podania, a sprawy 11-tu są rozpatrywane. ■ Tadeusz Jakubowski, drugi któremu odmówiono azylu i wyznaczono termin deportacji na 28 lutego, wniósł apelację dowodząc, iż po powrocie do Polski znajdzie się w więzieniu. ■ Władimir Pajma, lat 39, nielegalny imigrant z Czechosłowacji, został deportowany, jakkolwiek żona jego twierdzi, że w kraju zostanie on natychmiast aresztowany.

B. H.

KRONIKA SZWEDZKA

Staraniem Towarzystwa Przyjaciół „Kultury”, Grupy Kontaktowej z Opozycją Demokratyczną w Polsce i PPS, oddział w Szwecji, zorganizowano 1 marca bardzo udane spotkanie z profesorem Edwardem Lipińskim, jednym z założycieli KSS „KOR”. W zebraniu wzięło udział ponad 170 osób. ■ Już ucichły echa sprawy szpiegowskiej sprzedawców obrazów, a wybuchł nowy, jeszcze większy skandal kompromitujący Polaków. Dwóch obywateli polskich, 26 i 28 lat, aresztowano 11 marca za próbę porwania w dniu 7 marca 34-letniego syna Märthy Philipson, najbogatszej kobiety Skandynawii. Tomasz Philipson, ciężko ranny i pokrwawiony, został uratowany dzięki szybkiemu pościgowi prywatnego szofera Philipsonów. Jest to pierwszy wypadek *kidnapping'u* w Szwecji. Jak się dowiadujemy, porywacze nie byli uchodźcami politycznymi. Jeden z nich uzyskał prawo pobytu w Szwecji przez zawarcie fikcyjnego małżeństwa ze Szwedką. Posiadał luksusowe mieszkanie i dużo pieniędzy. Studiował na wyższych szwedzkich uczelniach. Drugi uczęszczał na kursy językowe dla cudzoziemców. Porwanie planowali od roku, mając mieszkanie Philipsonów pod ciągłą obserwacją.

Londyn, 22 lutego 1980.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W listopadowym (1979) numerze *Kultury*, w korespondencji z Rzymu pt. „Historyczne wydarzenie w kaplicy Sykstyńskiej” p. Dominik Morawski pisze:

„Uroczystość konsekracji wypadła w dniu jednego z patronów Ukrainy, św. Jozafata (Kuncewicz), biskupa Połocka, zamordowanego przez Kozaków w 1632 roku. Biskup-męczennik, po opuszczeniu prawosławia, wstąpił do zakonu bazylianów już jako unita. Jego grób znajduje się w bazylice św. Piotra (od 1963 roku). Kanonizacja nastąpiła w 1921 roku, zwłoki zaś przewieziono z Moskwy do Rzymu za pontyfikatu Piusa XI (władze sowieckie odważymy się za okazaną im pomoc papieską w czasie klęski głodu)”.

Ustęp ten jest pełen „nieścisłości”:

1. Św. Jozafat (Kuncewicz) w chwili swej śmierci był nie biskupem a arcybiskupem połockim;

2. Jego śmierć miała miejsce nie w 1632 a 1623 roku;

3. Zamordowany został (zarąbany siekierą) nie przez Kozaków a przez dwóch mieszczan prawosławnych z Witebska w chwili gdy wyszedł do rozfanatyzowanego i podburzonego tłumu, który napadł na pałac biskupi w Witebsku w czasie wizytacji arcybiskupa Jozafata tamże;

4. Zwłoki jego pochowano najpierw w głównym ołtarzu katedry św. Zofii w Połocku. Gdy w roku 1655 wojska rosyjskie w swoim pochodzie podeszły pod mury Połocka ówczesny arcybiskup Gabriel Kolenda wywiózł zwłoki z Połocka i przechowywał je w różnych klasztorach oo. Bazylianów do roku 1667 w którym to roku zwłoki powróciły do Połocka.

Gdy w roku 1705 wojska cara Piotra I znowu zbliżyły się do Połocka oo. Bazylianie wywieźli zwłoki z miasta i oddali pod opiekę ks. Karola Radziwiłła, który właśnie wyruszał ze swoim wojskiem przeciw Rosjanom. Po zakończeniu wojny ks. Radziwiłł nie oddał zwłok oo. Bazylianom, lecz umieścił je najpierw w kaplicy zamkowej w Białej Podlaskiej, a potem w cerkwi klasztoru oo. Bazylianów które (klasztor i cerkiew) zbudował w tejże Białej.

W roku 1795 (po ostatnim rozbiore Polski) całe Podlasie razem z Białą przypadło Rosji. By zapobiec pielgrzymkom do grobu męczennika Rosjanie w roku 1873 zamurowali zwłoki w podziemiach cerkwi i rozpuścili pogłoskę, że zwłoki wywiezione zostały do Moskwy.

W roku 1915, w czasie pierwszej wojny światowej, zwłoki zostały odnalezione i przewiezione i złożone w cerkwi św. Barbary we Wiedniu, gdzie pozostawały do 1945 roku, kiedy to ta część Wiednia, gdzie znajduje się cerkiew św. Barbary znalazła się pod okupacją sowiecką.

Dzięki odwagiemu wyczynowi amerykańskiego kapelana, generała Romana Newera, zwłoki zostały wykradzione i przewiezione do Rzymu, umieszczone w bezpiecznym miejscu, a następnie pochowane w ołtarzu św. Bazylego w bazylice św. Piotra dnia 25 listopada 1963 roku w obecności papieża Pawła VI.

Wszystkie dane powyższe znajdują się w książeczce pt. „Apostoł Zjedynienia” (Apostoł Unii), którą napisał bazylianin ks. A. Pekar i która wyszła w wydawnictwie oo. Bazylianów w Nowym Jorku w 1967 roku.

Dziennikarz tej miary co p. Dominik Morawski powinien być bardziej ostrożny w podawaniu wiadomości Czytelnikom. A przy tym jego powiedzenie o tym „odwzajemnieniu się sowieckich władz” jest bezpodstawne.

Z prawdziwym szacunkiem,

Mgr Teodor DANYLIW
Redaktor-Wydawca „Za Naszu Majbutnist”

Listy do Redakcji

W ODPOWIEDZI WACŁAWOWI IWANIUKOWI

Paryż, 28 lutego 1980.

Szanowny Panie,

Słyszałam o Panu tyle miłych rzeczy, że ze zdumieniem przeczytałam Pański „list otwarty” zawierający tyle krańcowych ocen tak intencji jak zawartości numeru 18/19 *Cahiers de l'Est*, którego byłam współredaktorką.

Myślę, że sprawa polega głównie na nieporozumieniu i nieznanomości z Pana strony warunków w jakich ukazuje się to czasopismo. Pragnę zapewnić Pana przede wszystkim, że nie mamy nic wspólnego z „cenzorami oraz sowiecką gangreną”. *Cahiers de l'Est* są czasopismem niezależnym, nie-dofinansowanym przez nikogo, a francuski jego wydawca, ALBATROS (mający w Paryżu opinię „prawicowego”, jeżeli już o to chodzi) pokrywa jedynie kosztą fabrykacji każdego numeru; wszyscy współpracownicy to ludzie, którzy z czystego entuzjazmu lub dla przyjemności, poza własną pracą zarobkową i z tytułu powiązań zawodowych ze światem literatury, zajmują się propagowaniem autorów Europy wschodnio-środkowej we Francji. Jeśli o mnie chodzi, to opublikowałam w *Cahiers de l'Est*, między innymi, takich autorów jak Barańczak, Michnik, Orłowski, Kisielewski, Kołakowski, etc.

Zwracamy się do czytelnika francuskiego, którego wrażliwość, zainteresowania oraz znajomość problematyki nas dotyczącej są często bardzo odległe od naszych wyobrażeń na ten temat. Żyjąc w środowisku literackim Paryża od 23 lat miałam czas zdać sobie z tego sprawę.

Wydając nr 18/19, nie miałam najmniejszej pretensji do przedstawienia wyczerpującego obrazu polskiej literatury emigracyjnej. Numer nie ma też żadnych ambicji naukowych (obiektywizm, hierarchia, o których Pan pisze). Chodziło o zwrócenie uwagi czytelnika francuskiego, że taki fenomen jak polska literatura emigracyjna w ogóle istnieje i dać teksty mające szansę być zrozumiane oraz mogące zainteresować tego czytelnika.

I ostatnia uwaga: nie wszystko niestety „dało się” przetłumaczyć. Pewne przekłady były tak fatalne (np. tekst T. Nowakowskiego), że musiałam je odrzucić w ostatniej chwili. Z poezją było jeszcze gorzej, głównie z braku ludzi. A tych nielicznych, których udało mi się zwerbować nie mogłam zmusić do tłumaczenia wierszy, które im „nie leżały”, nie mówiąc już o tym, że pracowali zupełnie bezinteresownie!

Z pewnością są usterki. Sama bardzo żałuję, że nie ma tu np. Bobkowskiego. Ale przecież dobrze, że taki zeszyt w ogóle mógł się ukazać, a czytelnicy pragnący dowiedzieć się coś więcej mogą zawsze sięgnąć do „Szkiców” Danilewiczowej lub rozdziału z „Literatury polskiej” po angielsku Miłosza, do których numer odsyła.

Ślę wyrazy szacunku,

Zofia BOBOWICZ

Paryż, 14 marca 1980.

Drogi Panie Redaktorze

Wacław Iwaniuk jest moim starym przyjacielem, żałuję że dzieli nas ocean i wody które upłynęły w rzekach od czasu naszej wojennej młodości. Tym bardziej mnie smuci niesprawiedliwy list otwarty poety i człowieka którego wysoko cenię do Zofii Bobowicz w sprawie polskiego numeru *Cahiers de l'Est*.

Jak można mówić o „zniszczeniu naszego dorobku kulturalnego” i „sowieckiej kontroli” kwitując ofiarą i całkowicie bezinteresowną pracę naszych dwóch rodaczek (gdyż nie należy zapominać o wkładzie Alicji Lisieckiej do tej antologii). Numer *Cahiers de l'Est* ukazał się tylko dzięki ich nieustrudzonym zabiegom. Takie czy inne usterki należy przypisać warunkom tego rodzaju przedsięwzięć we Francji: praca redakcyjna ochotnicza, na marginesie własnych zajęć zarobkowych; budżet tak ograniczony że ilość tłumaczeń płatnych (zresztą bardzo słabo) jest siłą rzeczy znikoma, trzeba zatem zdać się na to co znajomi przetłumaczyli z własnej inicjatywy.

Parafrazując Iwaniuka, kończę stwierdzając, że moją obronę w tym liście spowodowała zwykła uczciwość, oparta na osobistym doświadczeniu i bezstronnej obserwacji trudu naszych koleżanek.

Łączę wyrazy szacunku i uścisk dłoni,

K. A. JELEŃSKI

Waszyngton, 4 marca 1980.

Drogi Panie Redaktorze!

W ślad za moimi listami z 14 grudnia 1979 i 17 stycznia 1980, dotyczącymi protestu jaki przesałem do Televisie Radio Omroep Stichting w związku z oszczerczymi oskarżeniami premiera Izraela, Menachema Begina, ogłoszonymi przez *Kulturę* z września 1979, informuję, że kopię tego protestu przesałem również do *The Jerusalem Post* w Jerozolimie i otrzymałem od pisma tego odpowiedź z 20 lutego 1980:

„Szanowny Panie Korboński! Potwierdzam z podziękowaniem odbiór kopii Pańskiego listu do Televisie Radio Omroep Stichting, który polecono mi przechować w naszych archiwach.

Osobiście zgadzam się z Panem, że jeżeli nasz premier Begin wypowiedział zacytowane słowa, musiał wówczas ulec niekontrolowanej emocji.

Przez wiele lat zarówno ja jak i *Jerusalem Post* dbaliśmy bardzo o to, by pisać o tych wszystkich niezliczonych wypadkach, w których Polacy pomagali Żydom w czasie Holocaustu. Stałe donosimy o każdym wypadku nadania medali Polakom, którzy uratowali Żydów. 19 kwietnia 1978 byłem obecny na ceremonii w Warszawie, w czasie której wręczono 22 takich medali. Pewna Polka uratowała w swojej piwnicy 22 Żydów.

Ogłosiłem dwa długie artykuły na ten temat. Bardzo dbamy o to, by wyrażać uznanie tam, gdzie się ono należy...

Z poważaniem,

(—) Alexander Zvielli
Dyrektor Archiwów *Jerusalem Post*”.

Sciskam mocno dłoń Pana,

Stefan KORBOŃSKI

(Dalszy ciąg *Wpłata* ze str. 2-giej)

WPŁATY NA KSS « KOR »

Anonimowo z Anglii — £ 10,00	F. 95,00
Bezimiennie z New Mexico (USA) — \$ 20,00	F. 80,00
Krzysztof Friedel, Flagstaff Hill, S.A. (Australia)	F. 100,00
Czesław Kiendys, Göteborg (Szwecja) — na pamiątkę 10-tej rocznicy urodzin (5.4.70) Nicoli Martiny Kiendys w Duisburgu — Ojciec	F. 100,00
Zb. N. Muszyński, Northbridge, Mass. (USA) — \$ 10,00 ..	F. 42,00
Sprostowanie: W <i>Kulturze</i> nr 12/387 (grudzień 1979) podaliśmy wpłatę \$ 135,00 od Polskich Kombatantów w Chicago, tymczasem wpłatę przekazali Polscy Komandosi w Chicago. Za tę pomyłkę Ofiarodawców przepraszamy.	

WPŁATY NA ROPCio

Krzysztof Friedel, Flagstaff Hill, S.A. (Australia)	F. 100,00
Ottawski Komitet Pomocy Ofiarom Represji w PRL — na Radę Sygnatariuszy Praw Człowieka	F. 1.773,05

WPŁATY NA KASĘ POMOCY NAUKOWEJ T.K.N.

Bezimiennie z Montrichard, Francja — £ 25,00	F. 237,50
Tadeusz Brzostek, Paryż	F. 200,00
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — druga rata rocznego stypendium, ufundowanego dla osoby wybranej przez T.K.N. — DM 100,00	F. 220,00

Komitet Pomocy Obroncom Praw Ludzkich i Obywatelskich w Polsce przy Wydziale na stan Illinois Kongresu Polonii Amerykańskiej ogółem \$ 450,00 w tym dla:	
K. Świtonia w Katowicach — \$ 150,00	F. 530,00
Jana Kozłowskiego działacza Ruchu Samoobrony Chłopskiej \$ 150,00	F. 530,00
Tadeusza Kolano \$ 150,00	F. 530,00

Czytelnicy <i>Pomostu</i> dla Redakcji <i>Opinii</i> — \$ 117,00	F. 491,00
na potrzeby <i>Bratniaka</i> — \$ 750,00	F. 3.150,00

Władysław Dembski z Australii na Konferencję Polski Niepodległej zebrane od: J. Mizia (\$ A. 10,00), H. Sek-Sekalski (\$ A. 5,00), M. Talarczyk (\$ A. 40,00). K. Furman

(\$ A. 15,00), J. M. Cieśliński (\$ A. 30,00), M. Kałuski (\$ A. 5,00) — razem: \$ A. 105,00 F. 484,60

Na apel „Konfederacji 76” wpłacili: *Oddział Boston*: J. Doz i W. Ostrowski po \$ 10,00; F. Dziadul, A. Golda, E. z Bostonu, L. Szumski, A. Żołądkowski, N. Stankiewicz, K. Grabowska, K. Gotowicka po \$ 5,00; W. Ostrowski i C. Puszcza po \$ 2,00; dwie Panie z Polski po \$ 1,00 — razem: \$ 66,00; *Komitet Obywatelski przy „Konfederacji 76”*: pp. H. Winowski — \$ 15,00; T. Dziekanowski — \$ 20,00; J. Jawa-Jasielski — \$ 15,00; Ch. Bałdowski, B. Pilecki, W. Sosulski, T.G. i dwie osoby bezimiennie po \$ 10,00 — razem: \$ 120,00 — ogółem: \$ 186,00 z czego na:
Konfederację Polski Niepodległej (L. Moczulski) — \$ 66,00 F. 277,00
ROPCiO (A. Czuma) — \$ 30,00 F. 126,00
Studenckie Komitety Solidarności — \$ 30,00 F. 126,00
Towarzystwo Kursów Naukowych — \$ 30,00 F. 126,00
Niezależną Oficynę Wydawniczą — \$ 30,00 F. 126,00

Zarząd Komitetu Towarzystw Miejsowych w Roubaix (Francja)
na:
KSS „KOR” F. 200,00
Polskie Porozumienie Niepodległościowe (PPN) F. 200,00
ROPCiO F. 200,00

Głęboko wzruszeni wysłuchaniem taśmy magnetofonowej z komunikatami przedstawicieli ruchów wolnościowych w Polsce, zebrani w *Klubie Polskim w Ashfield* (Sydney) 27. 1. 1980, złożyli na *ruchy wolnościowe w Polsce*, a mianowicie: R. Treister — \$ 20,00; R. Janicki, K. Łańcucki, W. Szupryczyński, W. Wolak po \$ 10,00; B. Korpowski, D. Moskala po \$ 6,00; J. Bańkowska, H. i N. Bąkowscy, I. Bibrowicz, S. Bielska, J. Czynieński, J. Dunin-Karwicki, M. Guzowska, M. Hrycek, R. Kompa, B. Kowalski, Z. P. Kozieł, M. Krupka, M. Lebe, H. Leszczyński, J. Moskala, J. Nowicki, S. Nowicki, B. i K. Odoliński, T. W. Ostrowski, I. Piechta, S. Różycki, F. Rutyna, K. Topolski, W. Węglewski, Z. Wielebiński, R. Winiarski po \$ 5,00 i W. Ryszowski \$ 3,00 — razem: \$ A. 215,00 z czego \$ 200,00 F. 927,00 przekazali na ręce Instytutu Literackiego (a \$ 15,00 przez Fundusz Wolności Słowa w Londynie).

DZIĘKUJEMY!

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt Légal: 2^e trimestre 1980.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocznia	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 19,50	R. 37,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Dakin House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 4,00	\$ A 20,00	\$ A 38,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-89-23	F.B. 160,00	F.B. 900,00	F.B. 1 700,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury”	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
DANIA : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 17,00	F. 90,00	F. 170,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wellinglaan 6, Vlissingen, Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 8,50	Fl h. 50,00	Fl h. 90,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tél. (514) 465-2362 ; B. Krauski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4 ; Very rev. Donald Mallinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2 ; Tel. 339-5577 ; Z. Michardzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115 ; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2 ; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 5,00 DM 9,00 F. 17,00	\$ Can 26,00 D.M. 50,00 F. 95,00	\$ Can. 50,00 D.M. 90,00 F. 180,00
NIEMCE : St Mikicluk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.			
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss			
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 8,50	F.S. 50,00	F.S. 90,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 17,00	F.S. 95,00	K.S. 180,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tél. 475-8886. Ada Dziwanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211 ; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio. 44145. Tél. 871-48-47 Irena Kretowicz, 4254 34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271 ; Krystyna Leser, 1725, 17-th Street, N.W., Washington D.C. 20009 ; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234 ; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103.	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
POLONIA , Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, tel. 312) 489-2554 ; E.I. Suszynski, 4923 Merrill St., Torrance, Cal. 90503, tel. (213) 540-2398 ; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053 ; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich. 48211 ; Szwede Slavic Books, 2233 El Camino Real, Palo Alto, Ca., 94306, telefon: (415) 327 - 5590 & 851 - 0748.			
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	£stg. 2,15	£stg. 12,00	£stg. 22,50
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 180; półroczna — F. 95.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

TOM 313 — SERIA „DOKUMENTY”

RAPORT O STANIE NARODU I PRL

Tom poprzedzony *Przedmową* Andrzeja Brzeskiego zawiera opracowania: Stefana Kurowskiego: *Doktrynalne uwarunkowania obecnego kryzysu gospodarczego PRL*; *Raport o stanie Rzeczypospolitej i o drogach do jej naprawy* opr. przez Komitet Redakcyjny Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”; Józefa Kuśmierka: *O czym wiedziałem*; *Robotnicy nabrali odwagi* — wywiad z B. Borusewiczem; wyjątki z *Komunikatu 171 Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski*.

Str. 224.

Cena F. 65,00.



TOM 314 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Zawiera opracowania A. Ciołkosza: *Kartki z przeszłości*; P. Wandycz: *Orientacja rosyjska w polskiej walce niepodległościowej*; K. Kraczkiewicz: *Przyczyny drugiej wojny światowej i rola polityki polskiej w ostatnich latach przed jej wybuchem*; J. Erdmana: *Wyrok na brata*; dokończenie wspomnień ks. inf. Teofila Skalskiego; RECENZJE: J. Ciechanowskiego: *Generał ostatniej nadziei*; P. Wandycz: *Nowe książki*; M. Hellera: *Historia sowiecka w interpretacji amerykańskiej*; T. Heinricha: *Niewykorzystane doświadczenie sueckie*; W. Babińskiego: *Polskie siły zbrojne w drugiej wojnie światowej*; POLEMIKI; OKRUCHY HISTORII i obszerny dział LISTÓW DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 45,00.